

Louis Armstrong

Moje życie w Orleanie

Satchmo: My Life In New Orleans

Przełożył Stefan Zondek

Rozdział I

Kiedy przyszedłem na świat w 1900 roku, mój ojciec Willie Armstrong i matka May Ann lub jak ją nazywano - Mayann mieszkali na małej uliczce o nazwie James Alley w przeludnionej dzielnicy Nowego Orleanu zwanej Back o'Town. Dzielnica ta jest jedną z czterech wielkich części miasta, pozostałe to Uptown, Downtown i Front o'Town. Każda z tych dzielnic ma swój specyficzny koloryt.

James Alley - a nie Jane Alley, jak ją niektórzy nazywają - znajdowała się w samym sercu Battlefieldu nazywanego tak, bo mieszkało tam mnóstwo awanturników, dla których bójki, a nawet strzelanina były chlebem powszednim. W domach tej krótkiej uliczki, wciśniętej pomiędzy dwie przecznice Gravier Street i Perdido Street, stłoczonych było tyle ludzi, że aż trudno to sobie wyobrazić. Obok ludzi bogobojnych mieszkali tu szulerzy, kanciarze, drobni alfonsi, złodzieje i prostytutki, było też zatrzęsienie dzieci. Wokół licznych barów, szynków i spelunek krążyły kobiety lekkich obyczajów, wabiąc klientów do swoich klitek.

Mayann opowiadała mi, że tej nocy, kiedy się urodziłem, na naszej ulicy była wielka strzelanina, w czasie której dwóch facetów pozabijało się nawzajem. Było to Czwartego Lipca - święto to obchodzone jest w Nowym Orleanie bardzo uroczyście, a w taki dzień wszystko jest możliwe. Prawie wszyscy strzelają wtedy na wariat z pistoletów, rewolwerów oraz ze wszystkiego, co tylko nadaje się do strzelania.

W tym czasie moi rodzice mieszkali razem z moją babką Josephine Armstrong (święć, Panie, nad jej duszą), ale nie pozostali z nią długo. Klócili się z sobą bez przerwy, aż w końcu - stało się. Matka wyprowadziła się, zostawiając mnie u babki, a ojciec odszedł w swoją stronę, aby żyć z inną kobietą.

Matka zamieszkała na rogu Liberty Street i Perdido Street, w okolicy pełnej tanich prostytutek, których zarobki nie umywały się do dochodów ich koleżanek po fachu ze Storyville - słynnej dzielnicy „czerwonych świateł”. Trudno mi powiedzieć, czy matka miała z nimi coś wspólnego; jeśli tak, to musiała to dobrze przede mną ukrywać. Jedno jest pewne: wszyscy - od ludzi najbardziej bogobojnych po najgorszych łobuzów - odnosili się do niej z największym szacunkiem. A ona zawsze serdecznie wszystkich pozdrawiała i patrzyła ludziom prosto w oczy.

Nigdy też nikomu nie zazdrościła. Wydaje mi się, że te cechy po niej odziedziczyłem.

Kiedy miałem rok, ojciec zaczął pracować w fabryce terpentyny, znajdującej się dość daleko od James Alley, i pozostał tam aż do swojej śmierci w 1933 roku. Był w tej fabryce

tak długo, że stał się jej nieodłączną częścią, i zdobył sobie w końcu taką pozycję, że sam mógł przyjmować i zwalniać z pracy kolorowych robotników, którymi kierował. Od kiedy rodzice się rozeszli, nie widziałem go aż do czasu, kiedy byłem już całkiem duży. Długo nie widziałem się również z Mayann.

Babka posłała mnie do szkoły. Zarabiała praniem i prasowaniem. Kiedy pomagałem jej odnosić upraną bieliznę do domów białych klientów, dawała mi pięciocentówkę. Ależ się wtedy czułem bogaty! W dni wolne od nauki babka brała mnie ze sobą do domów białych, gdzie sprzątała i prała. W czasie gdy ona pracowała, ja bawiłem się na podwórku z białymi chłopcami. Ile razy bawiliśmy się w chowanego, zawsze ja byłem tym, który się chował, i zawsze ci sprytni biali chłopcy mnie znajdowali. Nie mogłem się z tym w żaden sposób pogodzić. Dlatego ciągle czy byłem w domu, czy w szkole - marzyłem tylko o jednym: żeby babcia jak najszybciej znów poszła pracować i żebym mógł znaleźć takie miejsce, gdzie żaden z nich mnie nie znajdzie.

Kiedyś w gorący letni dzień bawiłem się w najlepsze z tymi białymi chłopcami. Ja, oczywiście, chowałem się. Właśnie biegałem po różnych zakamarkach, kombinując gorączkowo, gdzie by się tu ukryć, gdy nagle zobaczyłem babcie schyloną nad balią i piorącą zawzięcie. Jej szeroka luźna spódnica z rozcięciem wydała mi się świetną kryjówką. Błyskawicznie rzuciłem się do niej i dałem nura pod spódnicę, zanim chłopcy zdążyli mnie zobaczyć. Przez dłuższy czas słyszałem, jak biegali tam i z powrotem, pytając:

- Gdzież on się podział?

Kiedy chcieli już zrezygnować z szukania, wystawiłem głowę spod spódnicy i zawołałem:

- A kuku!

- A, jesteś! Znaleźliśmy cię! - wykrzyknęli chłopcy.

- Wcale nie - powiedziałem. - Nigdybyście - mnie nie znaleźli, gdybym nie wystawił głowy.

Od najmłodszych lat zawsze bardzo kochałem babkę. Ona to resztę swego życia poświęciła wychowywaniu mnie i nauczaniu, jak odróżniać dobro od zła.

Kiedy tylko zrobiłem coś, co jej zdaniem zasługiwało na lanie, kazała mi przynosić różgę z dużego starego drzewa rosnącego na podwórzu.

- Jesteś niedobry chłopak! Czekaj, zaraz dostaniesz w skórę!

Ze łzami w oczach szedłem do drzewa i wracałem z najmniejszą gałązką, jaką tylko mogłem znaleźć.

Przeważnie kończyło się na śmiechu i babka dawała mi spokój. Czasem jednak, gdy była naprawdę zła, spuszczała mi łanie za wszystkie przewinienia z ostatnich tygodni. Mayann musiała odziedziczyć po babce ten system, bo kiedy z nią później zamieszkałem, traktowała mnie w ten sam sposób.

Bardzo dobrze pamiętam również moją prababkę, która żyła przeszło dziewięćdziesiąt lat. Chyba po niej odziedziczyłem swoją energię. Dziś, mając pięćdziesiąt cztery lata, czuję się jak chłopak, który dopiero co skończył szkołę i rwie się do życia z trąbką w rękę.

Wtedy jednak nie potrafiłbym odróżnić trąbki od grzebienia. Chodziłem regularnie do kościoła, bo babka i prababka były kobietami religijnymi, oprócz tego posyłały mnie one do szkoły i szkółki niedzielnej. W kościele i w szkółce niedzielnej dużo śpiewałem - myślę, że stamtąd wyniosłem swoje umiejętności wokalne.

Uczestniczyłem we wszystkim, co się działo w szkole. Lubili mnie i uczniowie, i nauczyciele, ale nigdy nie chciałem być pupilkiem. Od najmłodszych lat zawsze byłem sumienny we wszystkim, co robiłem.

W kościele wkładałem serce w każdą pieśń, którą śpiewałem. Do dzisiaj jestem głęboko wierzący i chodzę do kościoła, kiedy tylko mam okazję.

Po dwóch latach ojciec zostawił kobietę, z którą mieszkał, i wrócił do Mayann. Resultatem była moja siostra Beatrice, którą potem przezwano „Mama Lucy”. Kiedy się urodziła, mieszkałem jeszcze u babki i zobaczyłem ją dopiero mając pięć lat.

Pewnego lata była okropna susza. Nie padało od miesięcy i w okolicy nie było kropli wody. W tych czasach na podwórkach trzymano duże zbiorniki do łapania deszczówki. Kiedy w zbiornikach była woda, nie brakło jej dla nikogo, kto jej potrzebował. Wtedy jednak zbiorniki były puste i wszyscy mieszkańcy James Alley latali za wodą jak opętani. Tym, co nas uratowało, były stajnie aresztu miejskiego, które mieściły się na rogu James Alley i Gravier Street.

Było tam dużo wody i woźnice pozwalali nam przetaczać beczki po piwie i napełniać je.

Stajnie były otoczone wielkim czworobokiem pomieszczeń aresztu. Trzymano tam skazanych na trzydzieści dni do sześciu miesięcy. Więźniów wożono wielkimi wozami do pracy przy sprzątnięciu miejskich placów. Tym, którzy wykonywali tę pracę, zmniejszano wyrok z trzydziestu do dziewiętnastu dni. W tych czasach w Nowym Orleanie było wiele dużych ładnych koni, które zaprzęgano do policyjnych wozów. Lubilem im się przyglądać i marzyłem, że kiedyś wsiądę na któregoś z nich, aż wreszcie marzenie moje się spełniło. Ach, co to była za frajda!

Pewnego razu, kiedy wraz z sąsiadami z James Alley poszedłem po wodę, przyszła do babki jedna znajoma Mayann, żeby jej powiedzieć, że matka jest bardzo chora i że znowu się rozeszła z ojcem. Matka nie wiedziała, gdzie jest ojciec i czy do niej wróci.

Zostawił ją samą z małym dzieckiem - moją siostrą Beatrice (później Mama Lucy), bez żadnej opieki. Kobieta zapytała babkę, czy pozwoliłaby mi zamieszkać u matki i pomagać jej. Babka, która była bardzo dobra, od razu zgodziła się na to. Ze łzami w oczach zaczęła mnie ubierać do drogi.

- Naprawdę ciężko mi puszczać cię od siebie powiedziała. - Bardzo się do ciebie przyzwyczaiłam.

- I mnie żal, babciu, że odchodzę - odpowiedziałem ze ściśniętym gardłem, - Ale na pewno niedługo wrócę. Bardzo cię kocham, babciu. Byłaś dla mnie taka dobra i miła i nauczyłaś mnie wszystkiego: jak dbać o siebie, myć się, czyścić zęby, ubierać się i rozbierać, i jak się odnosić do starszych.

Poklepała mnie po plecach, otarła oczy sobie, a potem mnie. Na koniec popchnęła mnie lekko łokciem w stronę drzwi. Nie wiedzieliśmy oboje, kiedy wrócę.

Ale moja matka była chora i babka uważała, że powinienem być przy niej.

Kobieta wzięła mnie za rękę i wolno wyszliśmy z mieszkania babki. Kiedy znalazłem się na ulicy, nagle wybuchnąłem płaczem. Aż do samego końca James Alley widziałem babcię machającą mi ręką na pożegnanie. Skręciliśmy za róg, żeby dojść do przystanku tramwajowego na Tulane Avenue, i znaleźliśmy się przed aresztem. Stałem pochlipując, gdy nagle kobieta gwałtownie obróciła mnie twarzą, stroną tego budynku.

- Słuchaj no, Louis! - powiedziała; - Jak nie przestaniesz w tej chwili płakać, to zaprowadzę cię do tego więzienia. Trzymają tam złych ludzi. No, co?

Chyba nie chcesz iść do nich?

- Och, nie, proszę pani.

Przestraszony widokiem ogromnego budynku, pomyślałem sobie: „Chyba lepiej jednak przestać płakać. Nie znam tej kobiety - kto wie, może naprawdę to zrobi?”.

Natychmiast przestałem płakać. Nadjechał tramwaj i wsiedliśmy.

To było moje pierwsze doświadczenie z „Jimem Growem”. Miałem dopiero pięć lat i nigdy dotąd nie jechałem tramwajem. Wsiadłem pierwszy i poszedłem prosto na sam przód wagonu, nie zauważywszy napisów znajdujących się po obu stronach na tyłach siedzeń: TYLKO DLA KOLOROWYCH. Myśląc, że kobieta idzie za mną, usiadłem na jednym z przednich siedzeń. Ona jednak nie przyszła i kiedy się odwróciłem, żeby zobaczyć, co się

z nią stało, nie było jej widać. Popatrzyłem wzdłuż całego wozu aż do końca i wreszcie zobaczyłem, jak kiwa na mnie z przestraczem.

- Chodź tu, mały! - krzyknęła. - Siadaj, gdzie twoje miejsce!

Dosłownie: „Kuba Kruk” - tytuł pieśni czarnych minstrelów z końca XIX wieku, który później stał się symbolem dyskryminacji rasowej Murzynów w Stanach Zjednoczonych (przyp.tłum.).

Myślałem, że mówi tak, bo jest na mnie zła, więc pozostałem przekornie na miejscu. Co mnie obchodzi, gdzie ona siedzi! Ale gdzież tam! Kobieta podeszła i szarpnięciem ściągnęła mnie z siedzenia. Szybko pociągnęła mnie za rękę i popchnęła na wolne miejsce z tyłu wagonu. Wtedy zobaczyłem napisy na oparciach miejsc: TYLKO DLA KOLOROWYCH.

- Co tu pisze? - zapytałem.

- Nie gadaj tyle! Siedz cicho, ty głuptasie!

Z tymi napisami w nowoorleańskich tramwajach różnie bywało. My, kolorowi, mieliśmy nieraz sporo uciechy, gdy wsiadaliśmy tłumnie do wagonu na terenach piknikowych albo na Canal Street w niedzielny wieczór. Było nas wtedy o wiele więcej niż białych, więc automatycznie zajmowaliśmy cały wagon, siadając tak daleko z przodu, jak się nam podobało.

Przyjemnie było posiedzieć czasem na przodzie wagonu. Czuliśmy się wtedy trochę ważniejsi niż zwykle. Trudno powiedzieć dlaczego, może po prostu dlatego, że nie wolno nam było tam siadać.

Kiedy tramwaj stanął na rogu Tulane Avenue i Liberty Street, kobieta powiedziała:

- No, Louis. Tutaj wysiadamy.

Wysiedliśmy z tramwaju i spojrzałem wzdłuż Liberty Street. Jak okiem sięgnąć, przesuwali się po niej w obie strony tłumy ludzi. Wydała mi się podobna do James Alley i pomyślałem sobie, że nie brakowałoby mi specjalnie tamtej ulicy, gdyby nie babcia. Tak sobie myślałem, kiedy szliśmy do domu gdzie mieszkała Mayann - Miała jeden pokój w oficynie i w nim musiała gotować, prać, prasować i pielęgnować moją małą siostrzyczkę. Moje pierwsze wrażenie było tak silne, że pamiętam je dotąd, jakby to było wczoraj. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Jedno, co wiedziałem, to to, że jestem znowu z mamą i że kocham ją równie mocno jak babcie. Patrzyłem na moją biedną matkę, która leżała chora, bardzo chora... Ogarnęło mnie dziwne uczucie i zachciało mi się znowu płakać.

- Więc przyszedłeś do matki? - zapytała.

- Tak, mamó.

- Bałam się, że babcia cię nie puści. Zdaję sobie sprawę, że nie zrobiłam dla ciebie tyle, ile powinnam. Ale, synu, mama to nadrobi. Żeby nie ten twój niedobry ojciec, wszystko

poszłoby lepiej. Robiłam, co mogłam, ale zostałam sama jedna z tym maleństwem. Ty, synu, jesteś jeszcze młody i całe życie przed tobą. Zapamiętaj to sobie: kiedy ktoś jest chory, nikt mu nic nie da. Dlatego musisz dbać o swoje zdrowie. To ważniejsze niż pieniądze. Chcę, żebyś mi przyrzekł, że do końca życia będziesz przynajmniej raz w tygodniu brał na przeczysz-
czenie. Przyrzekasz?

- Tak, mamó - powiedziałem.

- Dobrze. Teraz podaj mi pigułki z górnej szuflady w komodzie. Są w pudełku z napisem „Drażetki węglowe”. Takie małe, czarne.

Wyglądały jak „Pigułki wątrobiane Cartera”, tylko że były chyba trzykrotnie czarniejsze. Kiedy na życzenie matki połknąłem trzy takie pigułki, kobieta, która mnie przywiozła, powiedziała, że musi już iść.

- No, to masz już swojego syna, a ja muszę wracać do domu i zrobić mojemu staremu kolację.

Kiedy wyszła, zapytałem mamę, czy ma coś dla mnie do zrobienia.

- Tak - powiedziała. - Pod chodnikiem na podłodze leży pięćdziesiąt centów. Weź je, idź do Zattermanna na Rampart Street, kup kawałek mięsa, funt czerwonej fasoli i funt ryżu. Potem zajdź do piekarni Stahle'a i kup dwa bochenki chleba za pięć centów. I wracaj szybko, synku.

To była moja pierwsza wyprawa do miasta bez opieki babci i dumny byłem, że matka posłała mnie samego aż na Rampart Street. Byłem zdecydowany wypełnić dokładnie jej polecenia.

Kiedy wyszedłem z podwórka na ulicę, zobaczyłem kilku obszarpanych, zasmarkanych chłopaków stojących na chodniku. Powiedziałem im grzecznie „cześć”.

Jak by nie było, urodziłem się na James Alley w dość podejrzaną okolicę i stykałem się już z różnymi facetami. Ale tamtejsi chłopcy nauczeni byli: przyzwyczajeni zachowywać się i właściwie odnosić się do ludzi. Wszyscy mówili „dzień dobry” lub „dobry wieczór”, modlili się przed jedzeniem i odmawiali wieczorny pacierz. Myślałem oczywiście, że wszędzie chłopcy są tak wychowani.

Kiedy zauważyli, jak czysto i porządnie byłem ubrany, otoczyli mnie wokół.

- Ej, ty! Jesteś maminsynek? - zapytał jeden z chłopaków.

- Maminsynek? Co to znaczy? - zapytałem.

- Co? Właśnie to, co ty jesteś. Maminsynek!

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

Groźny dryblas, którego nazywali Jednooki Bud zbliżył się do mnie i obejrzał moje białe ubranko w stylu Lorda Fauntleroya z kołnierzykiem „Buster Brown”.

- Więc nie rozumiesz, co? A, to bardzo źle!

Nabrał w garść błota i rzucił je na moje białe ubranko, które tak lubiłem, jedno z dwóch, jakie w ogóle posiadałem. Brudni, umorusani chłopcy śmiali się, kiedy stałem tak obryzganym błotem, nie bardzo wiedząc, co robić. Byłem młody i niedoświadczony, ale zdawałem sobie sprawę, że szanse są nierówne i że gdybym rozpoczął bójkę, porządnie bym oberwał.

- No, co, maminsynku! Nie podoba ci się? - zapytał Jednooki Bud.

- Nie, nie podoba mi się! - odpowiedziałem.

I zanim zdążyłem pomyśleć, co robię, zanim któryś z nich zdążyłby zareagować, skończyłem na tego łobuza i uderzyłem go prosto w twarz. Ze strachu uderzyłem go tak mocno, że rozkrwawiłem mu nos i wargi. Jego koledzy byli tak zaskoczeni moim czynem, że momentalnie dali nogę, a jednooki Bud wraz z nimi. Byłem zbyt oszołomiony, aby ich gonić, a zresztą nie miałem na to ochoty.

Bałem się, że Mayann mogła usłyszeć całe zamieszanie i zaszkodzi sobie wstawaniem z łóżka. Na szczęście nic nie słyszała, więc poszedłem po sprawunki.

Kiedy wróciłem, pokój matki pełen był gości, był to tłum kuzynów, których w ogóle nie znałem. Isaac Miles, Aaron Miles, Jerry Miles, Willie Miles, Louisa Miles, Sarah Ann Miles, Flora Miles (która była wtedy jeszcze bardzo malutka) i wujek Ike Miles, wszyscy czekali, żeby zobaczyć swego nowego kuzyna, jak o mnie mówili.

- Louis - powiedziała matka - musisz poznać członków naszej rodziny.

„Ojejku” - pomyślałem - „to ci wszyscy ludzie są moimi kuzynami?”.

Ojcem tych wszystkich dzieci był wujek Ike Miles.

Żona mu umarła i zostawiła je na jego opiece i utrzymaniu. Trzeba powiedzieć, że dobrze się z tego wywiązywał. Pracował na przystani przy wyładunku statków. Nie była to regularna praca i nie zarabiał na niej zbyt wiele, ale jego dzieci miały zazwyczaj co jeść i nosiły czyste koszule. Mieszkał razem z nimi, w jednym pokoju, gdzie jakoś potrafił je wszystkie upchać. Tyle, ile się zmieściło, spało w łóżku, a reszta na podłodze. Poczciwy wujek Ike. Gdyby nie on, nie wiem, co by było ze mną i z Mamą Lucy, bo kiedy Mayann nieraz potem poniosło na miasto, potrafiła nie wracać przez szereg dni. W takich wypadkach zawsze podrzucała nas wujkowi Ike’owi.

W jego pokoju spałem między Aaronem i Isaakiem, a Mama Lucy między Florą i Louisą. Dzieci wujka były za leniwe, żeby zmywać talerze, więc jedliśmy z blaszanych naczyń, które przynosił wujek Ike.

Wszystkie talerze dzieci potłukły, żeby nie trzeba było ich zmywać. Wujek Ike miał z nimi naprawdę ciężkie życie. Były to chyba najgorsze dzieciaki, jakie znałem, ale mimo to jakoś razem dawaliśmy sobie radę.

Jak już mówiłem, matka zawsze pouczała mnie i Mamę Lucy o cudownym działaniu środków przeczyszczających.

- Małe przeczyszczenie raz lub dwa razy na tydzień - mawiała - usunie wszelkie dolegliwości i zarazki, które nie wiadomo skąd biorą się w żołądku. Nie stać nas na jakiegoś lekarza za pięćdziesiąt centów czy dolara.

Za te pieniądze gotowała gary czerwonej fasoli z ryżem, a system przeczyszczający chronił nas od chorób. Jak wszystkie dzieci w tej części Nowego Orleanu chodziliśmy właściwie cały czas boso, więc od czasu do czasu wbijał się nam w nogę jakiś gwóźdź, drzazga czy szkło. Ale byliśmy młodzi, zdrowi i odporni jak diabli, więc takie drobiazgi jak szczękoscisk szybko nam przechodziły.

Matka wraz z sąsiadkami szła wtedy na tory kolejowe, skąd przynosiła koszyki dzikiej rzeżuchy. Gotowała ją tak długo, aż robiła się papkowata, i okładała nią skaleczenie. Bywało, że po dwóch, trzech godzinach takiej kuracji wyskakiwaliśmy z łóżek i biegali po ulicy jak gdyby nigdy nic.

„Głupi ma zawsze szczęście” - mówi stare przysłowie. Aż strach pomyśleć, jakie niebezpieczeństwa czyhały na nas na każdym kroku. W naszej okolicy ciągle burzono stare domy i budowano nowe i wszędzie pełno było zardzewiałych puszek, gwoździ, desek, potłuczonych butelek i szyb. Lubiliśmy się bawić w tych domach, a najbardziej ulubioną zabawą była „wojna”, o której tyle było wtedy w kinach.

Oczywiście, niewiele o wojnie wiedzieliśmy, ale mimo to wybieraliśmy spośród siebie oficerów różnej rangi. Jednooki Bud mianował się „generałem armii”, a mnie wyznaczył na „szefa intendenty.

Kiedy go zapytałem, co mam robić, powiedział, że jak ktoś zostanie ranny, to ja mam iść na pole bitwy i ściągnąć go.

Pewnego dnia, kiedy taszczyłem „rannego” kolegę z pola, oderwał się kawałek dachówki i wylądował na mojej głowie. Uderzenie było tak silne, że straciłem przytomność i pod wpływem szoku dostałem szczękoscisku. Gdy odstawiono mnie do domu, Mayann i Mama Lucy zwijały się jak w ukropie, zaparzając różne zioła i korzenie, którymi okładały

mi głowę. Potem dały mi szklankę „Wody Pluto” i położyły do łóżka. Wypocilem się zdrowo przez całą noc, a rano jak gdyby nigdy nic poszedłem do szkoły.

Rozdział II

Po kilku tygodniach matka wyzdrowiała i poszła pracować u jakichś bogatych białych na Canal Street niedaleko miejskiego cmentarza City Park. Cieszyłem się, widząc ją znowu zdrową, i zacząłem zwracać uwagę na to, co się wokół mnie działo, zwłaszcza w okolicznych knajpkach, całkiem innych niż te na James Alley, które miały tylko pianina. Na ulicach Liberty, Perdido, Franklina i Poydras na każdym rogu były knajpki, w których grywano na różnych instrumentach. Na rogu naszej ulicy był sławny „Funky Butt Hall”, gdzie po raz pierwszy usłyszałem grę Buddy Boldena. Ten to miał zadęcie!

Było to z pewnością bardzo interesujące sąsiedztwo. Oczywiście my, dzieci, nie miałyśmy prawa wstępu do „Funky Butt”, ale mogłyśmy słuchać orkiestry z ulicy. W tych czasach należało do tradycji, że kiedy miała być zabawa, zespoły zawsze co najmniej przez pół godziny grały przed knajpą, a dopiero później przenosiły się do środka, do sali tanecznej. Robiono tak we wszystkich częściach miasta, aby przyciągnąć gości do lokalu, i na ogół z dobrym skutkiem.

Ten Buddy Bolden dął tak potężnie, że często zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę miał tyle siły w płucach, żeby zagrać na takim kornecie. Nie przeczę, że Buddy Bolden był wielkim muzykiem, ale myślę, że grał zbyt gwałtownie. Powiedziałbym nawet, że nie grał poprawnie. Zawsze w końcu dawał się ponieść szaleństwu. Możecie to sobie chyba wyobrazić.

Prawdziwą muzykę można było usłyszeć, kiedy Bunk Johnson grał na kornecie z zespołem Eagle Band. Byłem jeszcze mały, ale potrafiłem to odczuć.

W zespole tym grali Bunk Johnson - kornet, Frankie Ducson - puzon, Bob Lyons - bas, Henry Zeno - perkusja, Bill Humphrey - klarnet, „Dandy”

Lewis - wiolonczela.

Słuchając tych chłopców, słyszało się prawdziwą muzykę. Oczywiście, największą sławą cieszył się Buddy Bolden, ale ja już jako mały chłopiec wyczuwałem subtelności, nawet w muzyce.

Królem wszystkich muzyków był Joe Oliver, najwspanialszy trębacz, jaki kiedykolwiek grał w Nowym Orleanie. Miał on tylko jednego rywala Bunka Johnsona, i to tylko jeśli chodzi o ton. Nikt nie miał tego ognia i takiej kondycji jak Joe. Nikt w jazzie nie stworzył też tyle muzyki co on. Prawie wszystko, co mamy obecnie w muzyce wartościowego, zawdzięczamy jemu. To dlatego dano mu przydomek „King”, na który w pełni zasłużył. Kiedy grał

w „Lincoln Gardens” w Chicago, ze wszystkich stron świata zjeżdżali się muzycy, aby go posłuchać, i na każdym z nich robił wielkie wrażenie.

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, byłem jeszcze smarkaczem, a jednak to, co mi wtedy powiedział, było mi miłsze niż wszystko, cokolwiek usłyszałem od różnych osobistości muzycznych.

Oczywiście, mając pięć lat, nie grałem jeszcze na trąbce, ale było coś w tym instrumencie, co mnie pociągało. Kiedy byłem w kościele albo gdy jako „drugoliniowy” towarzyszyłem orkiestrom dętym na paradach, zacząłem dokładnie przysłuchiwać się różnym instrumentom i zwracać uwagę na to, co i jak na nich grano. Właśnie tak nauczyłem się dostrzegać różnice pomiędzy Buddy Boldenem, Kin1 „Second line” - dosł. druga linia. Tak nazywano wszystkich towarzyszących orkiestrom dętym w czasie parad oraz przy innych okazjach. Oliverem i Bunkiem Johnsonem. Z tych trzech trębaczy Bunk Johnson miał najpiękniejszy ton, największą wyobraźnię i najsubtelniejsze wycucie frazy.

Obecnie wszyscy uważają, że to Bunk uczył mnie gry na trąbce, bo mój ton jest trochę podobny do jego tonu. Ale to wszystko, co mamy ze sobą wspólnego.

Dla mnie ton Joe Olivera był wcale nie gorszy od Bunka. A jaką Oliver miał skalę, jaki był twórczy!

To właśnie on stworzył wiele spośród najsłynniejszych obecnie fraz i wyznaczył kierunki dalszego rozwoju muzyki. Jak już mówiłem, Bolden był trochę za szorstki i jego gra nie mogła mnie wzruszyć.

Następni po Oliverze i Bunku byli młody Kreol Buddy Petit i Joe Johnson. Obaj grali na kornecie i obaj, niestety, poumierali młodo. Szkoda, że tak mało ludzi ich słyszało.

Mayann zapisała mnie do Fisk School na rogu ulic Franklina i Perdido. Byłem pojętny i pilny, więc nie zabawiłem długo w przedszkolu i szybko znalazłem się w drugiej klasie. Po trafiłem już czytać gazetę starszym sąsiadom, którzy pomagali mamie w wychowywaniu mnie. Kiedy trochę podrosłem, zacząłem sprzedawać gazety, aby pomóc matce związać koniec z końcem. Od starszych chłopców szybko nauczyłem się sztuki dostawiania napiwków. Kiedy nie biegaliśmy z gazetami, graliśmy na drobniaki w kości, w oczko lub jakąś inną grę. Wkrótce stałem się pierwszorzędnym graczem i dawałem sobie radę z innymi chłopakami. Bywało, że wracałem wieczorem do domu z kieszeniami pełnymi jedno-, pięcio - i dziesięciocentówek. Czasem trafiały się nawet dwudziestopięciocentówki. Mieliśmy wtedy z matką i siostrą pieniądze na niezbędne sprawunki.

Parę razy kupiłem nawet matce nową sukienkę, a sobie krótkie spodnie w sklepie na Rampart Street.

Oczywiście, nie mogłem kupić sobie butów, ale to nie było ważne, bo i tak zawsze chodziliśmy na bosaka.

Zamiast koszuli miałem długą niebieską bawełnianą bluzę, a pod spodem spodnie na szelkach.

Zanim zaznałem szczęścia posiadania spodni kupionych w sklepie, nosiłem spodnie swoich „ojczymów” zawinięte od dołu, tak że wyglądały jak pumpy. Mayann miała tych „ojczymów” tylu, że nie narzekałem na brak spodni. Wystarczyło, żebym ją na chwilę spuścił z oka, a już zjawiał się nowy „tatuś”.

Niektórzy z nich byli fajnymi facetami, ale zdarzały się też typy spod ciemnej gwiazdy, jak na przykład Albert. Slim był niewiele lepszy, ale Albert był najgorszy ze wszystkich. Pewnego dnia Albert wraz z moją matką siedzieli na brzegu starego kanału koło Galves Street, kłócąc się o coś, a ja bawiłem się w pobliżu. Nagle wrzasnął „Ty czarna suko!”, i trzasnął ją pięścią w twarz tak, że wpadła do wody.

A potem wstał i poszedł, nie obejrawszy się nawet za siebie. O Jezu, co się wtedy ze mną działo! Mayann krzyczała w wodzie z twarzą całą we krwi, a ja darłem się wniebogłosy o pomoc. Nadbiegli jacyś ludzie i wyciągnęli ją, ale co ja przeżyłem! Nigdy nie przebaczę temu człowiekowi i jeśli go kiedykolwiek spotkam, nie ujdzie mi żywy. Od tamtego czasu bywałem wiele razy w Nowym Orleanie, ale nigdy go nie widziałem. Moi starzy znajomi mówią, że już nie żyje.

Najfajniejszym z moich ojczymów (pamiętam ich co najmniej sześciu) był Gabe. Nie był tak wykształcony ani tak cwany jak inni, ale miał zdrowy rozsądek, a to właśnie wtedy cenilem. Bardzo go lubiłem. Ojczym Slim też był niezły, ale za dużo pił.

Potrafił jednego dnia być miły, a na drugi dzień bił Mayann. Nigdy jednak nie zrobiłby tego przy mnie.

Miałem ciągle w pamięci tę awanturę z ojczymem Albertem i zawsze stanąłbym w obronie matki, gdyby ktoś podniósł na nią rękę.

Za czasów Slima byłem już dosyć dużym chłopakiem. Wtedy koło nas codziennie zdarzały się jakieś bójki; były się łobuzy, były się prostytutki, a nawet dzieci. W naszej dzielnicy wciąż jakieś domy były w rozbiórce, więc zawsze pod ręką znalazła się kupa cegieł. Kiedy tylko dwaj faceci o coś się poprzytkali, pędzili do najbliższego rumowiska i zaczęli rzucać w siebie cegłami. Przyglądając się tym bijatykom, my, chłopcy, szybko zaczęliśmy je naśladować.

Któregoś ranka o dziesiątej pomiędzy Slimem i Mayann wybuchła awantura. Bójka toczyła się na Gravier, a potem na Franklin Street. Slim i Mayann - ciągle się tłukąc - przetoczyli się przez całą Franklin Street, aż wreszcie dotarli do knajpy Kida Browna, gdzie właśnie sprzątano i drzwi były otwarte. Podczas gdy oni miotali się po barze, wokół pianina i po parkiecie, pewien mój przyjaciel, zwany Cocaine Buddy, przybiegł po mnie; wychodziłem wtedy na dużą przerwę.

- Szybko, Dipper (to było moje przezwisko, skrót od Dippermouth z utworu Dippermouth Blues)zawołał. - Jakiś facet bije twoją matkę!

Rzuciłem książki i popędziłem. Gdy znalazłem się przy barze Kida Browna, tamci wytaczali się właśnie z powrotem na ulicę.

- Zostaw moją matkę! Zostaw moją matkę! - krzyknąłem.

Kiedy Slim nie zareagował, zaświtała mi myśl „Cegły!” Nie minęła minuta, jak zacząłem obrzucać go cegłami, a nie zmarnowałem ani jednej. I baseballista Satchel Paige nie byłby bardziej celny.

- Uciekaj, bo jak cię Slim dorwie...! - krzyczeli ludzie.

Ale nic mi już nie groziło. Jedna cegła tak rąbnęła go w bok, że aż zgiął się we dwoje. Nie w głowie mu już było biec za kimkolwiek. Dostał boleści i trzeba go było zabrać do pobliskiego Szpitala Miłosierdzia. Nigdy więcej nie widziałem Slima na oczy.

Potrafił on niezłe grać bluesa, ale poza tym nie mieliśmy z sobą nic wspólnego. Właściwie, to jego styl mi się specjalnie nie podobał.

Im stawałem się większy, tym uważniej obserwowałem wszystko i wszystkich w okolicy ulic Liberty i Perdido. Lubiłem bardzo tych wszystkich ludzi i oni mnie lubili. Zarówno ci dobrzy, jak i ci źli uważali, że Mały Louis (tak o mnie mówili) jest O.K. Znałem swoje miejsce, każdego uszanowałem i nigdy nie byłem niegrzeczny czy arogancki. Tego nauczyły mnie Mayann i babka. Oczywiście, mój ojciec nie miał czasu nauczyć mnie czegokolwiek; zbyt był zajęty uganianiem się za dziwkami.

Mój rodzony ojciec był eleganckim, wysokim, przystojnym i dobrze zbudowanym mężczyzną. Babki mdlały na jego widok, gdy jako „wielki marszałek przemaszerowywał w pochodzie Towarzystwa Masońskiego. Byłem bardzo dumny, widząc go w galowym stroju i cylindrze, przepasanego piękną wstęgą. Tak, z mojego taty był kawał chłopca! A przynajmniej tak mi się wydawało w dzieciństwie, kiedy patrzyłem, jak kroczył dumny jak paw na czele defilady.

Ojczym Tom, kiedy żył z Mayann, pracował w „Hotelu De Soto” na rogu Barrone i Perdido. Przynosił stamtąd wiele smacznych kąsków, które zostawały na obsługiwanych

przez niego stołach. Mayann przygotowywała mi z nich pierwszorzędne drugie śniadania, które brałem ze sobą do szkoły, gdy praca zatrzymywała ją cały dzień poza domem. Kiedy wyjmowałem te wspaniałości na szkolnym podwórzu, wszystkie dzieciaki zbierały się wokół mnie jak zgłodniałe wilki i nie dawały mi spokoju tak długo, dopóki nie dowiedziały się, co przyniosłem i najlepsze befsztyki, kotlety, kawałki kurczaka, jajka czy inne smaczne rzeczy.

Pewnego dnia, kiedy jadłem śniadanie, otaczające mnie tłumnie dzieciaki nagle się rozstały i rozbiegły na wszystkie strony. Zdziwiony podniosłem głowę i zobaczyłem Jednookiego Buda na czele jego bandy, tego samego, z którym miałem starcie, kiedy mama posłała mnie pierwszy raz do sklepu na Rampart Street. Nie dając nic poznać po sobie, że się boję, czekałem, aż się zbliżą. Myślałem, że znajdę się w opałach, a tymczasem jeden z nich powitał mnie grzecznie.

- Cześć, Dipper.

- Cześć, chłopcy - odpowiedziałem, ukrywając zdenerwowanie. - Chcecie coś na ząb?

Rzucili się na moje śniadanie, jakby z tydzień nic nie jedli. Nie przejmowałem się tym. Choć to były nicponie, byłem zadowolony, że im zrobiłem przyjemność. Zostali później moimi dobrymi kolegami i nigdy więcej mnie nie napastowali. Mało tego pilnowali, żeby mnie nikt inny nie zaczepiał. A niezłe z nich były łobuzy. Jeszcze dziś, kiedy pomyślę, że wzięli mnie za jednego ze swoich, diabelnie chce mi się śmiać.

Kierowniczką naszej szkoły była poczciwa Mrs.

Martin, która wraz ze swym mężem świetnie ją prowadziła. Wszyscy w okolicy bardzo ich lubili. Rodzinę mieli liczną, a dwaj ich synowie byli dobrymi i bardzo popularnymi muzykami. Henry Martin był perkusistą w słynnym zespole Kida Ory, który Mrs.

Cole angażowała na swoje zabawy na świeżym powietrzu. Urządzała je dwa, trzy razy w tygodniu i kiedy grała orkiestra Kida Ory, nie można się było tam wcisnąć. Kootchy Martin był świetnym pianistą, a jego ojciec grał pięknie na skrzypcach. Tego ostatniego nie pamiętam zbyt dobrze, bo znikł z Nowego Orleanu, kiedy byłem jeszcze mały. Był zamieszany w wielką aferę wyścigową w East Saint Louis, po której słuch o nim zaginął.

Moim kolegą był Walter Martin. Poznałem go bardzo dobrze, kiedy pracowaliśmy razem w dobrych starych czasach, gdy królowały w mieście knajpki zwane „honky-tonky”. Walter był fajnym facetem i miał najmiłsze pod słońcem usposobienie.

Mrs. Martin miała trzy piękne córki o jasnej skórze Kreolki Orleanię, Alice i Wilhelminę. Dwie starsze wyszły za mąż. Ja kochałem się w Wilhelminie, ale umarła, biedactwo, zanim odważyłem się jej o tym powiedzieć. Była tak dobra i miła, że miała tłum wielbicieli. Mój kompleks niższości sprawił, że nie czułem się jej godny. Oddałbym wszyst-

ko, aby móc ją jeszcze raz zobaczyć. Gdy uśmiechała się do mnie, cały świat się rozjaśniał. Stara Mrs. Martin jeszcze żyje i jest bardzo ruchliwa jak na swoje osiemdziesiąt lat. Niech ją Bóg ma w swojej opiece.

Dla każdego nieszczęśnika, który zastukał do jej drzwi, znajdowała słowa pociechy, a dla zgłodniałego łyżkę stawy.

Naprzeciwko naszego domu był kościół Ojca Cozy.

Pastor ten był najpopularniejszym kaznodzieją w okolicy, a jego kazania przyciągały również ludzi z innych dzielnic. Pamiętam jeszcze ten wieczór, gdy mama wzięła mnie do jego kościoła. Ojciec Cozy zapalał się coraz bardziej, aż wreszcie wpadł w trans.

Wkrótce cały kościół rozkołysał się. Mama w ekstazie wypchnęła mnie z ławki, zaczęła krzyczeć i kiwać się w przód i w tył. Była tęgą kobietą i potrzeba było sześciu najsilniejszych „braci”, żeby ją unieruchomić i uspokoić. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem i nic z tego nie kapowałem. Śmiałem się głupio, lecz kiedy wróciliśmy do domu, mama mnie skrzyczała.

- Ty mały głuptasie! - wołała. - Jak możesz się śmiać, widząc, że się nawracam?

Po tym zajściu mama naprawdę stała się religijna.

Widziałem jej chrzest w Missisipi, gdzie zanurzali ją w wodzie tyle razy, że już się bałem, że się utopi.

Chrzest zrobił swoje i Mayanm do końca życia pozostała religijna.

Kiedy sprzedawałem gazety, brałem je od fajnego białego chłopaka imieniem Charles, który był ze cztery lata starszy ode mnie. Miał o mnie dobre mniemanie i często rozmawiał ze mną o życiu i dawał mi praktyczne rady i wskazówki. Powiedziałem mu o ulicznym kwartecie, w którym śpiewałem, i o tym, ile forsy uzbieraliśmy nieraz do czapki. Był zmartwiony tym, że w moim wieku chodziłem do dzielnicy „czerwonych świateł” śpiewać dla prostytutek i alfonsów. Wy tłumaczyłem mu, że można tam było więcej zarobić i że tamtejsi ludzie przepadali za naszym śpiewem. To go przekonało. Gazety do sprzedania brałem od niego nadal, aż do chwili gdy zostałem aresztowany w Nowy Rok za bieganie ze starym pistoletem, który jeden z moich ojczymów miał schowany w domu.

Rozdział III

W Nowym Orleanie radośnie obchodzony jest cały okres od Bożego Narodzenia do Nowego Roku. Urządza się pochody z pochodniami i puszcza sztuczne ognie. W tamtych czasach modna była również strzelanina; strzelaliśmy z czego popadło - z pistoletu czy strzelby, aby głośniej. Oczywiście, oficjalnie nie wolno nam było posiadać broni, więc musieliśmy mieć oko na policję, żeby nas nie zwinęła za jej noszenie. Taki właśnie los spotkał mnie, lecz właściwie dzięki temu nauczyłem się grać na trąbce.

Ten pistolet, kaliber 38, znalazłem na dnie cedrowego kufra Mayann. Ona naturalnie nie wiedziała o tym, że wziąłem go z sobą tamtego wieczora, gdy szedłem śpiewać.

Ale najpierw muszę wyjaśnić, co robił nasz kwartet, aby przyciągnąć publiczność. Zaczynaliśmy swoją trasę od przejścia wzdłuż Rampart Street między Perdido i Gravier. Przodem szedł pierwszy głos i tenor, a za nim baryton i bas. Śpiewając, co popadło, wędrowaliśmy ulicami, dopóki ktoś nas nie zatrzymał, aby mu zaśpiewać parę piosenek. Potem nadstawialiśmy czapki, a pod koniec wieczoru dzieliliśmy się tym, co nazbieraliśmy. Zazwyczaj dla każdego przypadała całkiem niezła, jak na nasze możliwości, sumka. Wtedy leciałem do domu jak na skrzydłach i rzucałem mamie na kolana swoją część.

Mały Mack, pierwszy głos w naszym kwartecie, został potem jednym z najlepszych perkusistów w Nowym Orleanie. Wielkonosy Sidney śpiewał basem.

Rudy Happy Bolton był naszym barytonem. Happy był też perkusistą i największym showmanem bębnow - wszyscy nowoorleańscy weterani to potwierdzą. Ja byłem tenorem. Śpiewając, trzymałem dłoń za uchem i poruszałem ustami na boki; pięknie to brzmiało. Jako młody chłopiec miałem wysoki głos; tak było aż do czasu wyjścia z poprawczaka, w którym wkrótce miano mnie zamknąć.

Szliśmy jak zwykle wzdłuż Rampart Street, nie zajmując się niczym innym oprócz śpiewu, gdy nagle po drugiej stronie ulicy jakiś chłopak niespodziewanie wyciągnął mały stary sześciopistoletowy pistolet i wygarnął z niego: du-du-du-du-du.

- Pokaż mu, Dipper! - krzyknęli moi chłopcy.

Bez namysłu wyciągnąłem rewolwer ojczyrna zza pazuchy, podniosłem go w górę i wystrzeliłem wszystkie naboje. Moja broń była lepsza od tamtej i moje sześć strzałów narobiło znacznie więcej hałasu. Chłopak położył uszy po sobie i umknął jak zając. Pośmialiśmy się i śpiewając poszliśmy dalej.

Za chwilę, jeszcze na Rampart Street, naładowałem znowu broń i zacząłem strzelać w powietrze ku wielkiej uciechu moich towarzyszy. Właśnie wystrzeliłem swój ostatni ślepy nabój, kiedy poczułem na sobie z tyłu parę silnych ramion. Wieczór był dość chłodny, ale na mnie uderzyły siódme poty. Koledzy momentalnie zwiali, zostawiając mnie samego.

Obejrzałem się i zobaczyłem wysokiego białego tajniaka, który mnie obserwował, jak strzelałem. O rany! Zacząłem płakać i prosić na wszelkie sposoby.

- Proszę pana, niech mnie pan nie aresztuje... Już nigdy tego nie zrobię... Proszę pana... Niech pan mnie puści do mamy... Już nigdy...

Ale nic nie pomogło. Tajniak mnie nie puścił, tylko odprowadził do Sądu dla Nietletnich. Tam zamknięto mnie w celi, gdzie splakany i zgnębiony zasnąłem na twardej pryczy. Rano ogarnął mnie strach. Co się ze mną stanie? Gdzie mnie wsadzą? Nie miałem pojęcia, co to jest zakład poprawczy. Jak długo będę musiał tam siedzieć? Czy to poważne przestępstwo - strzelać z pistoletu na ulicy? O Boże! W głowie kręciło mi się od różnych myśli i w żaden sposób nie mogłem się uspokoić. Byłem przerażony, bardziej przerażony niż wtedy, gdy Jack Johnson znokautował Jima Jeffriesa. Tamtego dnia szedłem po swoją porcję gazet do Charliego, który zatrudniał oprócz mnie także wielu innych kolorowych chłopaków.

Na Canal Street zobaczyłem tłum kolorowych chłopców, którzy jak zwariowani pędzili w moją stronę.

Zapytałem jednego z nich, co się stało.

- Lepiej zwiewaj, bracie! - wysapał i pociągnął mnie za sobą. - Jack Johnson znokautował Jima Jeffriesa! Białe chłopaki są wściekłe i chcą się na nas odegrać.

Nie musiał mi tego dwa razy powtarzać. Popędziłem co sił w nogach i minąłem wszystkich. Umiałem szybko biegać, więc gdy gromada uciekających chłopców dobiegła do naszej ulicy, ja siedziałem sobie bezpiecznie w domu i wyglądałem przez okno. Następnego dnia było już spokojnie.

Ale wróćmy do celi, w której przesiedziałem całą noc za to strzelanie. O dziesiątej rano zazgrzytał klucz w zamku i w drzwiach stanął jakiś człowiek z pękiem kluczy.

- Louis Armstrong? - zapytał.

- Tak, proszę pana:.

- Chodź ze mną, pójdziesz do Zakładu Poprawczego dla Kolorowych chłopców.

Na podwórzu czekał już wóz z budą, podobny do tych, którymi przewożono aresztantów, zaprzężony w dwa dobrze utrzymane konie. Drzwi z małym zakratowanym okienkiem zatrzasnęły się i wóz ruszył, wioząc mnie wraz z gromadą innych chłopaków zatrzymanych za to samo co ja.

Zakład Poprawczy był to stary budynek, który na pewno służył dawniej do innych celów. Znajdował się on za miastem, naprzeciw wielkiej mlecznej farmy, gdzie było mnóstwo krów, byków i cielaków, a także trochę koni. Niektóre zwierzęta jadły, inne brykały wokół, jakby chciały pokazać wszystkim, jak im jest dobrze. Przeciętny frajer powiedziałby na pewno, że te zwierzęta musiały powariować, skoro tak biegają; co do mnie - to myślę, że chciały w ten sposób wyrazić swoją radość i zadowolenie.

Kiedy wraz z innymi chłopakami wyszedłem z wozu, pierwsze, co zauważyłem, to był szpaler dużych drzew przed budynkiem. W powietrzu unosił się piękny zapach.

- Co to za kwiaty tak pięknie pachną? - zapytałem.

- Banksje - odpowiedział ktoś.

Ogromnie polubiłem zapach tych kwiatów; mógłbym je wąchać bez końca.

Mieszkańcy poprawczaka właśnie jedli lunch. Przeszliśmy długim korytarzem do sali jadalnej, gdzie chłopcy siedzący w długich rzędach jedli fasolę z cynowych talerzy. Powitali mnie formułką dla przybyszów: „Witaj, nowy kolego. Witaj w nowym domu”. Byłem zbyt przygnębiony, aby odpowiedzieć.

Usiadłem na końcu stołu, podsunęto mi talerz z fasolą. Kiedy indziej nic by mnie pewnie nie powstrzymało od walnięcia taką fasolą o ziemię. Tym razem jednak odsunąłem ją tylko od siebie. Tak było przez parę dni. Opiekunowie: państwo Jones, Mr. Alexander i Mr. Peter Davis, widzieli, że nie jadłem posiłków, ale nic nie mówili. Czwartego dnia byłem tak wygłodniały, że pierwszy znalazłem się przy stole. Mr. Jones i jego koledzy wybuchnęli śmiechem. Uśmiechnąłem się niewyraźnie. Ich humor wcale mi się nie udzielał; nie było mi do śmiechu.

Wszyscy opiekunowie byli kolorowi. Mr. Jones, młody człowiek, który do niedawna służył w kawalerii, codziennie rano na dziedzińcu urządzał nam ćwiczenia. Uczyliśmy się władać bronią, używając drewnianych karabinów.

Mr. Alexander uczył chłopców stolarki, ogrodnictwa i rozpalania obozowych ognisk. Mr. Peter Davis uczył muzyki i śpiewu. Każdy chłopiec miał prawo wybrać sobie zajęcie, które go interesowało.

Mnie, oczywiście, ciągnęło do Mr. Davisa i jego muzyki. Muzykę miałem we krwi - z tym się już urodziłem. Niestety, na początku stosunki między nim a mną nie układały się najlepiej, bo Mr. Davisowi nie podobała się okolica, z której pochodziłem. Uważał on, że najgorsze łobuzy pochodzą właśnie z ulic Liberty i Perdido, gdzie pełno było podejrzanych knajp, ciemnych typów i prostytutek. Poza tym moja szkoła miała złą reputację. Mr. Davis był zdania, że skoro wychowywałem się w tak złym otoczeniu, sam też jestem pewnie nic

niewart. Od samego początku traktował mnie ostro, trzymałem się więc od niego z daleka. Raz, kiedy złamałem jakiś błahy przepis, dostałem piętnaście porządnych „łap”. Od tej pory przez dłuższy czas bardzo się go bałem.

Nasze życie było regulowane sygnałami trąbki.

Dźwięk sygnałówki budził nas rano, zaganiał wieczorem do łóżka i wołał na posiłki. Ten ostatni sygnał był dla nas najprzyjemniejszy. Niezależnie od tego, czy ścinałiśmy drzewa milę od domu, czy na dziedzińcu paliliśmy ognisko pod wielkim kotłem, aby wygotować swoją brudną bieliznę, kiedy zabrzmiał sygnał na posiłek, lecieliśmy do stołówki, jakby ziemia paliła się nam pod nogami. Zazdrościłem chłopcu grającemu na sygnałówce, bo najczęściej ze wszystkich miał do czynienia z instrumentem.

Kiedy orkiestra ćwiczyła z Mr. Davisem, który był dobrym instruktorem, przysłuchiwałem się pilnie, nie miałem jednak śmiałości zbliżyć się do nich, chociaż mnie strasznie ciągnęło. Bałem się, że Mr. Davis mnie wykrzyczy albo da mi po łapie. Byłem przekonany, że mnie nienawidzi, więc siedziałem gdzieś w kącie i z wielką przyjemnością przysłuchiwałem się orkiestrze.

Ta mała dęta orkiestra była bardzo dobra, a Mr.

Davis nauczył chłopaków grać po trosze muzyki każdego rodzaju. Nigdy nie próbowałem grać na kornecie, ale zawsze, kiedy tylko przysłuchiwałem się temu zespołowi, przypominali mi się Joe Oliver, Buddy Bolden i Bunk Johnson. Miałem straszną ochotę nauczyć się grać na kornecie, ale Mr. Davis mnie nienawidził, a poza tym nie wiedziałem, jak długo będą mnie trzymać w poprawczaku. Sędzia skazał mnie na czas nieokreślony, co znaczyło, że będę musiał siedzieć tak długo, dopóki on sam mnie nie wypuści albo jakaś ważna biała osoba nie poręczy za mnie, moją matkę i ojca. Tylko w taki sposób mógłbym się stąd szybko wydostać. Miałem więc dużo czasu, aby słuchać zespołu i marzyć o grze na kornecie.

Wreszcie dzięki Mr. Jonesowi dostałem się na naukę śpiewu. Moim pierwszym nauczycielem była Miss Spriggins. Potem przeniesiono mnie do Mrs. Vigne, która uczyła starsze klasy.

Czas płynął i nienawiść Mr. Davisa do mnie zaczęła wygasać. Od czasu do czasu czułem na sobie jego spojrzenie. Odwracałem wtedy wzrok, ale on spoglądał na mnie znowu z uśmiechem aprobaty, od którego robiło mi się ciepło na sercu. Odtąd kiedy tylko Mr. Davis przemówił lub uśmiechnął się do mnie, czułem się szczęśliwy. Boże, cóż to była za radość! Zaczynałem przyzwyczajać się do poprawczaka i zdając sobie sprawę, że pozostanę tam przez dłuższy czas, czułem, że muszę także przystosować się do życia w nim. Tak też się stało.

Minęło sześć miesięcy. Siedzieliśmy właśnie przy kolacji złożonej z ciemnej melasy i wielkiej pajdy chleba, która smakowała mi wtedy nie mniej niż domowy obiad z kurczaka. Mieliśmy już wstać od stołu, kiedy Mr. Davis zbliżył się wolno i stanął przy mnie.

- Louisie Armstrongu - powiedział - czy chciałbyś grać w naszej orkiestrze dętej?

Oniemiałem; byłem tak zaskoczony, że nie potrafiłem wykrztusić słowa odpowiedzi. Powtórzył pytanie, aby się upewnić, czy zrozumiałem, o co mu chodzi.

- Louisie Armstrongu, pytam, czy chciałbyś grać w naszej orkiestrze dętej?

- Oczywiście, że chciałem, Mr. Davis... Oczywiście, że chciałem - wyjąkałem.

Poklepał mnie po plecach i powiedział:

- Umyj się i przyjdź na próbę.

Myjąc się nie byłem w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o szczęściu, które mnie spotkało: nareszcie będę miał okazję grać na kornecie. Mydło dostało mi się do oczu, ale nie zwracałem na to uwagi. Myślałem o tym, co powiedzą chłopaki z naszej paczki, kiedy zobaczą, jak idę ulicą dmuchając w kornet. Wyobrażałem już sobie, że gram równie potężnie i jestem równie wytrzymały co Bunk, Jo czy Bolden. Skończyłem mycie i pobiegłem na próbę.

- Jestem, Mr. Davis!

Ku mojemu zdziwieniu wręczył mi tamburyn - tę śmieszłą zabawkę przypominającą miniaturowy bęben, w którą uderza się palcami. A więc tak miały się skończyć moje cudowne marzenia! Nie powiedziałem jednak ani słowa. Wziąłem tamburyn i zacząłem wybijać na nim rytm utworu, który grała orkiestra. Mr. Davisowi tak bardzo się to podobało, że natychmiast przesadził mnie do bębnow. Musiał się zorientować, że miałem to poczucie rytmu, którego szukał.

Zespół grał At the Animals Ball, bardzo wtedy popularną melodię, w której perkusja miała break.

Kiedy przyszedł właściwy moment, zagrałem tę wstawkę tak zgrabnie, że chłopcy krzyknęli: „Brawo, Louis Armstrong!”, a Mr. Davis skinął głową z uznaniem. Niczego więcej nie było mi potrzeba; dla każdego chłopaka, który chciał zostać muzykiem, jego aprobatą była najważniejsza.

- Bardzo dobrze, Louis - powiedział. - Ale ja potrzebuję alcy. Może byś spróbował?

- Wszystko, co tylko pan sobie życzy, Mr. Davis! - odpowiedziałem z pełnym przekonaniem.

Wręczył mi alt. Śpiewałem kilka lat i instykt podpowiedział mi, że alt gra w orkiestrze taką samą rolę jak baryton czy tenor w kwartecie. Zagrałem więc swoją partię na alicie bardzo dobrze.

Kiedy próba się skończyła, sygnałówka wezwała nas na spoczynek. Chłopcy ustawili się w rzędzie i przy dźwiękach orkiestry pomaszzerowali do sypialni. Tam mogliśmy rozmawiać do dziewiątej, kiedy gaszono światło i obowiązywała cisza nocna, a wszyscy musieli iść spać. Mimo to rozmawialiśmy sobie dalej szeptem, uważając, żeby nie zwrócić na siebie uwagi opiekunów, którzy spali na parterze w pobliżu państwa Jones. Nielicho by się nam dostało, gdyby nasze głośne gadanie sprowadziło kogoś z nich na górę.

Rano, gdy sygnałówka zagrała pobudkę, wyskakiwaliśmy z łóżek, starając się ubrać jak najszybciej. Oni wiedzieli, ile na to trzeba czasu, mieli przecież praktykę. Jeśli ktoś się spóźnił, musiał mieć odpowiednie usprawiedliwienie, w przeciwnym razie dostawał po łapie.

Próba ucieczki z poprawczaka nie miała sensu.

.Wszyscy, którzy próbowali, zostali złapani przed upływem tygodnia. Pewnej nocy, kiedy spaliśmy, jeden chłopak spuścił się z okna po kilku związanych prześcieradłach. Wy-smarował się cały tłuszczem, aby móc się przecisnąć przez drewniane sztachety wokół budynku, i znikł. Nikt z nas nie rozumiał, jak mu się to udało, i baliśmy się strasznie, że dostaniemy baty za rzekomą pomoc w ucieczce.

Ale nic takiego się nie stało. Jedno, co powiedzieli, to:

- On niedługo wróci.

I mieli rację. Złapano go i przywieziono przed upływem tygodnia. Był strasznie brudny i zaniedbany, bo spał po różnych opuszczonych domach i w ogóle, gdzie popadło, a żywił się tylko tym, co udało mu się zwędzić. Złapała go policja i trafił znowu do Sądu dla Nietletnich.

Pierwszego dnia po powrocie nikt nie powiedział mu ani słowa. Zastanawialiśmy się wszyscy, co się z nim stanie; przypuszczaliśmy jednak, że nielicho dadzą mu w kość. Kiedy trębacz odegrał wieczorny sygnał i zaczęliśmy przygotowywać się do spania, wychowawcy odczekali, aż wszyscy się rozbiorą i będą chcieli wkładać pizamy.

W tym momencie Mr. Jones krzyknął.

- Stop, chłopcy!

Potem spojrział na uciekiniera.

- Wszyscy wkładać pizamy, oprócz niego. On uciekł i musi to odpokutować.

Zaczęliśmy wszyscy płakać, ale na nic się to nie zdało. Mr. Jones wezwał do pomocy czterech najsilniejszych chłopaków. Dwóm z nich kazał trzymać zbiega za nogi, a dwóm za

ręce, tak że mógł on tylko ruszać pośladkami. W te gołe, kurczące się pośladki Mr. Jones wlepił mu sto pięć batów. Wszyscy chłopcy się darli, ale im głośniejszy krzykliwaliśmy, tym mocniej uderzał. To było okropne patrzeć na cierpienia tego chłopaka. Przez przeszło dwa tygodnie nie mógł usiąść.

Widziałem jeszcze kilku głupców, którzy próbowali uciekać, ale po tym, co się stało z tym pierwszym chłopakiem, straciłem na to ochotę.

Pewnego dnia wyciągaliśmy z torów kolejowych stare podkłady, które kolej dała nam na opał. Do niesienia każdego podkładu potrzeba było dwóch chłopców. W naszej grupie był osiemnastoletni chłopak z małego miasteczka Houma w stanie Luizjana.

Po tym, jak kaleczył piękny angielski język, można było od razu poznać, że pochodził z dziury zabitej deskami. Od nazwy jego rodzinnej miejscowości nazywaliśmy go „Houma”.

Wracaliśmy właśnie do Zakładu, do którego mieliśmy około jednej mili. Był między nami Willie Davis, chłopak w wieku 18-19 lat, który był najszybszym biegaczem w całym poprawczaku. Tylko dureń mógłby się z nim mierzyć. Ale Houma nie wiedział, jak dobrym biegaczem był Davis.

Na jakieś pół mili od Zakładu usłyszeliśmy stuk upadającego podkładu i zanim zdaliśmy sobie sprawę z tego, co się stało, zobaczyliśmy Houmę pędzącego wzdłuż drogi. Wybrał jednak zły kierunek.

Przebiegł już chyba ze sto jardów, gdy zobaczył go Mr. Alexander i zawołał do Willie Davisa:

- Łap go, Willie!

Willie ruszył za Houmą jak błyskawica, a my staliśmy z otwartymi ustami, zastanawiając się, czy go dogoni. Houma przyśpieszył trochę, gdy zobaczył, że Willie go goni, ale dla takiego asa nie był on równorzędnym partnerem, i Willie wkrótce go dopadł.

I tu wielka niespodzianka.

Willie złapał Houmę za ramię, zatrzymał go i powiedział:

- No, bracie. Zawracaj.

A na to Houma:

- Co jest? Ja do nigdzie nie leciał.

Po dostaniu pięciuset batów Houma już nigdy więcej nie próbował uciekać. W końcu jacyś ważni biali, u których pracowali rodzice Houmy, przysłali po niego. Został zwolniony za poręczeniem i powędrował parowcem do domu. Mieliśmy kupę śmiechu z jego: „Ja do nigdzie nie leciał”.

Z biegiem czasu zacząłem być najpopularniejszym chłopakiem w Zakładzie. Widząc, jak Mr. Davis mnie lubił i ile poświęcał mi czasu i uwagi, chłopcy jeszcze życzliwiej i przyjaźniej odnosili się do mnie.

Pewnego dnia przyjechali rodzice chłopaka, który grywał na sygnałównce. Uzyskali jego zwolnienie i zabrali go do domu. Gdy tylko odjechał, Mr. Davis polecił mi zająć jego miejsce. Wziąłem trąbkę i od razu zacząłem ją czyścić aż do połysku. Mój poprzednik nigdy tego nie robił; blacha była brudna i zaśnieżona. Urosłem w oczach chłopaków, kiedy zobaczyli w moich rękach czysty, błyszczący instrument zamiast dawnego brudasa.

Czułem się naprawdę dumny z tego stanowiska.

Stawałem wyprostowany jak świeca, nonszalancko podnosiłem sygnałównkę do ust i wydobywałem z niej łagodne tony. Wszystko wokoło się wtedy dla mnie odmieniało. Zadowolony z mojego tonu, Mr. Davis dał mi kornet i nauczył mnie grać Home, Sweet Home. Byłem w siódmym niebie. Myślałem, że śnię, widząc, jak spełniają się moje marzenia.

Codziennie ćwiczyłem pilnie to, co mi Mr. Davis zadał. Byłem już taki dobry na korrecie, że pewnego dnia powiedział:

- Louis, będziesz kierownikiem orkiestry.

Z radości podskoczyłem do góry i pobiegłem do sali jadalnej powiedzieć chłopcom radosną nowinę.

Wszyscy cieszyli się razem ze mną. Teraz byłem już nie tylko muzykiem, ale i liderem! Będę miał okazję wyjść z orkiestrą do miasta i zobaczyć Mayann i chłopaków z Liberty i Perdido. Naszą orkiestrę często brano do grania na prywatnych piknikach, nierzadko połączonych z pochodami po ulicach Nowego Orleanu, jakie odbywały się we wszystkich częściach miasta: Uptown, Back o'Town, Front o'Town Downtown. Grywała ona nieraz również w naszych popularnych ośrodkach letniskowych, takich jak West End czy Spanish Fort, a także w Milenburg i Little Woods.

Uniformy orkiestry składały się z długich białych spodni noszonych jak pumpy, czarnych płóciennych pantofli, czy też - jak się je dziś nazywa - tenisówek, niebieskich kurtek z cienkiej gabardyny, czarnych pończoch i czapek z czarno-białym otokiem, w których młodzi muzycy prezentowali się bardzo dobrze. Ja, jako lider, dostałem kremowe spodnie, brązowe pończochy i tenisówki oraz kremową czapkę.

W tamtych czasach niektóre kluby towarzyskie urządzały całodzienne pochody. Ponieważ znane orkiestry, składające się przeważnie ze starszych muzyków, utyskiwały na tak wyczerpujące zajęcia, członkowie klubu brali nas.

- Ci chłopcy będą chętnie maszerować cały dzień bez żadnych narzekań - mówili.

I mieli rację. Paradowanie ulicami miasta tak nas cieszyło, że nieważne było, jak długo ani jak daleko będziemy maszerować. Kiedy zaangażował nas Klub Towarzyski „Karuzela”, maszerowaliśmy całą drogę do Carrolton odległego o jakieś 25 mil. Grając bez wytchnienia, rozkoszowaliśmy się każdym krokiem wędrowki.

Kiedy pierwszy raz maszerowaliśmy przez moją rodzinną dzielnicę, wszyscy wylegli na ulicę, żeby nas zobaczyć. Wszystkie prostytutki, alfonsy, szulerzy, złodzieje i żebracy stali na chodnikach, czekając na orkiestrę, bo wiedzieli, że gra w niej Dipper syn Mayann. Nie śniło im się jednak, że gram na kornecie, a w dodatku tak dobrze. Pobiegli obudzić mamę, która spała po nocnej pracy, żeby przyszła mnie zobaczyć. Potem zapytali Mr. Davisa, czy mogą dać mi trochę pieniędzy. Skinął przyzwalająco głową, nie spodziewając się zbyt dużej sumy. Ale nie znał tego beztroskiego towarzystwa. Dali mi tyle forsy, że musiałem pożyczyć czapek od kilku chłopaków, aby ją pomieścić. Ta suma wystarczyła na kupno nowych uniformów i instrumentów dla całej orkiestry. Nasze dotychczasowe instrumenty były już stare i mocno sfatygowane.

Od tego czasu moja popularność w poprawczaku wzrosła jeszcze bardziej, a Mr. Davis dał mi przepustkę do miasta, abym mógł odwiedzić Mayann.

On oraz państwo Jones wyczuli pewnie, że to najlepszy sposób okazania mi wdzięczności.

Raz poszliśmy grać na pikniku u jednych białych w Spanish Fort niedaleko West Endu. Na tych piknikach, urządzanych w każdą sobotę, grały przeważnie orkiestry smyczkowe, a czasem marszowe.

Kiedy wszystkie orkiestry były już zajęte, brano nas.

Tego dnia postanowiliśmy wykąpać się podczas przerwy, gdyż dom, w którym graliśmy, znajdował się nad samą wodą. Pływaliśmy i śmialiśmy się, gdy nagle Jimmy’emu spadły kąpielówki. Kiedy w największym pośpiechu zaczęliśmy ich szukać w wodzie, jeden z białych zdjął fuzję z wieszaka na ganku. Wycelował ją w Jimmy’ego, rozpaczliwie szamoczącego się z kąpielówkami, i krzyknął:

- Ty czarny sukinsynu, zakryj swoją czarną dupę, bo strzelę!

Zesztywnieliśmy ze strachu, ale biały i jego towarzystwo wybuchnęli śmiechem, uważając to za wspaniały żart. Już do końca dnia czuliśmy się tak kiepsko, że zostawiliśmy nawet część spaghetti i piwa, które nam podali podczas swojego posiłku. A było to dobre jedzenie!

Mówiąc o śmiesznych przypadkach, nigdy nie zapomnę kawału, jaki zrobił nam Red Sun. Trafił on do poprawczaka za złodziejstwo, które było jego manią; kradł wszystko, co nie było przybite gwoździami. Zanim ja się tam znalazłem, zdążył odsiedzieć już ze dwa czy trzy

wyroki. Zwalniano go, a po dwóch, trzech miesiącach zjawiał się znowu, skazany za kradzież. Po odsiedzeniu sześciu miesięcy w trakcie mojego pobytu w Zakładzie został warunkowo zwolniony przez sędziego. Minęły trzy miesiące, a Red Sun wciąż jeszcze bujał na wolności.

Pomyśleliśmy sobie, że nareszcie zeszedł ze złej drogi, i właściwie o nim zapomnieliśmy.

Pewnego razu, kiedy Mr. Jones ćwiczył z nami musztrę przed budynkiem Zakładu, zobaczyliśmy kogoś jadącego drogą na pięknym koniu. Zaczęliśmy się zastanawiać, kto to może być. Mr. Jones przerwał ćwiczenia i razem z nami obserwował zbliżającego się jeźdźca. Ku naszemu zdziwieniu był to Red Sun. Jechał na oklep. Otoczyliśmy go, wykrzykując, jak bardzo cieszymy się, widząc go w tak dobrej formie, podziwialiśmy też jego konia.

- Skąd wzięłeś tego wspaniałego konia, Red? - zapytał Mr. Jones.

Red, który - był bardzo brzydki, uśmiechnął się błogo.

- Dostałem tak dobrą robotę, że mogłem go kupić. Jak wam się podoba?

Wszyscy wraz z Mr. Jonesem zachwycaliśmy się koniem, a Redowi duma rozsadzała piersi.

Spędził u nas cały dzień, pozwalając każdemu z nas pojeździć trochę na koniu. Ależ mieliśmy frajdę! Red został na kolacji, tak jak i ja to robiłem w późniejszych latach, a kiedy zatrąbiłem na capstrzyk, pożegnał się z nami i dosiadł swojego fajnego konia.

- Wkrótce się zobaczymy - powiedział i odjechał jak Samotny Jeździec.

Tego dnia aż do późnej nocy Red Sun był tematem naszych rozmów. Zасыpiając, myśleliśmy sobie, jaką zrobił karierę.

Następnego dnia po kolacji, wyglądając przez okno, zobaczyliśmy, jak Mr. Alexander, który zazwyczaj jeździł do Sądu dla Nieletnich po delikwentów, prowadzi nowego wychowanka do biura. Mr.

Jonesa. Zastanawialiśmy się, kto to może być, a był to - jak pragnę zdrowia - właśnie Red Sun, aresztowany za kradzież konia.

Widziałem wielu biednych chłopców przywożonych do Zakładu. Raz przywieziono dwóch malców znalezionych na ulicy w Nowym Orleanie, których głowy i ubrania roily się od wszy. Na podwórzu za domem stał ogromny kocioł, który służył do gotowania naszej brudnej bielizny. Ci dwaj byli w takim stanie, że musieliśmy ogolić im głowy i wrzucić ich ubrania do ognia pod kotłem.

W naszym poprawczaku bardzo dbano o czystość, a wszystko, co się z tym wiązało, musieliśmy robić sami. Tam właśnie nauczyłem się szorować podłogi, prać, prasować, gotować, słać łóżka oraz wykonywać inne prace domowe. Pierwszą rzeczą, jaką robiliśmy każde-

mu nowicjuszowi, był porządny prysznic oraz dokładne oględziny głowy i ciała w obawie przed wprowadzeniem do Zakładu jakiegoś robactwa. Codziennie też każdy musiał przejść kontrolę czystości.

Jeśli czyjeś ubranie nie było w należyтым porządku, wtedy wywoływano go z szeregu i musiał natychmiast usunąć braki. Raz w tygodniu na porannym apelu dostawaliśmy na przecyszczenie i rzadko który z chłopców chorował. Ten nasz poprawczak przypominał bardziej ośrodek zdrowotny czy internat niż więzienie. Uprawialiśmy różne rodzaje sportu i wielu z nas wyrosło na pierwszorzędnym baseballistów, pływaków oraz muzyków. Tak więc w sumie z wdzięcznością wspominam dni spędzone w Zakładzie Poprawczym dla Kolorowych Chłopców.

Rozdział IV

Miałem czternaście lat, kiedy opuściłem Zakład.

Mój ojciec, który wciąż jeszcze pracował w fabryce terpentyny, namówił swojego szefa, żeby porozmawiał z sędzią Wilsonem. Wypuszczono mnie pod warunkiem, że zamieszkam z ojcem i macochą. Przyjechali po mnie w piękny czerwcowy wieczór przesycony zapachem kwitnących banksji. Ach, jak ja lubiłem ten zapach! W ciche niedzielne wieczory, kiedy leżałem w łóżku, słuchając Freddie Kepparda grającego wraz ze swoim zespołem jazzowym u bogatych białych niecałe pół mili od Zakładu, napływała do mnie woń tych cudownych kwiatów.

Kiedy ojciec i macocha przyjechali, aby mnie wziąć do siebie do domu, pomyślałem, co też mnie czeka. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to to, że już nie będę mógł słuchać Freddie Kepparda. To był dobry kornecista, miał piękny ton i wyjątkową kondycję. Miał swój własny styl. Oczywiście najlepszy ze wszystkich był ton Bunka Johnsona, Freddie jednak miał swoje triki, które zawsze mnie ciekawiły i bawiły. Kiedy grał na pochodach, miał zwyczaj zakrywać palce chustką do nosa, ażeby inni korneciści nie mogli podpatrzeć jego zagrywek. Wydawało mi się to trochę głupie, ale że to był Freddie, więc wszystkim się to podobało. Nie ma co mówić, miał talent.

Te wieczory, kiedy leżąc w łóżku słuchałem kornetu Freddie'ego i wdychałem zapach kwitnących banksji, były naprawdę rajem dla chłopaka w moim wieku. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że dla mnie to się już skończyło.

Zastanawiałem się, co by powiedział ojciec, gdybym go poprosił o pozostawienie mnie w Zakładzie.

Przecież właściwie nigdy z nim nie mieszkałem i nie znałem wcale jego nowej żony. Jaka ona jest?

Czy będzie nam z sobą dobrze? Jakie ma usposobienie? Tu, w Zakładzie, było mi dobrze. Wszyscy bardzo mnie lubili i ja ich też. Czy mieszkając u ojca, mógłbym dalej widywać Mayann i Mamę Lucy, które przyjeżdżały mnie odwiedzać trzy razy w tygodniu? Ojciec nie odwiedził mnie ani razu. A co z chłopcami, a nawet - opiekunami? Wszyscy mieli smutne twarze, widząc, że odjeżdżam, a ja czułem się podobnie.

Kiedy pakowano moje rzeczy, nasz zespół grał jak nigdy przedtem. Zagrałem z nimi kilka numerów, aby pokazać ojcu, co potrafię. Był dumny z moich postępów i powiedział, że powinienem nadal muzykować.

Mrs. Jones na odchodne pocałowała mnie, a ja uściśniętem ręce wszystkim chłopcom, a także Mr.

Jonesowi, Mr. Davisowi i Mr. Alexandrowi. Czułem się nieszczęśliwy, kiedy opuściliśmy Zakład i skierowaliśmy się do City Park Avenue, aby tam wsiąść do tramwaju idącego w stronę miasta.

Ojciec z macochą mieszkali na rogu Miro Street i Poydras Street, w samym sercu Battlefieldu, znanego mi już z wczesnego dzieciństwa. Byli szczęśliwym małżeństwem i mieli dwóch chłopców, Willie'ego i Henry'ego. Niebawem przekonałem się, że Gertruda, moja macocha, jest bardzo dobrą kobietą i że traktuje mnie tak, jakbym był jej rodzonym dzieckiem. Za samo to będę ją zawsze kochał. Także Henry był sympatycznym chłopakiem. Zawsze był dla mnie bardzo miły i szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Za to jego starszy brat był tak okropny, że wprost trudno to sobie wyobrazić. Naumyślnie robił, co mógł, żeby tylko komuś dokuczyć.

Po pewnym czasie rodzice, którzy oboje pracowali, zauważyli, że umiem gotować, a zwłaszcza dobrze przyrządzać fasolę. Zadowoleni z tego, zostawiali mnie więc z obydwojema chłopcami, abym im przygotowywał posiłki. Byłem z nich najstarszy, więc rodzice myśleli, że ci dwaj będą mnie słuchać. Henry rzeczywiście słuchał, ale Willie? Był takim strasznym kłamczuchem, że czasami miałem ochotę wywalić mu na głowę cały garnek fasoli. Wiedział dobrze, że rodzice wierzyli w co najmniej połowę jego kłamstw, i co więcej - niezbyt go za nie karali.

Któregoś dnia zrobił coś tak okropnego, że nic na świecie nie mogło mnie powstrzymać od dania mu w gębę. Uderzenie było mocne i porządnie go zabolalo. Bałem się, że powie o tym tacie Willie i mamie Gertrudzie, kiedy wróca, a ci odeślą mnie z powrotem do poprawczaka. Jednak ten mały łajdak nie pisnął ani słowa. Widocznie musiał sobie zdawać sprawę z tego, że zawinił i zasłużył sobie na to, co dostał.

Kiedy po raz pierwszy zacząłem ćwiczyć na kornecie, obaj chłopcy śmiali się jak wariaci. Jednak z biegiem czasu zaczęli się przysłuchiwać i robić mi różne uwagi, jak to dzieciaki. Zaczęliśmy się nawzajem rozumieć. Chłopcy rośli strasznie szybko, a im byli więksi, tym więcej jedli. Wkrótce przekonałem się, jacy potrafili być żarłocznymi, i nauczyłem się dbać o własny żołądek. Kiedy ugotowałem wielki gar fasoli z ryżem na wieprzowych nogach, potrafili sprzątnąć większą część, zanim ja zdążyłem usiąść do stołu. W życiu nie widziałem, żeby ktoś umiał opróżniać talerze tak szybko jak Willie.

Wkrótce jednak znalazłem na nich sposób. Skoro tylko skończyłem gotować, starałem się napęlić własny żołądek, a dopiero później specjalnym dzwonkiem wzywałem chłopców

bawiących się na podwórku. Raz Willie zapytał mnie, dlaczego z nimi nie jem. Powiedziałem, że musiałem próbować potrawę podczas gotowania i straciłem przez to apetyt.

Przełknęli gładko to kłamstwo.

W trakcie mojego pobytu u taty Willie'ego i mamy Gertrudy przyszła na świat moja przyrodnia siostra Gertruda. Wkrótce potem opuściłem ich, bo ojciec doszedł do wniosku, że jego zarobki wystarczają zaledwie na utrzymanie trojga dzieci, które miał z macochą. W tamtych czasach zwykli robotnicy mało zarabiali i chociaż oboje - ojciec i mama Gertruda pracowali, z trudem udawało im się związać koniec z końcem.

Pewnego wieczora przyszła moja rodzona matka i miała z ojcem dłuższą rozmowę. Kiedy już zabierała się do odejścia, ojciec zapytał:

- Louis, chciałbyś iść do swojej matki?

Gdy to usłyszałem, poczułem wielką radość, ale nie chciałem mu tego okazać. Robił dla mnie, co mógł, kiedy mieszkałem z nim, Gertrudą i chłopcami. Byłem im bardzo wdzięczny za utrzymanie i życzliwość.

- Dobrze, tato. Kocham i ciebie, i Mayann i będę często przychodził cię odwiedzić.

- To dobry dzieciak - powiedział ojciec do Mayann, uśmiechając się i poklepując mnie po ramieniu.

- No chyba! - odpowiedziała. I poszliśmy w stronę Liberty i Perdido, do moich starych kątów.

Następnego dnia obudziłem się wcześniej, w dobrym humorze i poszedłem szukać swoich starych kumpli z chóru, ze szkoły i w ogóle wszystkich znajomych chłopaków.

Pierwszym, którego spotkałem, był Cocaine Buddy Martin, którego siostrę Bellę uważałem dawniej za swoją sympatię. Bardzo wyrósł i nosił już długie spodnie. Pracował u Joe Segretty, który prowadził coś pośredniego między sklepem spożywczym, saloonem i honky-tonkiem.

Cicho podszedłem do niego z tyłu - właśnie zamiatał po całej nocy knajpę - i zakryłem mu oczy.

- Zgadnij, kto to?

Nie mógł zgadnąć. A kiedy zdjąłem mu ręce z oczu, ryknął radośnie:

- Dipper! Chłopie, ale cię długo nie było!

Nie wiedział, że już dawno wyszedłem z Zakładu Poprawczego i mieszkałem u ojca i macochy, gotując jedzenie swoim przyrodnim braciom.

- To fajnie - powiedział Cocaine Buddy. - Bo wyglądało na to, że cię już nigdy z tego poprawczaka nie wypuszczą.

Roześmieliśmy się, a potem zapytałem go, co słyhać.

- Aha, dobrze, że mi się to przypomniało. Ty grasz na kornecie, nie? Tak się ten twój instrument nazywa?

- Tak, gram na kornecie, Buddy. Ale nie wiem, czy jestem na tyle dobry, żeby grać w zawodowym zespole.

- Myślę, że grasz wystarczająco dobrze, jak na tę pracę, o której myślę.

Zapytałem go, co ma na myśli.

- To właśnie tu - powiedział, wskazując na knajpę po drugiej stronie ulicy. - Właściciel nazywa się Henry Ponce. To jeden z najobrotniejszych biznesmenów w „dzielnicy czerwonych światel”, który nikogo się nie boi. Właśnie potrzebuje dobrego kornecisty. Jeśli chcesz się zaczepić, to ja ci to załatwię. Wystarczy, żebyś włożył długie spodnie i zaczął grać bluesa dla prostytutek, które kręcą się tu przez całą noc. One mają w pończochach kupę forsy dla swoich alfonsów. Jak im zagrasz bluesa, to będą cię pieszczotliwie nazywać, stawiać ci drinki i dawać napiwki.

Pomyślałem o Mayann i Mamie Lucy, które bardzo potrzebowały pomocy, i powiedziałem:

- Spróbuj, Buddy. Zobacz, czy uda ci się załatwić mi to granie.

To dziwne, ale Buddy nie powiedział mi, że Henry Ponce i Joe Segretta byli śmiertelnymi wrogami.

Segretta był Włochem, Ponce - Francuzem; obaj mieli kupę forsy i robili grube interesy. Byli to ludzie bez skrupułów i każdy z nich starał się przewyższyć drugiego pod każdym względem.

Buddy załatwił mi tę pracę, a po jakichś sześciu miesiącach mojego grania u Ponce'a stosunki między tymi dwoma białymi stały się bardzo napięte. Nigdy jednak nie wiedziałem, co było powodem tej nienawiści.

W soboty knajpa była czynna całą noc i w niedzielę nie wychodziłem stamtąd wcześniej jak o dziesiątej, jedenastej rano. Pijacy byli hojni, a napiwki - jak to w tamtych czasach - duże. Zbierałem sporo forsy. Rankiem zjadałem porządne śniadanie przygotowane przez Mayann, które zawsze zabierałem z sobą. Unikałem w ten sposób wydatku na kosztowny lunch w jadalniach. Mayann mówiła, że posiłki, które tam dają, nie są warte pieniędzy, które się za nie płaci, i miała rację.

Byłem młody, silny i ambitny i starałem się jak najwięcej zarobić, aby pomóc Mayann i Mamie Lucy. Kiedy zadomowiłem się u Henry Ponce'a, postarałem się jeszcze o drugą pracę - rozwoziłem w dzień węgiel. Kończyłem grać o czwartej rano, biegłem wtedy do domu,

żeby się parę godzin przespać, a potem szedłem do C. A. Andrews Coal Company na rogu Ferret i Perdido, dwie przecznice od mojej knajpy. Od siódmej rano do piątej po południu rozwoziłem węgiel (za piętnaście centów od wozu).

Bardzo lubiłem tę pracę. Miałem piętnaście lat, ale czułem się prawdziwym mężczyzną, kiedy wrzucałem szuflą tonę węgla na swój wóz. Jako młody chłopak nie mogłem rozwiązać więcej niż pięć ładunków na dzień. Ale i to było coś; siedemdziesiąt centów zarobione w dzień plus dolar dwadzieścia pięć i napiwki w knajpie. Właściciele innych knajp zaczęli się o mnie licytować. Nareszcie poczułem się kimś! Ale nie miałem zamiaru zrezygnować ze swojego muła i wozu węglowego.

Jednym z powodów mojego zamiłowania do rozwożenia węgla był mój przybrany tata, Mr. Gabe.

Był on starym wygą w Andrews Coal Company i właśnie on załatwił mi tę pracę; lubiłem go najbardziej ze wszystkich swoich ojczymów. Jeździł wozem zaprzężonym w dwa muły i dostawał trzydzieści centów od wozu, dwa razy tyle co ja. Znał różne sztuczki i potrafił rozwiązać dziewięć, dziesięć a czasem nawet więcej ładunków dziennie. Nauczył mnie ładować wóz tak, aby się za bardzo nie zmęczyć.

W tamtych czasach dobrze było mieć jakąś stałą pracę, bo w każdej chwili gliny mogły zamknąć knajpę. Miałbym wtedy w dalszym ciągu jakiś stały zarobek.

Knajpę, w której grałem, rzeczywiście niedługo zamknięto. Właściwie dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że istnieje wojna między Joe Segrettą i Henry Ponce'm. Był niedzielny poranek i wszyscy już wyszli z wyjątkiem mojego przystojnego szefa i mnie. Wychodziliśmy razem i Ponce mówił o jakimś bluesie, którego nasz zespół grał tej nocy. To mnie zdziwiło, bo nie miałem pojęcia, że w ogóle zwracał na to uwagę. Wyszedłem na ulicę, a Ponce stanął w drzwiach i rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas. Po jakichś dziesięciu minutach zauważyłem nagle kilku kolorowych facetów, którzy zawsze się kręcili koło knajpy Joe Segretty, a teraz stali na rogu przed sklepem Gaspera, naprzeciwko lokali Segretty i Ponce'a. Były to podejrzanе typy, ludzie Segretty, którzy szykowali się na Ponce'a. Ale Ponce, choć sam niezły rzemieślnik, nie dostrzegł niebezpieczeństwa. Ja też nie. Nagle zobaczyłem, jak jeden z tych ludzi wyciągnął rewolwer i skierował go w naszą stronę. Wystrzelił dwa razy i popędził do najbliższego rogu, na skrzyżowanie Howard i Perdido. Zanim zdążyłem się połapać, co się dzieje, reszta facetów też zaczęła strzelać.

- Niech mnie krew zaleje! - krzyknął Ponce, kiedy wypróżnili magazynki i zaczęli uciekać. Te czarne dranie do mnie strzelają!

Wyszarpnął rewolwer zza pazuchy i ruszył za nimi. Kiedy dobiegł do skrzyżowania Howard i Perdido, usłyszałem sześć kolejnych wystrzałów. Ja stałem bez ruchu od momentu, gdy tamci zaczęli strzelać do Ponce'a. Widząc, że stoję jak skamieniały, przygodni widzowie pośpieszyli do mnie.

- Trafili cię? - pytali. - Jesteś ranny?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo padłem zemdłony.

Ich pytania uświadomiły mi, w jakim byłem niebezpieczeństwie. Wydało mi się, że zostałem trafiony pierwszym strzałem.

Kiedy przyszedłem do siebie, od strony Howard i Perdido słychać było jeszcze strzały i krzyki tamtych. Nie byli równymi partnerami dla Ponce'a, strzelał celnie i trafił każdego z nich. Kiedy skończył strzelać, wrócił do swojego saloonu, pomrukując z wściekłością i klnąc pod nosem.

Trzech napastników wzięto do Szpitala Miłosierdzia, a mnie ludzie odprowadzili do Mayann. Dostałem szoku, który przeszedł mi dopiero po kilku dniach.

Po tym starciu tamci dali spokój Henry Ponce'owi; uznali go za twardego faceta. Pracowałem dalej w jego knajpie, ale cały czas miałem się na baczności, licząc się z tym, że w każdej chwili może coś wyskoczyć. Jednak nic się już nie stało, aż wreszcie podczas jednej z kampanii wyborczych zamknięto wszystkie honky-tonki w tej okolicy. Henry Ponce, jak reszta właścicieli podobnych knajp, mieli najszczerzą chęć otworzyć na nowo swoje przybytki, gdy tylko sytuacja będzie bardziej sprzyjająca, ale nacisk władz trwał tak długo, że Ponce się zniechęcił i przeniósł się do śródmieścia.

Rozdział V

Henry Ponce otworzył chyba potem sklep z męską galanterią czy jakiś inny przyzwoity interes. W każdym bądź razie nie mógł już mnie zatrudniać i więcej go nie zobaczyłem. Wszyscy go żalowaliśmy, bo to był dobry i wspaniałomyślny człowiek; sam nieraz widziałem, jak zatrzymywał się na ulicy, żeby dać trochę pieniędzy jakiemuś obdartemu biedakowi. Coś takiego nieczęsto się wtedy na Południu zdarzało.

Oczywiście po zamknięciu knajpy Ponce'a dalej rozwoziłem węgiel. Wracałem teraz wcześniej do domu i wysypiałem się jak należy. Często jednak po zjedzeniu kolacji wkładałem swoje szyte na miarę długie spodnie, które dzięki oszczędnemu noszeniu starczyły mi na długi czas. Szliśmy wtedy z Isaakiem Smoothem na obchód okolicznych knajp, obserwując ludzi i śmiejąc się z pijaków. Obsługa dawała im spokój, jeśli zasypiali pod ścianą, ale tych, którzy się przewracali lub zaczynali rozrabiać, szybko wyrzucano z lokalu. Lubiliśmy przyglądać się nie tylko temu, ale także prostytutkom, które często kłóciły się i biły do upadłego o swoich alfonsów.

Isaac Smooth lub Ike, jak go nazywaliśmy, był razem ze mną w poprawczaku i grał również w tamtejszej orkiestrze. Był bardzo przystojnym chłopcem i wiele dziwek miało na niego oko. Jednak i on, i ja baliśmy się tych kobiet. Matki ostrzegały nas przed nimi, a sprawy seksu zbytnio nas nie pociągały. Byliśmy ciekawi życia, ale przede wszystkim interesowała nas muzyka. Zawsze wyszukiwaliśmy nowych pianistów, którzy w grze pokazywali coś nowego, własnego. Ci faceci, wśród których trafiały się i prawdziwe talenty, byli to często robotnicy pracujący przy regulacji Missisipi. Siadał taki przy pianinie i sadził takiego bluesa, jakiego nigdy w życiu nie słyszałeś. Kiedy udało się nam z Ike'm znaleźć takiego gościa, byliśmy najszczęśliwymi chłopakami w Nowym Orleanie.

Najbardziej popularna była knajpa na rogu Gravier i Branklin, i tam właśnie widziałem bójkę między dwiema prostytutkami, której nigdy w życiu nie zapomnę. Poszło o jednego alfonsa, a pobiły się o niego Mary Jack the Bear i dziewczyna, którą nazwę Deborah. Mary Jack znana była we wszystkich spelunkach jako największa awanturnica, a ładniutka Deborah była zwykłą sympatyczną dziewczyną świeżo po maturze. Nie wiem, skąd pochodziła, ale na pewno była atrakcyjna. Zakochała się w alfonsie Mary Jack, a ten posłał ją na ulicę.

Deborah zgodziła się na to, bo była w nim tak samo zakochana jak Mary Jack. Deborah nigdy nie słyszała o swojej rywalce i nie wiedziała, że miały wspólnego alfonsa. Mary

Jack też o niej nie wiedział aż do tej dżdżystej nocy sylwestrowej, prawie pod sam koniec zabawy.

Obie były trochę podpite, kiedy się spotkały w knajpie, gdzie ten typek pił z Deborah. Mary Jack zaczęła od głośnych zjadliwych uwag.

- Jedna suka, która tu siedzi w barze, chodzi z moim chłopem. Oddaje mu wszystką forszę, którą zarabia, a on przynosi ją prosto do mnie.

Deborah nie zareagowała na tę zaczepkę. Mary Jack rzuciła mocniejszą wiązanę, ale to również nie dało rezultatu. Wtedy podeszła do Deborah, obróciła ją gwałtownie twarzą do siebie, spojrzała jej w oczy i rzuciła:

- Słyszysz, suko, do ciebie mówię!

Deborah była zwyczajną miłą i bardzo łagodną dziewczyną.

- Przepraszam panią - powiedziała. - Co pani mówiła?

- Słyszałaś, co mówiłam. Dobrze wiesz, o co chodzi. Jak nie zostawisz mojego chłopca w spokoju, to pokroję cię na kawałki. On cię potrzebuje tylko po to, żebyś mu dawała forszę. Myślisz, idiotko, że to dlatego, że jesteś taka ładna, co?! Już ja ci urządzę tę piękną twarzyczkę.

- On mi powiedział, że zerwał z tobą - powiedziała spokojnie Deborah. - A pieniądze, które mi daje, pochodzą chyba od twoich klientów.

Wszyscy obecni ucichli i znieruchomieli w oczekiwaniu. Mary Jack błyskawicznie chlusnęła swoim drinkiem prosto w twarz Deborah, a ta równie szybko odpowiedziała jej tym samym. Skoczyły do siebie i zaczęły się szamotać i tarzać po podłodze, dopóki ich ludzie nie rozdzielili. Mary Jack ogarnęła się i ruszyła do wyjścia.

- Ty suko, zaczekam na ciebie na ulicy! - powiedziała od drzwi.

- O. K., suko - odpowiedziała mała, nieśmiała Deborah.

Wokół knajpy zebrał się tłum ludzi, którzy czekali, żeby zobaczyć, co się stanie. Pół godziny później wyszła Deborah. Kiedy tylko przekroczyła próg knajpy, Mary Jack błyskawicznie wyciągnęła wielki nóż o długim ostrzu. Skoczyła na Deborah i zaczęła haratać jej twarz. Deborah wyciągnęła taki sam nóż i ruszyła na Mary Jack. Tłum gapiów był tak przerażony, że nikt nie odważył się podejść do walczących. Wszystkie ciosy mierzone były w twarz, a za każdym razem, gdy jedna z nich trafiała drugą, ludzie krzykali:

- O Jezu!

Po jakiejś pół godzinie obie padły na chodnik, całe zalane krwią. W końcu karetka zabrała je do Szpitala Miłosierdzia. Mary Jack the Bear wkrótce umarła, ale Deborah żyje do

dziś. Jej twarz jest jednak poznaczona jak mapa. Mieszkańcy tej okolicy na długo zapamiętali tę najkrwawszą z bójek.

Inna z dziwek, równie dobrze wtedy znana w okolicznych knajpach, nosiła perukę, pod którą ukrywała swoje krótsze jeszcze niż u mężczyzny włosy.

Ta właśnie peruka stała się przyczyną jej klęski.

Awanturka rzuciła się kiedyś na jedną z nowicjuszek w ich fachu i chciała ją pobić. W trakcie bójki, gdy zaczęły szarpać się za włosy, zaatakowana ściągnęła jej z głowy perukę i rzuciła na podłogę.

Ryk śmiechu, jaki się wtedy rozległ, całkiem ją wykończył. Od tego czasu dała nowicjusze spokój. Po latach dowiedziałem się, że stała się pobożna i porzuciła występne życie.

Było jeszcze wtedy w naszej dzielnicy wiele ciekawych postaci, takich jak Black Benny, Cocaine Buddy, Nicodemus, Slippers, Red Cornelius, Aaron Harris i George Bo'kog. Były to prawdziwe typy spod ciemnej gwiazdy.

Nicodemus był wytrawnym hazardzistą i jednym z najlepszych tancerzy, jakich kiedykolwiek widziałem. Był to szpetny facet o monstrualnych wargach, który tańczył jazz na swój własny dziwaczny sposób, robiąc przy tym tak komiczne miny, że wprawiał w zachwyt całe towarzystwo z knajpy na rogu Gravier i Franklina. Kiedy znudziła mu się gra w karty, przychodził na parkiet i kazał nam grać jakiś szybki kawałek. Łapał wtedy najfajniejszą spośród obecnych babek i puszczał się w rytm twostepa, swingując po całym parkiecie. Naprzeciwko knajpy mieściły się sąd, areszt, komisariat i kostnica. Po północy dyżurni sędziowie, urzędnicy i policjanci śpieszyli wprost do knajpy popatrzeć na taniec Nicodemusa. Zawsze dawali mu duże napiwki.

Szedł wtedy do tylnej sali i zaczynał hazardować się na nowo.

Nicodemus miał awanturniczą naturę i gotów był bić się o byle co. Był czarny jak węgiel i nosił duży nóż, którym dobrze umiał się posługiwać. Nie było dla niego silnych, bali się go wszyscy cwaniacy z wyjątkiem Black Benny'ego.

Benny był całkiem inny od tych wszystkich ciemnych typów, których znałem. Dobrze grał na wielkim bębnie w orkiestrach marszowych, bardzo dobrze grał też na werblu. Należał do tych, którzy grywali wtedy równocześnie na werblu i wielkim bębnie w zespołach muzykujących na platformach.

Benny był świetnym perkusistą, jednym z najlepszych w Nowym Orleanie.

Był także bardzo życzliwy dla muzyków. Kiedy któryś z nas wpadł w tarapaty, Benny zawsze śpieszył mu z pomocą. W biedzie zawsze można było na niego liczyć. Raz, kiedy wiozł węgiel swoim furgonem (pracował u Andrews'a, tak jak i ja), zobaczył, że kilku wyrost-

ków bije jakieś dzieci. Momentalnie zeskoczył z wozu i dał tym drągalom niezłą nauczkę. Kiedy indziej Benny wdał się w bójkę ze strażakami. Na pewno dałby sobie z nimi radę, gdyby jeden z nich nie zaszedł go niepostrzeżenie od tyłu i nie ogłuszył uderzeniem dyszla. To był jedyny sposób, żeby Benny'ego pokonać.

Kiedy miałem kilkanaście lat, Benny był dwudziestosześcioletnim przystojnym mężczyzną o gładkiej ciemnej skórze, silnym ciele i gorącym sercu.

Nikomu nie wchodził w drogę, ale biedny był ten, kto spróbował z nim zadrzeć. Pewnego wieczora, gdy grał w karty w tylnej sali knajpy, między nim a Nicodemusem wybuchł spór. Nicodemus nie miał przy sobie swojego wielkiego noża, a Benny też był bez broni. Rozpalony kłótnią, Nicodemus wyskoczył zza stołu i pobiegł do domu po rewolwer. Wszyscy zaczęli namawiać Benny'ego, żeby się ulotnił, zanim Nicodemus wróci.

- Do diabła z nim - odpowiedział Benny. Wcale się go nie boję.

I zamiast lecieć do domu po rewolwer, jak to zrobił Nicodemus, Benny wyszedł i w małej alejce za lokalem czekał na swego uzbrojonego przeciwnika.

Idąc alejką, potknął się o kawałek ołowianej rurki długości około czterech stóp i grubości dobrej kiełbasy. Kiedy ujął ją w rękę, poczuł, że właśnie coś takiego było mu potrzebne, aby sprawić Nicowi niespodziankę. Kiedy Nico nadbiegł ulicą i już miał wpaść do knajpy, Benny skoczył na niego i znokautował go jednym uderzeniem rurki.

Jedno, co można powiedzieć o tych wszystkich ówczesnych bójkach, to to, że były zawsze swojego rodzaju fair playem, bez podłych podstępów. Zwyciężał, kto był mocniejszy czy odważniejszy.

Bywalcy knajpy lubili i Benny'ego, i Nica. Kiedy Benny powalił Nica, chłopcy w tylnej sali wyciągnęli z kieszeni Nica rewolwer i schowali, by policja nie dowiedziała się, że miał go przy sobie, gdy został zaatakowany. Policjanci, oczywiście, szukali tej broni, ale jej nie znaleźli. Taka była solidarność. Nie chcieliśmy, żeby gliny mieszały się w nasze spory, potrafiliśmy rozstrzygać je sami.

Nicodemusowi została na pamiątkę paskudna szrama na szczęce od silnego uderzenia Black Benny'ego. Miał ją jeszcze, gdy zobaczyłem go wiele lat później, grając w znanej tawernie w Calumot City w pobliżu Chicago.

Już jako młody chłopak uważałem, że Black Benny jest najlepszy ze wszystkich grających na wielkim bębnie w marszowych orkiestrach Nowego Orleanu. I do dzisiaj uważam, że był jednym z najlepszych perkusistów, jacy kiedykolwiek grywali na ulicach tego miasta.

Gliny dobrze znały i lubiły Benny'ego: nigdy nie był bity, tak jak inni aresztowani. Kiedy odsiadywał wyrok w Parish Prison, komendant więzienia zwalniał go do grania na pogrzebach z naszą orkiestrą marszową. Gdy pogrzeb się kończył, Benny wracał do ciupy jak gdyby nigdy nic. Ciągnęło się to latami, choć Benny nigdy nie siedział dłużej niż trzydzieści dni z rzędu. Nigdy też nie trafiał do więzienia za kradzież, przyczyną zawsze były jakieś drobne wykroczenia - zakłócenie porządku, bójki czy pobicie swojej żony Nelly. Kiedy nie siedział w więzieniu, to przebywał przeważnie w szpitalu, gdzie lizał się z obrażeń, zadanych mu przez małżonkę.

Z Nelly była twarda sztuka. Ta mała, przystojna kobietka o czekoladowej skórze nie bała się nikogo, a gdy ona i Benny zaczynali się bić, przypominali dwie piły mechaniczne w akcji. Pewnego dnia Benny grał w orkiestrze marszowej na defiladzie. Musiał pokłócić się z Nelly rano przed wyjściem z domu.

Kiedy pochód przechodził przez naszą ulicę, tych dwoje zauważyło się i zaczęło wyzywać. Ale jakimi wyrazami! Pewnie nawet nie potrafiliby ich napisać.

Wreszcie Black Benny zatrzymał się i odczepił bęben od paska wokół szyi. Nelly ruszyła ku niemu po kamiennym słupku ułożonym w poprzek rynsztoka, pełnego brudnej deszczowej wody. Benny, biegnąc do niej, złapał za koniec słupka i uniósł go, tak, że Nelly chlupnęła w błoto, a następnie spuścił go jej na plecy.

Nikt nie przypuszczał, że Nelly jeszcze się podniesie. Ale nie znali Nelly. Poderwała się natychmiast, wyciągnęła nóż zza pończochy i ruszyła na Benny'ego, obrzucając go najgorszymi przekleństwami. Benny zaczął uciekać, ale ona, biegnąc tuż za nim, pokrajała mu pośladki dosłownie w plasterki. Oboje wyładowali w szpitalu. Kiedy stamtąd wyszli, poszli razem do domu, uśmiechając się do siebie, jak gdyby nic się nie stało.

Mniej więcej w tym samym czasie Mama Lucy wyjechała do jakiegoś miasta na Florydzie, gdzie duży tartak potrzebował wielu rąk do pracy, aby sprostać licznym zamówieniom. Firma zamieściła ogłoszenie w nowoorleańskiej gazecie „Item”, którą sprzedawałem. Niewykwalifikowani robotnicy mogli zarobić o wiele więcej w tamtych okolicach niż w Nowym Orleanie. Mama Lucy była wśród tych setek ludzi, którzy tam pojechali. Przebywała na Florydzie tak długo, że w końcu zacząłem myśleć, że już nigdy nie zobaczę swojej kochanej siostry.

Gdy Mama Lucy wyjeżdżała, obie z kuzynką Florą miały po kilkanaście lat. Przyjaźniły się ze sobą i wszędzie chodziły razem, więc Flora po jej wyjeździe czuła się osamotniona. Potem przyłączyła się do innej paczki swoich rówieśniczek, które nie miały tego doświadczenia co Flora i Mama Lucy. Obie przecież wychowały się w samym sercu dzielnicy knajp

i spelunek, znały dobrze ich bywalców i wiedziały, jakie prowadzili życie, niełatwo więc było je oszukać. Były trochę mniej łatwowierne niż przeciętne nastolatki i bez wiedzy rodziców robiły to wszystko, na co miały ochotę.

Odkąd zaczęła się włączyć z nowymi koleżankami, Flora wpadła w tarapaty. Przyczyną był pewien starszy biały facet, który lubił sprowadzać sobie kolorowe dziewczyny do swojej rudery. Nie muszę wam chyba tego szczegółowo tłumaczyć.

Tak więc moja kuzynka Flora Miles zaszła w ciążę. Byłem jeszcze szczeniakiem i ani ja, ani reszta z nas nie wiedziała, co z tym począć. Flora robiła się coraz grubsza, aż wreszcie pojawił się ładny, mały i tłusty chłopczyk. Flora nazwała go Clarence. Kiedy koleżanki Flory zobaczyły, co przytrafiło się jej, a także paru innym młodym dziewczynom, padł na nie blady strach i zaczęły przesiadywać w domu przy rodzicach.

Wszyscy namawiali ojca Flory, Ike'a Milesa, żeby wystąpił o aresztowanie ojca Clarence'a. Nie miało to jednak sensu. On był biały. Gdybyśmy spróbowali to zrobić, sędzia wyrzuciłby nas wszystkich wraz z dzieckiem na ulicę. Postanowiliśmy więc co innego. Jedynym rozsądnym wyjściem było, żebym ja podjął się opieki nad Clarencem. Zrobiłem to, ale wierzcie mi - nie było to dla mnie łatwe.

Cała moja rodzina żyła zawsze w biedzie, a gdy urodził się Clarence, ja byłem jedynym, który możliwie zarabiał. Nie były to kokosy, ale moja sytuacja była o wiele lepsza niż reszty rodziny. Sprzedawałem gazety, a prócz tego grywałem dorywczo na kornecie. Kiedy to nie wystarczało, chodziłem do dzielnicy Front o'Town, gdzie znajdowało się wiele hurtowni. Sortowano tam ziemniaki, cebulę, kapustę, kurczaki, indyki i wszelkiego rodzaju produkty sprzedawane później hotelom i restauracjom.

Zepsute produkty wyrzucano do wielkich beczek, które wystawione na chodnik, wywożone były następnie przez śmieciarki. Przed ich przyjazdem grzebałem w beczkach, wyciągając z nich najlepsze kęski, jak nadpsute kurczaki, indyki, kaczki, gęsi itp. W domu wycinaliśmy zepsute kawałki, gotowaliśmy dokładnie pozostałe, dobre części, a potem przybieraliśmy je ładnie i układaliśmy w koszyku.

Wyglądały bardzo apetycznie; sprzedawaliśmy je różnym restauracjom za tyle, ile właściciel nam dawał. Na ogół płacono nam nieźle, a część zapłaty stanowiło kilka sandwichów i jakiś dobry posiłek.

Podobnie robiliśmy z ziemniakami - wycinaliśmy zepsute części, sprzedając resztę po sześć centów za worek. Oczywiście, za drób płacili lepiej.

Wydawało nam się, że wybieramy z tych beczek z odpadkami wszystko, co tylko nadawało się do użytku, ale kiedy śmieciarki przyjeżdżały na wysypisko w Silver City, czekał

tam już tłum kolorowych biedaków z pogrzebacami. Grzebiąc w śmieciach, znajdowali czasem całe kotlety wieprzowe, nie spleśniałe bochenki chleba, starą odzież i inne rzeczy, które im się przydawały. Nieraz sam szedłem za tymi wozami na wysypisko w nadziei, że znajdę coś przydatnego dla nas do domu lub na sprzedaż. To był jeden ze sposobów, w jaki pomagałem rodzinie utrzymać małego Clarence'a.

Z biegiem lat coraz bardziej się do niego przywiązywałem. Flora przeczuwała chyba, że niedługo umrze, bo na krótko przed swoją śmiercią nadała mu nazwisko Clarence Armstrong i powierzyła go mojej opiece. Mały też bardzo się do mnie przywiązał. Uśmiechał się tak rozkosznie, że mogłem bawić się z nim całymi godzinami.

Przed śmiercią Flora mieszkała ze swoją siostrą, a moją kuzynką, Sarą Ann, bardzo wesołą młodą kobietą o wielkim sercu, która zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, aby człowieka uszczęśliwić. Przyjaźniła się z moją matką i obie chodziły po różnych takich miejscach, gdzie my, dzieci, bałybyśmy się nawet wścibić nosa.

Od dnia urodzin Clarence'a Flora czuła się bardzo źle. Tego dnia przeżyliśmy straszliwy huragan, jeden z najpotężniejszych w historii Nowego Orleanu. Ofiarą padło wiele domów, ludzi i zwierząt. Tysiące ludzi znalazło się bez dachu nad głową.

Wracałem właśnie do domu, gdy nagle zerwała się wściekła wichura z deszczem. Gwałtowne podmuchy wiatru zrywały z domów dachówki i rzucały je na ulicę. Miałem szczęście, że wyszedłem z tego cało, bo dachówki padały gęsto i zabiły wielu ludzi.

Kiedy w końcu dotarłem do domu, byłem przemoczony do suchej nitki i strasznie wyczerpany. Mayann i Sarah Ann były śmiertelnie przerażone, że huragan mógł mnie zabić. A ja pędziłem jak szalony w obawie, czy wichura nie zdmuchnęła mojego domu wraz z rodziną. Kiedy wbiegłem do mieszkania, przypadłem do matki i Sarah Ann i objąłem je ramionami. Gdy się tak do nich tuliłem, mój wzrok padł na nasze jedyne łóżko, na którym sypiałem wraz z matką i siostrą. Teraz leżał na nim mały Clarence i na ten widok opuściły mnie wszystkie ponure myśli.

Następny dzień był piękny i słoneczny; a ludzie znów zaczęli się uśmiechać. W całym mieście było jednak wiele ofiar; ten tydzień miał rekordową ilość pogrzebów. Joe Oliver, Bunk Johnson, Freddie Keppard i Henry Allen, którzy grali na trąbkach w orkiestrach marszowych, zarobili kupę forsy grając na pogrzebach członków łóż masońskich, którzy zginęli w czasie huraganu.

Jestem pewien, że urodzenie Clarence'a i szok spowodowany huraganem przyczyniły się do śmierci Flory. Na Południu, zwłaszcza w tamtych czasach, niełatwo było o doktora, a już diabelnie trudno było o pieniądze na jego opłacenie. Nie mogliśmy sobie pozwolić na

doktora, bo wizyta kosztowała dwa dolary, a my potrzebowaliśmy tych pieniędzy na jedzenie. Oczywiście, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby pomóc Florze, ale te możliwości były za małe. Szpital Miłosierdzia był tak przeładowany, że część pacjentów leżała na podwórzu.

Mama Lucy, bardzo jeszcze wtedy młodzianka, przyjechała z Florydy pomóc nam przy pogrzebie Flory. Pomagała, jak mogła, w przygotowaniu jedzenia i w innych sprawach, ale pieniędzy przywiozła niewiele. Była tam zwykłą robotnicą, a takim niewiele płacili. Nikt z całej naszej rodziny nie miał żadnego zawodu, wszyscy pracowaliśmy na dniówkę. Jak głęboko sięgnąć w historię naszej rodziny, nie wiadomo mi, ażeby ktokolwiek miał chociaż odrobinę szkolnej wiedzy.

Mama Lucy i Sarah Ann miały duże poczucie humoru. Kochałem je obie. Wszyscy troje ciężko borykaliśmy się z losem niemal przez całe nasze życie, mimo to chętnie przeżyłbym to wszystko jeszcze raz od nowa. Mayann za piętnaście centów potrafiła przyrządzać tak smakowite potrawy, że na samo ich wspomnienie cieknie mi ślinka. Nieraz posyłała mnie na plac Poydras po rybie głowy za piętnaście centów i robiła wielki garnek cubie yon, które podawała z sosem pomidorowym i ugotowanym na sypko ryżem. Obżeraliśmy się tym do granic możliwości. Jej kreolska gęsta zupa gumbo była najlepsza na świecie. A jaką gotowała kapustę z ryżem! O czerwonej fasoli z ryżem mogę powiedzieć jedynie tylko tyle, że jest to potrawa mojego życia.

Mayann nauczyła nas oboje przyrządzać swoje najlepsze potrawy. Jej jumbalaya była wprost cudowna. Jest to mieszanina kiełbasy, krewetek, ostryg i krabów z ryżem, przyprawiona sosem pomidorowym. Palce lizać! I jeśli ktokolwiek, próbując jumbalayi ugotowanej przez Mayann, nie potwierdziłby tego, to nie nazywam się Louis Satchmo Daniel Armstrong.

Skoro już mowa o jedzeniu, to przypominają mi się czasy, kiedy zmywałem naczynia w restauracji Thompsona na rogu Canal Street i Rampart Street.

Mogłem wtedy jeść tyle ciastek, pączków i lodów, ile tylko chciałem. To było dobre przez dwa tygodnie, a potem tak mi się te słodkości znudziły, że sam ich widok przyprawiał mnie o mdłości. Odszedłem więc stamtąd i wróciłem do mojej starej pracy w składzie węglowym Andrews. Wtedy właśnie napisałem bluesa o węglowym wozie, Coal Cart Blues, który nagrałem szereg lat później.

Byłem bardzo zadowolony, że znów wróciłem do tej roboty, grywając prócz tego od czasu do czasu na potańcówkach, piknikach, pogrzebach i świątecznych pochodach. Zarabiałem całkiem nieźle. Właściwie, jak na swój wiek, to naprawdę dobrze. Ciągle jeszcze sprawiało mi satysfakcję, że pracowałem w składzie węgla razem ze starymi wyjadaczami.

W czasie lunchu przysiadalem się do nich z kuflem piwa za dziesięć centów i skromnym sandwiczem.

Przeważnie po prostu przysłuchiwałem się temu, co mówili, a gdy czasem wtrąciłem swoje trzy grosze, to już sam fakt, że mnie słuchali, sprawiał mi wielkie zadowolenie.

Od najmłodszych lat zawsze byłem bystrym obserwatorem życia. Zauważyłem więc, że moi koledzy mieli swoje prostytutki, które na nich pracowały. Nie przynosiło im to wielkich pieniędzy, ale dawało pewien prestiż. Nie chciałem być gorszy, więc przygadałem sobie jedną taką cizię. Nie była to żadna piękność, ale robiła duże pieniądze, a przynajmniej mnie się tak wtedy wydawało. Byłem jeszcze wtedy kompletnym żółtodziobem, jeśli chodzi o kobiety, zwłaszcza gdy w grę wchodziła taka, co zarabiała dla mnie na ulicy. Była niska, kudłata i miała wystające zęby. Nie chcę jej tu wcale, ośmieszać; najważniejsze przecież, to jaka jest sama kobieta, a nie jej wygląd. Nie traktowałem jej serio, jak zresztą żadnej innej kobiety. Zawsze byłem po uszy zatopiony w mojej muzyce i żadna kobieta na świecie nie byłaby w stanie tego zmienić. Do dzisiaj trąbka wciąż pozostaje u mnie na pierwszym miejscu.

Moja cizia była zazdrosna, ale ja nie zwracałem na to uwagi. Pewnego dnia zażądała, abym poszedł do jej domu i spędził z nią noc.

- Ani myślę zostawiać Mayann i Mamę Lucy, choćby nawet przez jedną noc. Nigdy dotąd tego nie robiłem i nie zamierzam zrobić teraz. Mayann i Mama Lucy nie przywykły do tego.

- Do cholery! - powiedziała. - Jesteś już dorosły chłopak. Chodź i zostań u mnie.

- Nie!

Nim zorientowałem się, co zamierza zrobić, wyciągnęła nóż i skoczyła na mnie. Nie był to taki wielki nóż, jaki nosiła Mary Jack the Bear czy Deborah, ale zwykły scyzoryk. Wbiła mi go w lewe ramię, aż krew pociekła po koszuli.

Bąłem się powiedzieć o tym Mayann, ale sama od razu zauważyła krew na koszuli i wpadła we wściekłość.

- Kto ci to zrobił? Kto ci to zrobił? - krzyczała, potrząsając mną:

- No... Moja cizia...

- Ach, tak! To ona!

- Tak.

- Jakim prawem cię zraniła?

Przestraszony, opowiedziałem jej wszystko. Z Mayann nie było żartów w takich sprawach. Gdy tylko usłyszała, jak to było, odepchnęła mnie i jak strzała pobiegła do domu dziewczyny.

Tamta miała właśnie kłaść się spać, kiedy Mayann zaczęła walić w jej drzwi. Skoro tylko otworzyła, Mayann złapała ją za gardło.

- Za co uderzyłaś nożem mojego syna? - krzyknęła.

I zanim tamta zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Mayann przewróciła ją na podłogę i zaczęła dusić.

Matka była dużą, silną kobietą i byłaby ją zadusiła na śmierć, gdyby nie Black Benny i kilku jeszcze innych facetów, którzy pociągając piwo, grali w karty w pobliskiej knajpie. Benny bardzo dobrze znał Mayann, bo grał ze mną na wielu pogrzebach.

- Nie duś jej, Mayann! - krzyknął Benny, wpadając do mieszkania. - Ona już nigdy więcej tego nie zrobi.

Mayann zwolniła uścisk.

- Żebyś mi się więcej nie czepiała mojego chłopaka! - powiedziała. - Jesteś dla niego za stara.

On nie chciał cię urazić, ale nie ma chęci cię więcej oglądać.

Miała rację. Kiedy się przekonałem, że moja cizia jest taką samą awanturnicą jak Mary Jack the Bear, przestraszyłem się jej.

Rozdział VI

Arthur Brown był jednym z moich szkolnych towarzyszy zabaw. Był to przystojny, spokojny chłopak.

Miał dobre maniery, a dziewczyny traktował w taki sposób, że wprost za nim szalały. Podziwiałem go za jego chłodny stosunek do nich. Chodził z dziewczyną, która miała bardzo sprytnego braciszka. Powiedziałbym nawet, że zbyt sprytnego - zawsze bawił się rewolwerem albo nożem. Nie zwracaliśmy na niego większej uwagi, aż tu pewnego dnia, gdy czyścił pistolet, wycelował w Arthura Browna i powiedział:

- Strzelam!

I rzeczywiście pociągnął za cyngiel; broń była niestety naładowana i Arthur padł na ziemię z kulą w głowie.

To było straszne. Wszyscy byliśmy tak wstrząśnięci, że nawet chłopcy płakali.

Kiedy chowano Arthura, zorganizowaliśmy składkę i wynajęliśmy orkiestrę dętą, żeby grała na jego pogrzebie. Śliczne dziewczyny z całego miasta:

Uptown, Downtown, Front o Town i Back o Town, z którymi Arthur kiedyś chodził, przyszły na pogrzeb i każda z nich płakała. My, chłopcy, same nastolatki, nieśliśmy trumnę kolegi. Wynajęta przez nas orkiestra była najlepsza z tych, jakie kiedykolwiek słyszałem. Była to Onward Brass Band z Joe „Kingiem” Oliverem i Emmanuelem Perezem na kornetach. Wysoki szczupły Eddy Jackson dął w tubę. Kiepski tubista w dętej orkiestrze może utrudnić grę wszystkim pozostałym muzykom, ale Eddy Jackson naprawdę potrafił grać na tym instrumencie i idealnie nadawał się do Onward Brass Band. Najlepszy ze wszystkich był Black Benny grający na wielkim bębnie. To naprawdę duża strata, że nie usłyszało go więcej ludzi; zanim zginął z ręki prostytutki.

To były naprawdę smutne chwile, kiedy ciało Arthura Browna nieśliśmy z kościoła na pobliski cmentarz, a Onward Brass Band grała marsza żałobnego. Wszyscy płakali, ja też. Black Benny uderzał miękko w duży bęben, a Babe Mathews podłożył pod sprężyny werbla chusteczkę, aby stłumić jego brzmienie. Kiedy trumnę spuszczano do grobu, orkiestra zagrała Nearer My God to Thee.

Wszyscy chłopcy niosący trumnę: Cocaine Buddy, Little Head Lucas, Egg Head Papa, Harry Tennen i ja, mieliśmy na sobie swoje najciemniejsze ubrania - przeważnie niebieskie garnitury. Trochę później w tym samym roku Harry'ego Tennen zabiła dziwka włócząca się po knajpach, powszechnie nazywana Sister Pop. Jej alfons, Pop, był znanym specem od

hazardowej gry „cotch”. Pop nie wiedział nic o ich romansie aż do chwili, gdy Sister Pop zabiła Harry’ego strzałem w głowę z wielkiego rewolweru. Lucas i Cocaine Buddy umarli później śmiercią naturalną - na gruźlicę.

Na pogrzebach w Nowym Orleanie atmosfera smutku trwa dopóty, dopóki trumna nie zostanie spuszczone do grobu, a pastor nie wypowie sakramentalnego: „Z prochu powstał i w proch się obróci”. Kiedy zmarły znajdzie się już sześć stóp pod ziemią, orkiestra rozpoczyna jedną z tych starych skocznych melodii w rodzaju Didn’t He RambZe i wszystkich uczestników pogrzebu opuszcza przygnębienie. Zwłaszcza jeśli ostatni chór gra w wysokim rejestrze King Oliver - jak to miało miejsce wtedy.

W miarę rozgrzewania się orkiestry wszyscy obecni zaczynają się kołysać, a zwłaszcza ci, którzy przyłączają się do orszaku pogrzebowego po drodze.

Tworzą oni tak zwaną „second line” (drugą linię); może należeć do niej każdy przechodzień mający ochotę posłuchać muzyki. Przyciąga ich specyficzna atmosfera, jaka towarzyszy tym pogrzebom, a prócz tego mają ochotę zobaczyć, co się będzie działo.

Niektórzy idą tylko przez parę ulic, inni nie odstępują orkiestry aż do zakończenia całej ceremonii.

Czasem zwłoki bywają wystawione na widok publiczny i wtedy czuwają przy nich zazwyczaj bliscy zmarłego. Rodzina zmarłego przez całą noc podaje kawę, ser i kruche ciasteczka, aby ci, którzy przychodzą śpiewać hymny przy zwłokach, mogli posilać się do woli. Chodziłem często na takie czuwania i nieraz rozpoczynałem śpiewać jakiś hymn. Kiedy już wszyscy przyłączyli się do śpiewu, wykradałem się po cichu do kuchni i opychałem się serem i ciastkami, zapijając to kawą. Bardzo mi to zawsze smakowało. Może dlatego, że wszystko było za darmo; kosztowało mnie to tylko jedną pieśń, a raczej hymn.

Znałem pewnego faceta, który chodził na każde czuwanie w mieście, niezależnie od tego, kim był zmarły. W jakiś dziwny sposób zawsze potrafił on znaleźć dom żałobny, siedł tam bez względu na pogodę i rozpoczynał hymn. Kiedy podrosłem już na tyle, by grać w orkiestrze dętej z takimi wytrawnymi muzykami, jak: Joe Oliver, Roy Palmer, Sam Dutrey i jego brat Honore, Oscar Celestin, Oak Gasper, Buddy Petit, Kid Ory, Mutt Carey i jego brat Jack, zacząłem częściej dostrzegać tego osobnika. Raz zobaczyłem go w kościele. Miał tak smutny wyraz twarzy, jakby za chwilę miał się rozplakać.

Ubranie miał na sobie nie najlepsze, a spodnie całkiem nie pasowały do marynarki. Imponował mi jednak tym, że mimo wszystko prezentował się bardzo dobrze. Ubranie było starannie wyprasowane, a buty wyczyszczone do połysku. W końcu dowiedziałem się, co to za jeden - nazywano go Sweet Child.

Przez pewien czas pogrzeby były dla mnie jedyną okazją grania na kornecie. Wybuchła wojna i wszystkie sale taneczne i teatry w Nowym Orleanie były zamknięte. Zgodnie z obowiązującym zarządzeniem mobilizacyjnym każdy musiał pracować lub walczyć. Miałem wielką ochotę zaciągnąć się do wojska, ale brano tam tylko mężczyzn w wieku od dwudziestu jeden do dwudziestu pięciu lat, a ja miałem dopiero siedemnaście. Próbowałem się dostać do marynarki, ale sprawdzili moją metrykę urodzenia i odesłali mnie z kwitkiem. Nie traciłem jednak nadziei i wreszcie w jednym urzędzie poborowym jakiś żołnierz kazał mi się zgłosić za rok. Powiedział, że jeśli wojna potrwa jeszcze do tego czasu, to będę miał okazję wziąć do niewoli niemieckiego kajzera i zdobyć olbrzymią nagrodę. „To by dopiero było fajnie!” - myślałem sobie. „Wziąć do niewoli kajzera i wygrać wojnę!”. Wiercie mi, nie mogłem się doczekać tego dnia.

Ponieważ nie miałem okazji grać na kornecie, chwyciłem się różnych prac dorywczych. Przez jakiś czas pracowałem w porcie przy rozładunku bananów, aż tu raz z wiązki, którą niosłem do punktu kontroli, wyskoczył wielki szczur. Rzuciłem wiązkę i zacząłem uciekać. Kontroler wołał za mną, żebym wrócił i odebrał zapłatę, ale ja zatrzymałem się nie wcześniej aż w domu. Od tego czasu obchodziłem te owoce z daleka. Nie ruszyłem banana, nawet gdybym miał umrzeć z głodu. A pamiętam, jak bardzo je przedtem lubiłem. Gdy kontroler na mnie nie patrzył, potrafiłem sam załatwić mniejszą dojrzałą wiązkę.

Zawsze, gdy moja sytuacja się pogarszała, pozostawało mi jeszcze - dzięki dobremu Gabe'owi rozwożenie węgla. Naprawdę lubiłem Gabe'a i nieraz dokuczałem Mayann.

- Mamo, wiesz co? - zaczynałem. - Tata Gabe to najlepszy ojczym, jakiego miałem. Najlepszy z całej tej armii.

Mayann chichotała i mówiła:

- Nie gadaj głupot, ty Fatty O'Butler.

Były to czasy, kiedy aktor filmowy Fatty Arbuckle był u szczytu sławy i cieszył się wielką popularnością w Nowym Orleanie. Mayann nigdy nie nauczyła się poprawnie wymawiać jego nazwiska. Mnie jednak brzmienie tej przekręconej wersji tak się podobało, że nigdy jej nie poprawiałem, gdy nazywała mnie Fatty O'Butler.

Postanowiłem, że pozostanę w składzie węgla z ojczymem Gabe'm tak długo, jak długo nie uda mi się znaleźć jakiegoś lepszego, a przede wszystkim łżejszego zajęcia. Przerzucanie węgla łopatą i rozwożenie go przez cały boży dzień było ciężką pracą i często strasznie bolały mnie krzyże. Tak więc, kiedy tylko dowiedziałem się o czymś mniej męczącym, pędziłem tam co sił w nogach.

Praca, której podjąłem się wraz z Morrisem Karnoffsky'm, była lżejsza, więc trzymałem się jej przez dłuższy czas. Morris jeździł swoim furgonem przez „dzielnicę czerwonych świateł” - Storyville, sprzedając węgiel, tak zwany „twardy”, po pięć centów za wiadro. Jednym z powodów, dla których jeździłem z Karnoffsky'm, było to, że dzięki temu mogłem przebywać w Storyville, chociaż nosiłem jeszcze krótkie portki. Ponieważ pracowałem razem z dorosłym mężczyzną, gliny dawały mi święty spokój.

W przeciwnym wypadku nieźle wygarbowaliby mi skórę, widząc, że się tam pętam. Byli pod tym względem bardzo surowi w stosunku do młodych i „Fatty” - ang. grubas. Była to zapewne aluzja do tuszy Louisa (przyp. tłum.) chłopaków i nie mam im tego za złe. Pokus tam było wiele i mniej rozsądni chłopcy na pewno popadliby w tarapaty.

Dla mnie nie były to rzeczy całkiem nowe. Dzieciństwo upłynęło mi w sąsiedztwie honky-tonków na Liberty i Perdido, gdzie działo się prawie to samo, co w Storyville, z tym tylko, że dziewczyny były tańsze. W mojej dzielnicy nie stały one w drzwiach swoich klitek ubrane w elegancką jedwabną bieliznę, jak te ze Storyville. Bieliznę miały podobną, ale była ona schowana pod normalnym ubiorem. Nasze dziwki przesiadywały na schodach i pokrzykiwały na przechodzących „kochasiów”.

Przez cały czas musiały jednak uważać na gliny, bo tutaj nie wolno im było robić takich sztuczek jak tamtym ze Storyville. Tam było centrum biznesu.

Można było dobrze zjeść, posłuchać dobrej muzyki i zabawić się.

Wszystkie te klitki w Storyville miały małe kominki. Kiedy przejeżdżał nasz furgon, dziewczyny wołały na Morrisa, żeby jego chłopak przyniósł im węgla. Znosiłem im, ile chciały, a one przeważnie prosiły mnie jeszcze o rozpalenie ognia lub podłożenie węgla. Kiedy to robiłem, nie mogłem się powstrzymać, by nie spoglądać na nie ukradkiem, i zawsze oblewałem się wtedy zimnym potem. Nigdy nie odważyłem się nic powiedzieć, ale miałem dobre oczy i wykorzystywałem to. Myślałem sobie też, że niektóre z tych pięknych młodych kobiet stojących w drzwiach swoich klitek powinny być w domu z rodzicami.

Największą atrakcją podczas tych bezkarnych wypraw do Storyville był dla mnie kabaret Pete Lali, gdzie grał zespół Joe Olivera i gdzie sam Oliwer grzmiał na swym kornecie. Nie było takiego; co mógłby się z nim mierzyć. Grał z nim wtedy Harry Zeno, najślynniejszy w tym czasie perkusista Nowego Orleanu. Najbardziej imponowało mi u Zena to, że bez względu na to, w jakim stopniu oddawał się uciechom życia, nigdy nie pozwalał, aby przeszkadzały mu one w pracy zawodowej. Tego właśnie powinni nauczyć się również dzisiejsi muzycy. Nie było rzeczy, która mogłaby stanąć między Harrym Zeno i jego bębnami.

W zespole Joe Olivera byli jeszcze inni muzycy, których nazwiska stały się legendą. Nigdy nie będzie na świecie godnych ich następców, mówię to z ręką na sercu. A byli to: gitarzysta Buddy Christian, który grywał również na pianinie, puzonista Zue Robertson, klarncista Jimmy Noone, basista Bob Lyons i oczywiście grający na kornecie Joe Oliver. To był najlepszy ze wszystkich zespołów jazzowych, które grały w Nowym Orleanie w latach 1910-17.

Harry Zeno umarł na początku 1917 roku i miał największy pogrzeb ze wszystkich zmarłych muzyków. Oczywiście był tam też Sweet Child, który śpiewał hymny, tak jakby i on był członkiem loży masońskiej Zena. Onward Brass Band zęgnął zmarłego najpiękniejszymi marszami żałobnymi.

Wkrótce po śmierci Zena zaczęto mówić o zamknięciu Storyville. Grupa marynarzy na przepustce wmieszała się w bójkę, w czasie której dwaj z nich zostali zabici. Wtedy marynarka wydała wojnę Storyville i chociaż byłem jeszcze młody, poczułem, że koniec jest bliski. Policja rozpoczęła obławy we wszystkich domach schadzek i kabaretach. Zamknięto wszystkich alfonsów i szulerów, którzy przesiadywali w knajpie „Twenty-Five”, podczas gdy ich cizie uprawiały swoje rzemiosło.

Żałosny to był widok, kiedy władze usuwały ze Storyville tych wszystkich ludzi. Przypominali tłum uchodźców. Niektórzy z nich spędzili w tej dzielnicy swoje najlepsze lata, a inni dopiero teraz po raz pierwszy zetknęli się z normalnym życiem. Nigdy nie widziałem tyle płaczu i rwetesu co wtedy. Wszyscy alfonsi - oprócz kilku uprzywilejowanych musieli iść do pracy albo szli pod klucz.

W Storyville powoli dochodziło do głosu nowe pokolenie. Ja i moi koledzy zaczęliśmy się rozglądać za nowymi atrakcjami, takimi jak własny zespół jazzowy, kwartet wokalny czy inne formy działalności muzycznej.

Razem z Joe Lindseyem stworzyliśmy małą orkiestrę. Joe był bardzo dobrym perkusiistą, a Morris French dobrze grał na puzonie. Z początku był trochę nieśmiały, ale szybko pomogliśmy mu to przezwyciężyć. Drugim - nieśmiałym członkiem zespołu był klarncista Louis Prevost, ale kiedy już zaczynał grać, cóż to była za gra! Nie mieliśmy w zespole pianina. Było nas sześciu: kornet, klarnet, puzon, perkusja, bas i gitara, a kiedy nasza szóstka zaczynała swingować, to można byłoby przysiąc, że słyhać zespół Kida Ory czy Olivera.

Ory i Oliver wspólnymi siłami utworzyli jeden z najlepszych zespołów jazzowych, jakie kiedykolwiek grały w Nowym Orleanie. Często grywali jeżdżąc na platformie i reklamując jakiś bal czy inne imprezy rozrywkowe. Czasem zdarzało się, że spotykali na jakimś rogu ulicy platformę z konkurencyjnym zespołem, wtedy Joe i Kid Ory stawiali wszystko na jedną kartę. Wydmuchiwali z siebie całą tę wspaniałą, wściekłą muzykę, która

w nich siedziała, a towarzyszący im tłum wpadał w szal. Kiedy drugi zespół poczuł już, że lepiej dla niego będzie przerwać ten muzyczny pojedynek i ruszał do następnego skrzyżowania, Kid Ory grał na puzonie krótką melodyjkę, która sprawiała, że otaczający ich tłum wybuchnął głośnym śmiechem. Jeślibyście kiedyś spotkali Kida, to możecie go spytać o tytuł tej melodii, bo ja nie ośmielę się go tu przytoczyć. Był to triumfalny sygnał oznaczający klęskę przeciwnika.

Zawsze wydawała mi się bardzo śmieszna i was pewnie też by rozśmieszyła.

Kid wiedział, jak bardzo Joe Oliver mnie cenił.

Wiedział też, że Oliver pomimo swej sławy nigdy nie zrobiłby nic, aby mnie publicznie poniżyć. Często, gdy nasz zespół jeździł na platformie po mieście, reklamując jakąś imprezę, niespodziewanie natykaliśmy się na zespół Ory'ego i Olivera. W takich wypadkach Joe kazał mi wstawać, żeby się upewnić, że tam jestem, i móc zrezygnować z „ataku”. Widząc mnie, wstawał z miejsca, grał kilka krótkich utworów i ruszał w innym kierunku.

Pewnego dnia, gdy reklamowaliśmy jakiś bal, nadzialiśmy się na zespół Olivera. Czułem się tego dnia dość kiepsko i zapomniałem podnieść się z siedzenia. Alez dostaliśmy wtedy cięgi! Nie obyło się też bez tej pożegnalnej melodijki zagranej przez Kida Ory, kiedy opuszczaliśmy plac boju. Tłum szalał z radości. Czuliśmy się okropnie, ale przyjęliśmy klęskę z uśmiechem, bo nie było innego zespołu, który mógłby nas pokonać. My, młodzi, byliśmy najpoważniejszymi rywalami orkiestry Olivera.

Spotkałem się z Joe Oliverem tego samego dnia wieczorem.

- Czemu, do diabła, nie wstałeś? - zapytał, zanim zdążyłem otworzyć usta.

- Papo Joe, trudno, sam sobie jestem winien.

Obiecuję, już nigdy więcej tego nie zrobię.

Skończyło się na śmiechu, a potem Joe postawił mi butelkę piwa. Był to dla mnie zaszczyt, bo Papa Joe był człowiekiem oszczędnym i nieczęsto fundował komuś drinka. Dla mnie jednak gotów był zrobić wszystko, żeby mi sprawić przyjemność.

W tym czasie nie znałem jeszcze innych świetnych muzyków, takich jak: Jelly Roll Morton, Freddie Keppard, Jimmy Powlow, Bab Frank, Bill Johnson, Sugar Johnny, Tony Jackson, George Fields i Eddy Atkins. Wszyscy oni opuścili Nowy Orlean na długo przed zamknięciem „dzielnic czerwonych świateł” przez dowództwo marynarki i władze. Oczywiście, większość z nich poznałem później, ale wtedy moim wzorem był Papa Joe Oliver, świeć, Panie, nad jego duszą. Często wyręczałem w różnych czynnościach jego żonę, Stellę Oliver, a Joe odpłacał mi się, ucząc mnie gry na kornecie. Niczego bardziej nie pragnąłem. Moją am-

bicją było grać tak jak on. Do dziś uważam, że gdyby nie Joe Oliver, jazz nie stałby się tym, czym jest obecnie. To był wielki twórca.

Mrs. Oliver również przywiązała się do mnie i traktowała mnie jak własnego syna. Miała dziecko z pierwszego małżeństwa, córkę Ruby, którą pamiętam jeszcze jako małą dziewczynkę. Teraz Ruby jest mężatką i sama ma córkę, która niedługo wyjdzie za mąż.

Jedną z najwspanialszych rzeczy, jaką zrobił dla mnie Joe Oliver w moich młodych latach, było to, że podarował mi swój stary sfatygowany kornet, na którym grał przez długie lata. Bardzo ceniłem ten instrument i pilnowałem go jak oka w głowie.

Grałem na nim przez cały szereg lat, zanim byłem w stanie sprawić sobie nowy.

Kornety były wtedy dużo tańsze niż dzisiaj, ale i tak kosztowały około sześćdziesięciu pięciu dolarów. A na taką sumę mógł się zdobyć tylko bardzo dobrze zarabiający muzyk. Pamiętam, jak tacy pierwszorzędni muzycy, jak Hamp Benson, Kid Ory, Zoo French, George Brashere, Joe Petit, a także wielu innych, z którymi grałem, nie posiadali się z radości, kiedy mogli zdobyć się na nowy instrument. Zachowywali się wtedy tak, jakby odbierali cadillaca najnowszego typu.

Ja kupiłem swój pierwszy fabrycznie nowy kornet na raty, na zasadzie spłat „trochę teraz, trochę później”. Ale gdy tylko mój wierzyciel mnie złapał i upominał się o „trochę teraz”, mówiłem mu:

- Dam wam wszystkim trochę później, bo niech mnie szlag trafi, jeśli mogę wam dać trochę teraz.

Kiedy przychodził okres zastoju w pogrzebach, pochodach, tańcach, piknikach i innych imprezach, korneciści często zastawiali swoje instrumenty. Ja również kilka razy zanosłem swój kornet do lombardu, aby uzyskać trochę forsy. Raz zrobiłem to po to, aby mieć za co grać w karty i móc przebywać w towarzystwie słynnych hazardzistów oraz innych niebieskich ptaków.

Nigdy nie przestanę kochać Joe Olivera. Zawsze był gotów pośpieszyć mi na ratunek, gdy potrzebowałem czyjejś rady, lub pomóc mi w jakiejś trudnej życiowej sytuacji. Tak też było, gdy poznałem dziewczynę imieniem Irene, która właśnie przybyła z Memphis w stanie Tennessee i nie знаła nikogo w Nowym Orleanie. Irene wpadła w sidła szulera z mojej dzielnicy, którego nazywano Cheeky Black, i miała z nim ciężkie życie. Zaglądała często do honky-tonku, gdzie grałem w trzyosobowym zespole - ja na kornecie, Boogus na pianinie, a Sonny Garbee na perkusji.

Koło czwartej-piątej rano okoliczne dziwki kończyły swoje nocne polowanie na klientów i przychodziły do naszej knajpy. Prosiły, żeby grać im fajne bluesy, stawiały nam wtedy drinki, kupowały papierosy i wszystko, na co tylko mieliśmy ochotę.

Zauważyłem, że wszystkie dobrze się bawią oprócz Irene. Raz podczas przerwy zacząłem z nią rozmawiać i wtedy opowiedziała mi całą swoją historię.

Cheeky Black zabierał jej co do centa wszystkie zarobione pieniądze; już od dwóch dni nic nie jadła.

Była całkiem obdarta. Wtedy odezwało się moje miękkie serce. Zarabiałem dolara i dwadzieścia pięć centów za wieczór. Było to - jak na tamte czasy dobre wynagrodzenie, oczywiście jeśli je dostawałem, bo w niektóre dni nam płacili, a w inne nie.

Oddawałem Irene większość swoich zarobków aż do chwili, gdy stanęła na nogi.

Trwało to dotąd, dopóki Irene nie uwolniła się od Cheeky Blacka. Wtedy mogła zrobić tylko jedną rzecz: przejść pod moją opiekę. Nie miałem żadnego doświadczenia z kobietami; ona nauczyła mnie wszystkiego.

Pokochaliśmy się bardzo. Moja matka początkowo nic o tym nie wiedziała, ale kiedy się już dowiedziała, nie sprzeciwiała się. Przy swoim doświadczeniu życiowym uważała, że jestem dostatecznie dorosły, aby żyć własnym życiem i sam o sobie decydować. Zamieszkałem z Irene i żyliśmy razem jak mąż i żona. Nagle pewnego dnia poważnie zachorowała. Jej organizm, ogromnie osłabiony poprzednim trybem życia, teraz nie potrafił oprzeć się atakującej go chorobie. Biedna dziewczyna! Miała dwadzieścia jeden lat, a ja właśnie skończyłem siedemnaście. Nie miałem pojęcia, co robić ani jak jej pomóc.

Najgorsze przyszło, kiedy zaczęły ją atakować bóle żołądka. Co noc jęczała tak strasznie, że o mało nie zwariowałem. Byłem zrozpaczony, lecz wtedy właśnie spotkałem mego „dobrego ducha”, Joe Olivera.

Wpadłem na niego, idąc na targ Poydras Market, żeby kupić rybich głów i ugotować Irene cubie yon, tak jak mnie nauczyła Mayann. Papa Joe szedł grać na pogrzebie.

- Hello, mały! Co słyhać? - zapytał.

- Nic - odpowiedziałem smutno.

Potem opowiedziałem mu o chorobie Irene i o tym, jak ją bardzo kocham.

- Potrzebujesz pieniędzy na doktora? O to ci chodzi? - zapytał od razu. - Zagraj za mnie przez dwie noce u Pete Lali.

Zarabiał tam dużo pieniędzy - półtora dolara za noc. Przez dwie noce mogłem zarobić dostatecznie dużo, aby opłacić bardzo dobrego doktora i ulżyć Irene w jej cierpieniach. Oczywiście strasznie chciałem zarobić te pieniądze, których tak bardzo potrzebowałem, cie-

szylem się również, że znów będę mógł pograć sobie na kornecie. Już dosyć długo go nie używałem.

- Papo Joe - powiedziałem - jestem ci bardzo wdzięczny, ale nie wydaje mi się, że bym potrafił cię zastąpić.

Joe pomyślał przez chwilę i rzekł:

- No, no! Tylko bez ceregieli! Idź i zagraj za mnie. A jakby Pete Lala miał jakieś wątpliwości, to powiedz mu, że to ja cię przysłałem.

Choć bardzo potrzebowałem tych pieniędzy, strasznie się bałem. Joe był tak znaczną figurą w Storyville, że Pete Lala na pewno nie zgodzi się, aby na jego miejscu zagrał ktoś tak zupełnie nieznan jak ja. Już widziałem, jak mi to mówi.

Poszedłem tam następnego wieczora, ale zanim zdążyłem otworzyć futerał kornetu, kątem oka zauważyłem nadchodzącego Pete Lale. Milcząc, zająłem swoje miejsce na podium.

- Gdzie jest Joe? - zapytał Pete.

- Przysłał mnie, że bym go zastąpił - odpowiedziałem nerwowo.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Pete Lala pozwolił mi grać tej nocy. Jednakże co pięć minut, ciągnąc swoją drewnianą nogę, podchodził do podium znajdującego się na samym końcu kabaretu.

- Chłopcze - mówił - wsadź no „dumik” w swoją trąbę.

Nie miałem zielonego pojęcia, o co mu chodziło, dopiero pod sam koniec wieczoru domyśliłem się, że chciał, abym grał z tłumikiem. Po skończonym graniu powiedział mi, że bym więcej nie przychodził.

Opowiedziałem wszystko Papie Joe, a on mimo to zapłacił mi za dwie noce. Wiedział, jak bardzo potrzebuję tych pieniędzy, a poza tym tak właśnie postępował z każdym, kogo naprawdę lubił.

Joe przestał grać u Pete Lali, odkąd wyszło zarządzenie, że w soboty lokale w Storyville mają być zamknięte, a sobota to najlepszy dzień tygodnia.

Rozglądając się za nowymi możliwościami, wpadł kiedyś odwiedzić mnie i Irene; ugotowaliśmy wtedy na jego cześć garnek smacznego gumbo. Irene była już zdrowa i znowu byliśmy szczęśliwi.

Rok 1917 był dla mnie punktem zwrotnym. Joe Lindsey opuścił zespół. Znalazł sobie kobietę, która nakłoniła go do zerwania z nami. Wyglądało na to, że sam Joe niewiele miał do powiedzenia na ten temat; ta kobieta podjęła decyzję za niego. Tak czy inaczej - ten drobny incydent spowodował, że nasz zespół rozleciał się i przez dłuższy czas nie widywałem pozostałych chłopców, nie licząc rzadkich spotkań z któryś z nich na przypadkowych gra-

niach. Natomiast Joe Lindseya, który był moim serdecznym przyjacielem, nie spotkałem bardzo długo.

Kiedy go znowu zobaczyłem, był prywatnym szoferem i prowadził wielki wóz o potężnym silniku.

Wyglądał fantastycznie! W międzyczasie dużo mówiło się o tym, jak to Joe porzucił nasz zespół i zerwał naszą przyjaźń, odchodząc z tamtą kobietą.

Tłumaczyłem wszystkim, że Joe wcale się ze mną nie poróżnił, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi od czasów dzieciństwa i pozostaniemy nimi do końca życia.

Seefus - bo tak nazywaliśmy Joego, kiedy był jednym z nas, ubogich muzyków - miał szczęście.

Wszystko skończyło się dla niego dobrze, ale sprawdziło się jeszcze raz stare powiedzenie, że nie wszystko złoto, co się świeci. Seefus miał wiele zgrzyoty z tamtą kobietą. Po pierwsze - była dla niego za stara, o wiele za stara! Uważałem, że Irene była trochę za stara dla mnie, ale on pobił mnie na głowę - związał się prawie z babcią. I na dodatek jeszcze się z nią ożenił! Boże, co on przez nią przeszedł! Wkrótce po ślubie rzuciła go bez skrępowań.

Joe strasznie cierpiał z powodu zranionej dumy i próbował nawet popełnić samobójstwo podcinając sobie gardło brzytwą. Widząc, co się przytrafiło Joemu, powiedziałem Irene, że ponieważ weszła już na prostą drogę, powinna znaleźć sobie jakiegoś starszego towarzysza życia. Byłem tak pochłonięty moim kornetem, że nie mogłbym być dla niej dobrym partnerem. Podobała jej się moja szczerłość i powiedziała, że nigdy nie przestanie mnie kochać.

Potem pojechałem do miasteczka Houma w stanie Luizjana - skąd pochodził tamten chłopak, którego w poprawczaku nazywaliśmy „Houma” - aby tam grać w małym zespole, którym kierował przedsiębiorca nazwiskiem Bonds. Był on dla mnie tak miły, że pozostałem dłużej, niż planowałem. Upłynęło bardzo wiele czasu, zanim znów zobaczyłem Irene i Joe Lindseya, chociaż często o nich obojgu myślałem.

W Nowym Orleanie niewiele się zmieniło podczas mojej nieobecności. Nadal spotykałem w swojej dzielnicy starą Mrs. Magg, która wychowywała prawie wszystkie okoliczne dzieci. Ona i nauczycielka Mrs.

Martin były przedstawicielkami dawnych czasów w naszej okolicy. Trzecią osobą była Mrs. Laura, której nazwiska nie znam, bo nigdy nie przywiązywaliśmy wagi do tego, aby wiedzieć, jak nazywają się nasi znajomi - ale którą wspominam z wdzięcznością. Kiedy jedna z tych trzech kobiet spuszczała nam lanie, nie biegliśmy nigdy do rodziców, aby się poskarżyć, bo na pewno dostalibyśmy od nich drugie. Mrs. Magg chyba jeszcze żyje.

Po powrocie z Houma musiałem opowiedzieć Mrs.

Magg o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu tych kilku tygodni, kiedy tam byłem. Mr. Bond płacił mi „; tam tygodniówkę i stołowałem się w jadłodajni, którą prowadził w swoim domu. Miał miłą żonę; bardzo smakowała mi przyrządzana przez nią fasola szparagowa, którą na Północy nazywają „lima beans”. Największą uciechę w Houma sprawiał nam granie na podmiejskich zabawach. Kiedy sala była wypełniona do połowy, wychylałem się przez okno i grałem na kornecie. Wtedy tłum zaczynał napływać do sali. W ten sposób dawałem im znać, że tego wieczoru będzie prawdziwa zabawa. Kiedy tłum zapełnił już salę, nasz mały zespół ochoczo ruszał.. do ataku.

Byłem młody i postrzelony, otrzymawszy więc tygodniowe wynagrodzenie, pędziłem prosto do domu gry i w przeciągu dwóch godzin zgrywałem się do ostatniego centa. Kiedy wracałem do Mayann, podstawiła mi talerz z jakimś fajnym jedzeniem, a ja napychając się przyrzekałem sobie nigdy więcej nie opuszczać domu. Nie ma co, gdzie bym się nie znalazł, zawsze pamiętałem kuchnię Mayann.

Pewnego dnia jednemu chłopakowi z naszej ulicy wpadł do głowy fantastyczny pomysł, aby uciec z domu i pojechać do pracy na plantacji trzciny cukrowej. Dotarliśmy towarowym pociągiem do Harrihan, mniej więcej trzydzieści mil od Nowego Orleanu. Zaczynałem odczuwać prawdziwy głód, a im bardziej byłem głodny, tym więcej myślałem;... o smacznych klopsikach i spaghetti, które Mayann przygotowywała rano, kiedy wyruszaliśmy. Postanowiłem zrezygnować z całego przedsięwzięcia.

- Słuchajcie, chłopcy - powiedziałem. - Przykro mi, ale to wszystko nie ma sensu. Po co mamy porzucać rodzinny dom i dobre jedzenie i włączyć się po kraju bez pieniędzy? Ja wracam do matki najbliższą towarówką.

I wiercie mi, że tak zrobiłem. Kiedy znalazłem się w domu, Mayann nawet nie wiedziała, że wracam z wyprawy na plantacje trzciny cukrowej.

- Synu - powiedziała - przyszedłeś w sam czas na kolację.

Westchnąłem z ulgą. Postanowiłem wtedy, że już nigdy więcej nie opuszczę domu, chyba że wezwie mnie Papa Joe Oliver. I postanowienia dotrzymałem.

Nie chcę, aby ktoś pomyślał, że pozuję na świętego. Mam wady jak każdy człowiek, jednak zawsze starałem się żyć uczciwie. Byłem zdecydowany grać swoją muzykę bez względu na wszystko, i aby to osiągnąć, musiałem zrezygnować z wielu przyjemności. Okoliczni chłopcy często chodzili do ogrodu Mrs.

Cole w Uptown, gdzie grywał Kid Ory. Ci chłopcy stroili się w eleganckie ubrania. Nie miałem tyle pieniędzy co oni i nie mogłem się tak stroić, więc wybiłem sobie z głowy

Kida Ory. Chodziliśmy za to nieraz z Mayann i Mamą Lucy na tanie przedstawienia i też dobrze się bawiliśmy.

Rozdział VII

Chwytałem się różnych dodatkowych zajęć, aby jakoś związać koniec z końcem i pomóc Mayann i Mamie Lucy. Na przykład jeździłem ze zbieraczem śmieci Lorenzo. Był to bardzo wesoły gość, nie płacił mi dużo, ale ile mieliśmy uciechy, jeżdżąc tak po całym mieście i zbierając szmaty, kości i butelki - zarówno od bogaczy, jak i od biedaków!

Lorenzo miał starą trąbkę z blachy, której używał bez ustnika, i naprawdę potrafił na niej wygrać melodię, i to nawet z uczuciem. Była to jedna z tych długich blaszanych trąbek z drewnianym ustnikiem, które ludzie kupowali, aby dmuchać w nie podczas obchodów świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Z prawdziwym zdumieniem słuchałem, jak wygrywał na niej swój sygnał, wywabiając ludzi z domów i podwórek. Wśród wyrzuconych rzeczy nieraz można było znaleźć coś przydatnego, na przykład ubranie lub części garderoby, które pasowały na mnie jak ulał. Raz Lorenzo kupił całe ubranie od jakichś białych na Charles Street, które odstąpił mi bez zarobku. Nie była to duża suma, a jaki byłem elegancki!

Zadowolony, że szybko pojąłem, o co chodzi w tej pracy, Lorenzo pozwalał czasem, abym sam odwoził plon całodziennych zbiorów do składu, gdzie wszystko ważono. Lubilem to zajęcie. Jedna tylko rzecz zawsze mnie dziwiła u niego. Zarabiając tyle pieniędzy, nigdy nie doprowadził swoich zębów do porządku. Brakowało mu co drugiego zęba, więc gdy usłyszał coś śmiesznego, wyglądał tak, jakby śmiał się dwa razy szerzej niż inni ludzie. Nie odważyłem się jednak zwrócić mu na to uwagi, bo nie chciałem, aby starsi uważali mnie za bezczelnego. Ceniłem i lubiłem Lorenza i chętnie przeżyłbym jeszcze raz te dni, które z nim spędziłem. Kiedy byłem z nim, czułem, że jestem w swoim żywiole. Słuchałem jak urzeczony tego, co mówił o muzyce, a gdy grał z pasją na swojej starej pogiętej blaszanej trąbce, wydawało mi się, że siedzę obok dobrego kornecisty.

Sprzedawca pasztecików, Santiago, chodząc ulicami z dużym koszem na ramieniu, grał na sygnalówce, aby zwrócić na siebie uwagę przechodniów. Potrafił również swingować na tym instrumencie, tak samo zresztą sprzedawca wafli jeżdżący po mieście dużym wozem, na którym zamontowany był piec kuchenny. Gdy zagrał swój sygnał, klienci zbiegali się tłumnie; czasem spotykali go wygłodniałi karciarze wracający do domu po całonocnym hazardowaniu się i ani rusz nie pozwalali mu jechać dalej.

Jako chłopiec czerpałem inspirację do swojej muzyki z wielu źródeł, dostarczali mi jej różni ludzie i różne instrumenty. Zawsze kochałem muzykę i nie miało dla mnie znaczenia, kto i na jakim instrumencie ją gra, jeśli była dobra. Lubilem na przykład słuchać kapitalnej

muzyki „barowych” kwartetów. Faceci ci zasiadali w saloonie, zamawiali dzbanek zimnego piwa, który puszczała dookoła kolejką, i śpiewali jak wariaci. Czułem się naprawdę kimś, gdy mogłem przyłączyć się do nich, śpiewać wraz z nimi i pociągać z dzbanka. Miałem dopiero kilkanaście lat, a ci znacznie starsi ode mnie goście pozwalali mi przyłączyć się do siebie, a nawet - daj im, Boże, zdrowie za to! - śpiewać partię prowadzącą. Już wtedy uważali, że jako śpiewak ragtime ów mam to „coś, co teraz jest konieczne dla współczesnego śpiewu swingowego.

W tych śpiewach na rogu ulicy lub w saloonie brał udział również Black Benny, jeśli nie był zajęty hazardem, graniem na bębnie czy uganianiem się za dziewczynami. Warto było słyszeć jego solidny „barowy” tenor, kiedy śpiewał Sweet Adeline albo Mr.

Jefferson Lord - Play that Barber-Shop Chord.

Trzeba było jednak mieć na niego oko, jak zaczynał krążyć dzbanek z piwem. Bywało, że gdy zebrała się grupka facetów, wszyscy razem nie mieli więcej jak dziesięć centów. Naturalnie, cała forsa szła na duży cynowy dzbanek lodowatego piwa. Było tak zimne, że nikt nie był w stanie przelknąć więcej jak trzy łyki naraz. Nikt, oprócz Black Benny’ego.

Jeśli już ktoś popełnił tę omyłkę i jemu pierwszemu podał piwo, Benny przykładał je do ust i było tylko widać jego jabłko Adama poruszające się w górę i w dół jak perpetuum mobile, czemu towarzyszył regularny gulgot. Po pewnym czasie z westchnieniem odejmował dzban od ust, ocierał pianę rękawem koszuli i grzecznie podawał naczynie sąsiadowi, jak gdyby było tam jeszcze mnóstwo piwa. Ale dzban był pusty - Black Benny wlał je aż do ostatniej kropli w swoją przepastną gardziel.

Black Benny miał takie swoje sposoby, że prawie wszystko uchodziło mu bezkarnie. Rzadko miewał pieniądze, bo grając z lepszymi od siebie karciarzami, zazwyczaj przegrywał wszystko, co miał, a jeszcze to i owo musiał zastawić w lombardzie. Kiedy uśmiechnęło się do niego szczęście, wykupywał z lombardu swoje najlepsze ubranie i stawiał drinka każdemu, kto był w zasięgu jego wzroku. Wtedy dopiero brał się za dzbanek! Ale najpierw pociągali sobie wszyscy pozostali. Nie chcieliśmy ryzykować nawet wtedy, gdy Benny fundował piwo. Podejrzewaliśmy, że zrobiłby tak samo jak ten gość, który kupił torbę pomarańczy dla chorego przyjaciela w szpitalu i zjadł je sam, siedząc przy jego łóżku.

Gdy wróciłem z Houma, zastałem niewesołą sytuację. Wojna z niemieckim kajzerem coraz bardziej dawała się we znaki, a na domiar złego nawiedziła Nowy Orlean epidemia grypy. Wszyscy na nią chorowali oprócz mnie, a to dlatego, że ja zawsze brałem na preczyszczenie. Robiłem to co tydzień i dzięki temu omijały mnie wszelkie choroby.

Już wyglądało na to, że władze cofną zakaz gromadzenia się w miejscach publicznych, dzięki czemu znów moglibyśmy grać, przyszły jednak nowe zarządzenia, i to jeszcze surowsze, niż były dotychczas.

Zmusiło mnie to do chwytania każdej dorywczej pracy, jaka tylko mi się nawinęła. Ponieważ wszyscy chorowali na gripę, musiałem nie tylko pracować, ale także być lekarzem dla rodziny i przyjaciół. Nie chcę się chwalić, ale nieźle ich kurowałem.

W końcu znalazłem stałe granie w knajpie prowadzonej przez Włocha nazwiskiem Henry Matranga.

Jego lokal nie został zamknięty jak tamte w Storyville, bo był trzeciej kategorii. Mogłem tam grać dużo bluesów dla tanich prostytutek i szulerów, przynajmniej do chwili, kiedy wreszcie i Matranga musiał zamknąć swój interes.

Henry Matranga był bardzo elegancki i lubił wesołe życie. Traktował wszystkich dobrze i kolorowi bywalcy jego lokalu bardzo go lubili. Moja matka pracowała u niego w domu, kilka przecznic od restauracji, a ja chodziłem ją tam odwiedzać. Kiedy trafiłem na posiłek, sadzali mnie w kuchni, stawiali przede mną talerz smacznego włoskiego spaghetti i z przyjemnością patrzyli, jak jadłem.

Matranga nie zajmował się specjalnie swoimi klientami. Wiedząc, jak uczuleni byli moi pobratymcy na ciągłe pokrzykiwanie i rządzenie się białych, pozostawiał utrzymywanie porządku Slippersowi, który był wykidajłą.

W okresie kiedy tam grałem, widziałem kilka poważnych bójek. W którąś sobotę wybuchła strzelanina pomiędzy Slippersem a facetem z ekipy do regulacji rzeki. Ci robotnicy dostawali wypłatę w sobotę wieczorem, wtedy upijali się i wyruszali do miasta, prosto do knajpy, w której grałem. Slippers miał twardą pięść. Nie zaczepił nikogo, ale nie daj Boże, żeby ktoś z nim zadarł albo wszczął awanturę w lokalu Matrangi.

Ten gość od regulacji rzeki przegrał wtedy w tylnej sali wszystkie pieniądze. Slippers obserwował go, kiedy próbował zabierać ludziom pieniądze, a także odebrać swoją przegraną facetowi trzymającemu bank. Wykidajło najpierw mu perswadował, ale tamten nie przestawał się awanturować. W końcu Slippers chwycił go za spodnie i wyrzucił na chodnik. Gracze zgromadzeni wokół stołu zapomnieli powiedzieć Slippersowi, że facet ma broń. Znalazszy się za drzwiami, tamten wyciągnął wielki rewolwer i oddał na oślep trzy strzały. Slippers jednak także umiał szybko chwytać za broń. Przestrzelił awanturnikowi nogę. Wzięli go do szpitala, a stamtąd do aresztu.

Kiedy wybuchła ta strzelanina, my, muzycy z zespołu, strasznie się przerażyliśmy. Podium znajdowało się blisko drzwi. Pianista Boogus zbladł jak papier, a perkusista Garbee wyjąkał, poruszając grubymi wargami:

- C-c-c-co to?

- Nic - odpowiedziałem, choć sam nie mniej byłem przerażony.

Właściwie miałem rację, nic poważnego się nie stało. Rannego odwieźli do szpitala, a około czwartej rano jak zwykle zaczęły ściągać dziewczyny po swojej nocnej pracy. Stawiały nam drinki, a my graliśmy wszystkie stare dobre bluesy. Wkrótce wszyscy zapomnieli o całym zajściu.

Jedno, co mi się podobało u tych wszystkich typków z czasów mojej młodości w Nowym Orleanie, to to, że lubili oni dobrą muzykę. Slippersowi tak bardzo podobała się moja gra, że namówił Matrangę, żeby właśnie mnie przyjął na miejsce kornecisty, który odszedł. Tamten był całkiem niezłym muzykiem i Matranga miał pewne wątpliwości, czy ja będę w stanie go zastąpić. Kiedy przyszedłem pierwszy raz do pracy, Slippers siedział już w moim rogu i robił wszystko, żeby dodać mi otuchy.

- Posłuchaj tego chłopaka - mówił do Matrangi. - Posłuchaj tylko, jak ten mały sukinsyn dmie w tę przepiórkę!

Tak właśnie Slippers nazywał mój kornet przez cały okres mojego grania u Matrangi. Czasem, gdy zaczynaliśmy się naprawdę rozgrzewać, Slippers przylatywał z sali gier i wołał:

- Posłuchajcie tylko, jak ten mały sukinsyn dmie w tę przepiórkę!

Potem zwracał się do mnie:

- Chłopcze, jeśli dalej będziesz tak grał, to będziesz najlepszy na tej przepiórcie na całym świecie.

Wspomnisz moje słowa.

Takie pochwały z ust Slippersa wbijały mnie w dumę. Znał się on na muzyce i nie lubił szafować komplementami.

Slippers i Black Benny mieli najlepsze pięści w całej okolicy. Zawsze byli gotowi do uczciwej walki. Ale gdyby ktoś próbował z nimi jakichś sztuczek czy nieczystych chwytów, o, bracie, wtedy łapali, co popadło. Kiedy zmuszono ich do tego, nie przebierali w środkach. Bardzo mi się u nich podobało to, że nigdy nie bili się między sobą.

Przecznicę dalej od knajpy Matrangi były dwa inne honky-tonki, ale my, młodzi, rzadko do nich zaglądaliśmy, bo kręciły się tam różne typy spod ciemnej gwiazdy, a już zwłaszcza w knajpie Spanola.

Ciągle pod drzwiami podjeżdżała karetka pogotowia, aby zabrać jakiegoś gościa do szpitala. Czasem zamiast karetki zajeżdżał wóz policyjny, aby odwieźć do kostnicy kogoś zastrzelonego lub zakłutego nożem.

My, chłopcy, unikaliśmy tego miejsca. Tuż obok była knajpa Savocasa. Chodziliśmy tam po wypłatę, kiedy pracowaliśmy na nabrzeżu przy wyładunku bananów. Czasem przy dużym statku pracowało się cały dzień, czasem całą noc. Po skończeniu rozładunku biegliśmy do Savocasa i ustawialiśmy się na chodniku w kolejce po zapłatę. Potem wielu facetów szło do środka i przegrywało w sali gier cały zarobek. Ja nie mogłem sobie na to pozwolić, bo byłem jedyną materialną podporą Mayann, Mamy Lucy i mojego zaadoptowanego syna Clarence'a. Robiłem co mogłem, aby zawsze mieli co włożyć do ust.

Clarence bardzo lubił maślanekę. Kiedy w okolicy rozlegał się głos sprzedawcy, Clarence budził się i mówił:

- Tata, pan z maślanką idzie!

Clarence miał już blisko dwa lata i był bardzo miłym dzieckiem. Strasznie się do mnie przywiązał, a ponieważ ja zawsze przepadałem za dziećmi, było nam więc z sobą bardzo dobrze. Ten chłopiec grał ważną rolę w moim życiu.

Mrs. Laura miała wózek z daniami barowymi przed knajpą Henry Matrangi. Kiedy amatorzy nocnego życia mieli już dość alkoholu, który był wtedy o wiele mocniejszy niż dzisiejsze „soczki”, ustawiali się grzecznie w kolejce przed jej ladą i żarli jak świny. My, muzycy, jedliśmy na kredyt, płacąc w końcu tygodnia. Mrs. Laura zarabiała sporo pieniędzy, ale jej mąż, który był od niej dużo młodszy, tracił je na inne kobiety. Jego żona nie odznaczała się urodą, ale umiała cieszyć się życiem, a to było najważniejsze.

W tym okresie pracowałem także przez jakiś czas jako pomocnik rozwoziciela mleka, którym był bardzo fajny biały chłopak. Był dla mnie bardzo uprzejmy i starał się ułatwić mi pracę, jak tylko mógł.

Nasza trasa biegła przez West End i ośrodki lotniskowe w Spanish Fort, a musieliśmy dostarczyć mleko bardzo wcześnie rano. Drogi, którymi jeździliśmy były pokryte ubitą przez koła miazgą z muszli ostryg.

Pewnego niedzielnego poranka usiłowałem wskoczyć na wóz, kiedy już ruszył, ale noga ześlizgnęła mi się ze stopnia i dostała się pod koło, które wgniotło mi stopę w potłuczone muszle. Wóz był ciężko załadowany, więc koło poważnie zraniło mi duży palec, a w ranę powbijały się drobne, ostre skorupki.

Strasznie mnie to bolało, więc mój szef zawiózł mnie do Szpitala Miłosierdzia, oddległego o kilka mil od Nowego Orleanu.

Myślałem, że wyzionę ducha, kiedy w szpitalu wyciągali mi z palca kawałki muszli. Gdy lekarze dowiedzieli się, że wypadek zdarzył się na wozie należącym do firmy Cloverland Company, zapytali mnie, czy mam zamiar wystąpić o odszkodowanie.

- O, nie! - powiedziałem. - Nie mogę tego zrobić mojemu szefowi. Poza tym to nie była jego wina.

Kiedy przyszedłem do domu z obandażowaną nogą, Mayann zemdlła. Zawsze tak reagowała, gdy jej Louisowi przytrafiło się coś złego. Oczywiście wszyscy sąsiedzi usiłowali namówić ją, abym wystąpił o odszkodowanie, ale ona była nieugięta.

- Jeśli mój syn mówi, że nie, to nie - odpowiadała.

Gdybym wystąpił o odszkodowanie, dostałbym prawdopodobnie pięćset dolarów, ale nie myślałem o pieniądzach. Myślałem jedynie o tym, aby jak najszybciej wyzdrowieć. Poza tym to nie była wina mojego szefa, a on zawsze był dla mnie bardzo dobry. Palec się wygoił, a szef i tak dał mi upominek.

W tydzień później inny chłopak jeżdżący na drugim wozie miał podobny wypadek, ale wcale nie tak poważny, no, nawet w przybliżeniu nie tak poważny jak mój. Tamten był spryciarzem, więc wystąpił o odszkodowanie. Jeśli jednak dostał cośkolwiek z sumy, którą udało mu się wyprocesować od firmy, to i tak miał duże szczęście. Zazwyczaj większą część każdego odszkodowania biorą adwokaci.

To typowe dla Południa.

Chłopcy pracujący jako pomocnicy przy rozwożeniu mleka dostawali tygodniowe wypłaty w piątki około dziesiątej rano. Po wyjściu z mleczarni skręcaliśmy za najbliższy róg i zaczynaliśmy grać w kości. Nie dostałem nic za wypadek, ale w tej grze na ogół dopisywało mi szczęście. Przychodziłem do domu z kieszeniami wypchanymi forszą, aż w końcu Mayann się przestraszyła.

- Chłopcze, skąd na Boga bierzesz te wszystkie pieniądze? - zapytała.

Musiałem się przyznać, aby nie myślała, że kradnę. Byłem pewny, że Mayann spuści mi za to granie tęgie baty, ale pomyliłem się.

- Synu - powiedziała tylko - strzeż się hazardu. Chyba pamiętasz, jak trudno było nam z tatą przekonać sędziego, żeby wypuścił cię z poprawczaka.

- Tak, mam - odpowiedziałem i poszedłem na Canal Street kupić jakieś fajne ciuchy dla matki, siostry i małego Clarence'a. Kupiłem także sobie krótkie spodnie. Nie starczyło mi pieniędzy na buty, więc chodziłem nadal boso. Ale i tak najważniejsze dla mnie były nowe spodnie i nowa bluza.

Po wypadku przy rozwożeniu mleka pracowałem jeszcze długo w tej firmie. Jednak interesy szły coraz gorzej, aż wreszcie mój szef i ja zostaliśmy zwolnieni. Miałem poważne trudności ze znalezieniem jakiegokolwiek zajęcia, dopóki nie otwarto nowej wielkiej rządowej firmy na rogu ulic Poland i Dauphine. Rząd potrzebował tylu robotników, że sprowadzono ich tysiące statkami z Porto Rico. Jakże ci biedacy wyglądali! Większość z nich była prawie bez ubrania, a niektórzy chodzili boso, tak jak chłopcy z mojej dzielnicy. Chętnie z nimi pracowaliśmy, mimo że pozwalali sobie patrzeć na nas z góry, jako na kolorowych. Nie zwracaliśmy na to uwagi i udawało się nam utrzymywać z nimi całkiem dobre stosunki.

Z dumą nosiłem swój żółty okrągły znaczek identyfikacyjny, niezbędny przy wchodzeniu i wychodzeniu na ulicę. Można sobie wyobrazić, jak ciężkie to były czasy, skoro podobnej pracy musiało się imać wielu muzyków. Wśród nich był też Kid Oryz zawodu cieśla, i to całkiem niezły. Cieszyłem się ze spotkania z nim, a także innymi chłopcami i przyjemnie mi było z nimi pracować. Ku mojemu zdziwieniu natknąłem się tam również na kumpla z lat dziecińczych, Joe Lindseya. Byliśmy tak szczęśliwi, że znów jesteśmy razem, jak wtedy, gdy graliśmy wspólnie w naszym zespole. W czasie przerwy na lunch siadywaliśmy sobie na balach przygotowanych do wbicia kafarem i nie mogliśmy się dość nagadać. Joe opowiadał mi o kobiecie, dla której opuścił nasz zespół, o życiu z nią i o tym, jak w końcu porzuciła go dla starszego i bardziej doświadczonego mężczyzny, omal to Joego nie wykończyło.

Ja opowiadałem mu o Irene i o sobie, i o naszym rozsądnym rozstaniu. Ona - nic mi nie mówiąc wróciła do Cheeky Blacka. Joe miał dobry ubaw, kiedy mu opowiedziałem, w jaki sposób dowiedziałem się o tym.

Po powrocie z Houma spotkałem kiedyś Irene, która zaprosiła mnie do swojego mieszkania. Nie omieszkałem zapytać, czy ma kogoś innego.

- Nie, skądże. Nikogo! - odpowiedziała.

Poczułem się więc zupełnie bezpiecznie, idąc do jej pokoju. Zaczynał nas już morzyć sen, kiedy usłyszałem kołatkę u drzwi. Irene omal nie wyskoczyła ze skóry.

- Kto tam? - zapytała.

Nie przejąłem się tym zbyt, myśląc, że to tylko ktoś znajomy. Kołatanie powtórzyło się.

- Kto tam? - zapytała Irene głośniej.

- Cheeky Black!

Zacząłem szybko myśleć. Cheeky był łobuzem. W tamtych czasach, gdy babka powiedziała, że jest w towarzystwie, pukający do drzwi powinien odejść.

Tu jednak było inaczej. Drzwi były przeze mnie osobiście starannie zamknięte na klucz, ale kiedy Cheeky walnął w nie z rozpędu, otworzyły się na oścież, jak gdyby wcale nie były zamknięte.

Cheeky wpadł do środka wymachując brzytwą, a Irene z przeraźliwym krzykiem wyskoczyła z łóżka. Wymijając Cheeky'ego, wybiegła z piskiem prawie nago na ulicę, a on popędził za nią, wywijając brzytwą. Usłyszałem na zewnątrz krzyki Irene i głosy ludzi, którzy usiłowali uspokoić Cheeky'ego i krzyczeli:

- Zostaw ją! Zostaw ją!!!

W tym czasie ja szamotałem się ze swoim ubraniem, chcąc jak najszybciej się stamtąd wydostać.

Myślałem tylko o jednym: „Cheeky Black! Co ze mną będzie, kiedy on wróci?”. Wreszcie zdołałem się ubrać na tyle, żeby móc popędzić do domu, do Mayann. Kiedy bez tchu prawie wpadłem do mieszkania, powiedziała:

- Oho! Widzę, że byłeś w domu jakiegoś mężczyzny z jego panią! Co? Będzie to dla ciebie zdaje się niezła nauczka?

- Och, mamó! Wierz mi, już nigdy więcej tego nie zrobię!

Mayann zaśmiewała się do rozpuku. Nie obawiała się nikogo i mnie także nie kazała się martwić. Obiecała załagodzić sprawę z Cheeky Blackiem. Właściwie byłem przecież niewinny. Irene nie powinna była zapraszać mnie do siebie, skoro żyła z nim.

Kiedy Joe Lindsey nacieszył się już do syta tą historią, powiedziałem mu, że już nigdy więcej nie chcę widzieć Irene na oczy. Nigdy też jej nie ujrzałem.

Gdy skończyła się ta rządowa praca, dostałem dobre zajęcie w firmie zajmującej się wyburzaniem i rozbiórką starych domów. Atrakcją tej pracy było to, że zawsze miało się nadzieję znaleźć jakiś skarb ukryty w tym domu przed laty i zapomniany. Chłopaki, z którymi pracowałem, opowiadali mi o różnych szczęśliwych przypadkach znalezienia pieniędzy i biżuterii. Waliłem łomem z pasją, pełen nadziei, że przyjdzie ta chwila, kiedy będę mógł krzyknąć kumplom: „Patrzcie, co znalazłem!”. Nadzorca powiedział nam, zanim jeszcze rozpoczęliśmy roboty:

- Co kto znajdzie, to jego.

Pracowałem ciężko, ale nigdy niczego nie znalazłem. Burzenie domów to niebezpieczne zajęcie; często zdarzały się przy tym śmiertelne wypadki. Kiedy raz o mało co nie przywaliła mnie ściana z cegły, postanowiłem nie czekać dłużej na znalezienie ukrytego skarbu i rzuciłem tę robotę.

Potem zacząłem pracować ze starym Smoothem, tatą Isaaca Smootha. Przez dłuższy czas byłem wraz z Isaakiem pomocnikiem jego ojca, który mieszkał w innej części miasta, zwanej Irish Channel. Nie lubiłem chodzić do domu starego Smootha z obawy, że mógłbym się tam natknąć na jakichś awanturniczych Irlandczyków, bywalców okolicznych saloonów. Smooth był tynkarzem; pomagaliśmy mu tynkować wielki budynek w pobliżu tych zakładów, gdzie jako dzieci wybieraliśmy z pojemników zdatne do jedzenia odpadki. Pod opieką starego Smootha nie musieliśmy się już nikogo bać.

Ike miał śliczne siostry. Jedną z nich, Evę, prowadziła elegancki dom z pokojami do wynajęcia i znała wiele ciekawych historii ze starych dobrych czasów w Storyville. Ike lubił Evę najbardziej ze wszystkich swoich sióstr, a jej mąż Tom był jednym z najlepszych graczy w cotcha w Nowym Orleanie. A to nie było co, bo cotch jest twardą grą. Fascynowała mnie ona do tego stopnia, że kiedy tylko mogłem wygrzebać parę groszy, zasiadałem do gry z czwórką wytrawnych hazardzistów, którzy znali tę grę na wylot. Ci chłopcy czytali w mojej twarzy jak w książce; kiedy tylko dostałem dobrą kartę, zdradzałem się uśmiechem. Mimo to bardzo mnie ta gra pociągała.

Rozdział VIII

Na początku 1918 roku epidemia grypy zaczęła wreszcie wygasać, a Stany Zjednoczone wzięły się poważnie za kajzera i jego chłopców. Ostatni pobór obejmował mężczyzn od osiemnastego do czterdziestego piątego roku życia, więc zgłosiłem się do komisji poborowej. Mając kartę powołania w kieszeni, poczułem się dumny; byłem gotowy w każdej chwili iść na wojnę i walczyć za Wuję Sama lub grać dla niego.

Któregoś wieczoru w tym okresie, gdy tak czekałem, że coś się stanie, wpadłem do knajpy Henry Matrangi na piwo. Muzyki ani tańców nie było, ale bar był czynny, a przy ladzie gadało sobie kilku starszych facetów. Ledwie zdążyłem powiedzieć „Hello!” do Matrangi, gdy do lokalu wkroczył kapitan Jackson - najzłośliwszy z funkcjonariuszy miejscowej policji.

- Wszyscy stanąć w szeregu - zakomenderował. - Szukamy facetów, którzy napadli na człowieka na Rampart Street.

Próbowaliśmy mu tłumaczyć, że jesteśmy niewinni, ale on kazał swoim ludziom zamknąć nas wszystkich w miejscowym areszcie. Przed uwięzieniem zdążyłem tylko przekazać Mayann wiadomość: „Biorą mnie do aresztu. Szukaj kogoś, kto mógłby mnie stąd wydostać”.

Nie zostaliśmy zarejestrowani od razu, tylko trzymano nas do czasu przesłuchania w dużej celi wraz z więźniami mającymi wieloletnie wyroki, którzy czekali na wysłanie w górę Missisipi. Byli między nimi ludzie z wyrokami na czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat, faceci tacy jak Dirty Dog, Steel Arm Johnny, Budow Albert Mitchel czy Channey. Większość z nich stanowili Kreole z Siódmej Dzielnicy, z której pochodzi mój klarncista Barney Bigard.

Znałem tych facetów z czasów, gdy przychodzili do Trzeciej Dzielnicy, gdzie mieszkaliśmy, i pamiętam, jak Black Benny mówił im, żeby nie zaczynali się awanturować, bo ich wyrzuci z lokalu. Brali sobie do serca to ostrzeżenie, bo wiedzieli, że Black Benny nie żartuje. Ach, ten Benny!

Zdawałem sobie sprawę, że żaden z tych wszystkich uwięzionych drani nie jest w stanie mi pomóc. Najgorszy z nich był jednak szef grupy Sore Dick. Był to niski, czarny jak węgiel facet o atletycznej budowie, którego spojrzenie mówiło każdemu nowemu przybyszowi, że on, Sore Dick, jest tu bossem i wszyscy muszą go słuchać. Przekonałem się o tym bardzo szybko. Już pierwszego dnia, gdy chciałem się przywitać z jednym z aresztantów, którego znałem z ulicy, ktoś dźgnął mnie nagle w plecy trzonkiem miotły. Gdy odwróciłem się,

zobaczyłem Sore Dicka patrzącego na mnie bez słowa. Domyśliłem się od razu, że lepiej będzie wziąć się za miotłę, którą trzymał. Jak się później dowiedziałem, każdy nowy musiał zamieść celę, czy to było potrzebne, czy nie. W ten sposób przyjmuje się nowych, zanim zaczynają odsiadywać swój wyrok.

Siedząc w areszcie, nie wiedziałem o tym, że Matranga polecił swojemu prawnikowi wszcząć starania o wypuszczenie nas wszystkich na słowo. Nie musiałem nawet stawać w sądzie. Było to zresztą zgodne z ówczesnym systemem. Kiedy tylko zatrzymano grupę facetów w domu gry czy w saloonie, każdy właściciel wiedział, jakie sprężyny poruszyć, aby ich uwolnić z aresztu.

Tak czy inaczej - nigdy nie zapomnę tego, co przeżyłem podczas mego krótkiego pobytu wśród skazanych na długoletnie więzienie.

To śmieszna rzecz, jak smutne momenty potrafią się w życiu przeplatać z radosnymi. Następnego dnia po moim wyjściu z aresztu obchodzono Mardi Gras. To wielkie święto w Nowym Orleanie, zwłaszcza dla „Klubu Zuluskiego”. Każdy członek Klubu paraduje w komicznym przebraniu, naśladującym burleskowo jakąś słynną osobę. „Król Zulusów”, również w maskaradowym kostiumie, jedzie z sześcioma innymi „Zulusami” na platformie, rozdając wszystkim na pamiątkę orzechy kokosowe. Członkowie maszerują w takt skocznej muzyki orkiestr dętych, a Król, siedząc na tronie, pozdrawia wiwatujące tłumy. Mr. Jamke, dostawca żwiru i piasku, zaprasza co roku Króla wraz z jego świtą, a także wszystkich Zulusów, do swojego biura na szampana.

Robił tak zawsze - jak daleko sięgnąć pamięcią, a w moich czasach wielu członków Klubu także pracowało u niego.

Kiedy wpadłem na ten pochód i usłyszałem dobrą muzykę, od razu zapomniałem o Sore Dicku i o więziennych murach. Wtedy większość członków Klubu Zulusów mieszkała w okolicach Liberty i Perdido..., ale teraz, gdy Mardi Gras stał się tak sławny, że z całej Ameryki zjeżdżają się ludzie, aby zobaczyć ten pochód - do Klubu należą doktorzy, prawnicy i inne ważne osobistości z całego miasta. Później powstał także damski Klub Zulusek. Marzeniem mego życia, tak jak i każdego chłopaka z mojej okolicy - było zostać Królem Zulusów. Następnego dnia po Mardi Gras wybierany jest nowy Król na cały następny rok.

Garfield Carter, czyli Papa Gar - jak go nazywaliśmy, stapał najdumniej ze wszystkich; miał on odwagę parodiować kapitana Jacksona.

Paradował w przebraniu Kapitana Policji zulu1 Odpowiednik polskich „ostatków”, lecz obchodzony bardziej uroczyście. Tłum ryczał z radości, gdy Papa Gar kroczy; jeźdźnię z uczernioną twarzą i grubymi, pomalowanymi na białą wargami.

Królem Zulusów był wtedy Monk Story, również barwna postać Nowego Orleanu. Ludzie pokładali się ze śmiechu, słuchając jego opowieści, a kiedy mówił, był bardzo podobny do aktora Mortimera Snerda, nie dorównywał mu jednak urodą. Monk był wtedy naprawdę świetny jako Król Zulusów. W końcu i moje marzenie, aby zostać Królem, spełniło się, i wprost nie mogę doczekać się chwili, kiedy znowu będę mógł wcielić się w tę postać.

Tamtego roku w czasie Mardi Gras Johnny Keeling, jeden z najfajniejszych chłopaków w naszej okolicy, naraził się łobuzom ze śródmieścia. Jak zwykle z pomocą pośpieszył mu Black Benny i wyciągnął chłopaka z opresji, rozganiając tamtych facetów kijem na cztery wiatry. Kiedy Benny był w pobliżu, lepiej było, żeby nikt nie zaczynał z chłopakami z naszej dzielnicy. Oczywiście Benny trafił do aresztu za ten swój wyczyn, ale jemu było to obojętne. I tak wypuszczali go zawsze, kiedy tylko trafiło mu się jakieś granie. Wtedy też - zaraz na drugi dzień Bunk Johnson poszedł do komendanta aresztu i poprosił o wypożyczenie Benny'ego, żeby zagrał na pogrzebie z zespołem Eagle Band Frankie Dusena. Po zakończeniu ceremonii Benny powrócił do aresztu, pobrzękując w kieszeni zarobioną forszą.

Sore Dick nigdy nie rzucił mu miotły pod nogi; gdyby to zrobił, pewnie trzeba by było budować nowy areszt.

Któregoś razu Benny'emu dopisało szczęście. Grał wtedy w karty u Savocasa, a partnerami jego byli:

George Bo'hog, Red Cornelius, Black Mannie Hubbard, Sun Murray, Ben Harding i Aaron Harris.

Bo'hog prowadził partię cotcha i choć wściekły był na Benny'ego, który stale wygrywał, nic nie mówił.

Isaiah Hubbard, brat Mannie'ego, stał opierając się o barierę wokół stołu i przypatrywał się grze. Nigdy nie lubił Benny'ego i zawsze, kiedy tylko miał ku temu okazję, ubliżał mu. Benny, który zwykle starał się uniknąć awantury, gdy tylko to było możliwe, i teraz ignorował Isaiaha - tym bardziej że tamten też był dobry w walce na pięści. Był to jedyny facet, którego obraźliwe uwagi na temat swego obszarpanego ubrania Benny tolerował. Sam Isaiah miał właściwie wszystko: pieniądze, ubrania i najlepiej zarabiające kobiety.

Isaiah był bardzo czarny, z obfitym wąsem i zawsze nosił przy sobie duży pistolet, o czym wiedziały nawet gliny. Tego dnia czuło się, że awantura wisi w powietrzu. Kiedy Benny zakończył grę, poszedł do kasy wymienić żetony na pieniądze. W knajpie zrobiło się cicho jak w kościele i wtedy odezwał się Isaiah.

- Ty czarny bydlaku - powiedział do Benny'ego. - Wygrałeś całą forszę, więc możesz teraz wykupić swoje ubranie z lombardu. Może wreszcie przestaniesz świecić swoją obdartą dupą po ulicy.

Benny zatrzymał się i podszedł prosto do Isaiaha.

- Nie podoba mi się ta uwaga - powiedział.

A poza tym, to mam już dosyć tych twoich głupich docinków. Jeśli masz coś przeciwko mnie, to gadaj od razu. Możemy wszystko załatwić tu na miejscu.

- Nie podobasz mi się - odpowiedział Isaiah. I to od dawna.

Mówiąc to, zamierzył się na Benny'ego, ale ten nie dał się zaskoczyć; wiedział coś niecoś o boksie i niejedną bójkę miał już na swoim koncie. Zrobił więc unik i wypuścił prawy sierpowy, który posłał Isaiaha na podłogę. Widząc, co się dzieje, ludzie zaczęli przesuwać się ku wyjściu, w każdej chwili gotowi do ucieczki. Zostali jednak, gdy przekonali się, że będzie to uczciwa walka na pięści, która dawała przewagę Benny'emu. Tamci walczyli jak dwaj wyszkoleni bokserzy i nikt nie odważył się interweniować. W końcu Benny posłał przeciwnikowi cios, w który włożył całą siłę, a miał jej niemało. Isaiah padł na wznak i stracił przytomność. Nikt nie powiedział ani słowa, kiedy Benny chował pieniądze do kieszeni, a po policzkach ciekły mu łzy.

- Dzięki Bogu, że wreszcie mam to już za sobą powiedział. - Ten człowiek prześladował mnie od lat. Czułem, że kiedyś dojdzie do tego, choć nigdy nie wiedziałem, kiedy. Ale kiedy już przyszło do tego, wiedziałem, że to się dziś musi rozstrzygnąć.

I wyszedł.

Nikt się nie odezwał i nikt nie podążył za Bennym, kiedy ten szedł ulicą Perdido, krzycząc na cały głos:

- Dzięki Bogu! Nareszcie udało mi się załatwić porachunki z Isaiahem Hubbardem!

Po tym zajściu Benny i Isaiah spotykali się często, ale nigdy już nie doszło między nimi do starcia.

Biedny Benny zawsze wpadał w jakieś tarapaty.

Kiedy wygrał dostateczną sumę na wykupienie swojego ubrania, poszedł do lombardu, gdzie już prawie rok leżały: elegancki brązowy garnitur w cienkie białe prążki, brązowe buty od Edwina Clappsa, brązowy kapelusz typu Stetson i różowa koszula z pięknym krawatem. Jak on w tym ładnie wyglądał!

Cieszyliśmy się wszyscy, widząc go znowu tak dobrze ubranego. Było właśnie po wielkiej ulewie; Ulice pełne były błota, a woda występująca z przepelnionych kanałów płynęła rynsztokami, wydzielając straszliwy odór.

W tamtych czasach puste beczki po piwie wytaczano z knajp na chodnik, skąd zabierane były do browaru. Okoliczni faceci lubili przysiadawać na nich na pogawędkę. Benny, ucieszony odebraniem swojego ubrania z lombardu, siedział właśnie z kumplami na beczkach, kiedy podszedł do niego gliniarz i kazał mu iść z sobą na posterunek na przesłuchanie.

Ten glina, którego przysłali po Benny'ego, był jednym z najstarszych w oddziale. Przerwał on Benny'emu akurat w samym środku jednego z jego kapitalnych kawałów, które Benny tak lubił opowiadać.

- Benny - powiedział - komendant wzywa cię na komisariat.

- Człowieku! - odrzekł Benny. - Nie miałem na sobie tego ubrania chyba z rok. Nie masz co próbować wsadzić mnie dziś do pudła, ani ty, ani nikt inny. Dzisiaj nie dam się tam nikomu zaprowadzić!

Nikom! Kapujesz?

Glina nie dał za wygraną.

- Człowieku! Powiedziałem ci już - powtórzył Benny - nikomu nie dam się zaprowadzić do pudła! Nikomu! Zrozumiano?

Wtedy stary policjant szybko złapał Benny'ego za spodnie i zawołał:

- Jesteś aresztowany!

Benny zerwał się z beczki i pobiegł jezdnią na drugą stronę z policjantem uczeplonym jego spodni.

Biegł tak szybko, że tamten nie mógł za nim nadążyć, wreszcie poślizgnął się, stracił równowagę i upadł głową w błoto. Benny stanął po drugiej stronie ulicy i obserwował podnoszącego się policjanta, którego twarz była tak ubłocona, że wyglądał jak komik grający Murzyna.

- Mówiłem ci już, że dzisiaj nie idę do pudła! - krzyknął do niego Benny i poszedł w swoją stronę.

W tydzień później Benny sam zgłosił się na komisariat. Opowiedział komendantowi o zajściu i o tym, co powiedział policjantowi. Komendantowi bardzo spodobała się ta śmieszna historia.

Pierwszy pistolet, jaki miałem w życiu, dostałem właśnie od Black Benny'ego. W okresie świątecznym, to jest od Bożego Narodzenia do Nowego Roku, kiedy wszyscy strzelali na wiwat i rzucali petardy, robił wraz ze swoimi kumplami obchód po okolicy.

Widząc na ulicy dzieciaka strzelającego z pistoletu, Benny podchodził do niego z tyłu i przystawiał mu lufę do pleców.

- Daj no to, koleś!

Chłopaki zawsze oddawały broń. Widziałem, jak Benny chodził z całym koszem różnego rodzaju pistoletów, które sprzedawał po każdej cenie, jaką mu oferowano, to był typ!

W 1918 roku moja sytuacja zaczęła się zmieniać. Przez jakiś czas zastępowałem Sweet Childa jako chłopiec na posyłki w saloonie na rogu koło mojego domu w Trzeciej Dzielnicy. Lubiłem być „bell boyem”. Cała moja praca polegała na spacerowaniu po sąsiednich ulicach i wypatrywaniu dziewczyn lekkich obyczajów, które od czasu do czasu wychylały się przez okno i wołały mnie.

- Bell boy! - krzyczała dziewczyna.

- Ta-ak! - odpowiadałem.

- Przynieś mi pół dzbanka.

Pół dzbanka piwa kosztowało pięć centów, cały dziesięć. Jeśli ktoś kupował wtedy cały dzbanek, to była to prawdziwa uczta. Nawet za piątkę dostawało się tyle, że przeważnie kupujący musiał zaprosić do pomocy jakiegoś sąsiada.

Podobało mi się to zajęcie, bo dawało mi okazję do wchodzenia do mieszkań tych dziewczyn i obserwowania, co się tam dzieje. Bywało nieraz, że gdy którejś z nich nie starczało na pół dzbanka, to kupowałem jej piwo z napiwków, które sam dostawałem.

Te babki zawsze były dla mnie miłe. Jednak los chciał, że Sweet Child wkrótce powrócił do swej pracy i nigdy potem już jej nie opuszczał.

Musiałem wrócić do rozwożenia węgla. Ojczym Gabe ucieszył się, widząc mnie znowu, a ja też byłem zadowolony, że znów będę z nim pracował. Wiele razy starałem się nakłonić Mayann, aby z powrotem wzięła Gabe'a do siebie, ale na próżno. Po prostu go nie lubiła. Ale ja uważałem go - i dotychczas go uważam - za najlepszego z moich ojczymów. Kiedy tylko byłem w potrzebie, zawsze mogłem dostać od niego ćwierć dolara. Inni moi „tatusiowie” to były straszne sknerusy. Ale cóż, nie mogłem kierować życiem Mayann.

Kiedy pracowałem w składzie węgla, w honky-tonku słynnego skoczka spadochronowego Kida Browna, znajdującym się na rogu Gravier i Franklina, zaczął grać młody chłopak z dzielnicy kreolskiej, Sidney Bechet. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego grę na klaracie, nie mogłem wyjść z podziwu.

Szybko odkryłem, jaki był wszechstronny. Na pochodzie w Dniu Pracy maszerowało tyle orkiestr, że zatrudnieni w nich byli dosłownie wszyscy muzycy.

Dziwnym trafem Bechet był wolny. Henry Allen, ojciec Reda Allena, przyjechał z Algiers wraz ze swoim zespołem grać na zamówienie jednej z łóż masońskich, ale brakowało mu kornecisty. Kiedy zespoły zbierały się przed Odd Fellow's Hall, stary Allen zauważył

Becheta. Musiał wiedzieć, że ten gra dobrze również na kornecie, bo kazał mu iść pożyczyć kornet do słynnego basisty Boba Lyonsa.

Bechet przyłączył się do zespołu Allena i grał jak diabli przez cały pochód. Podziwiałem jego grę na kornecie cały dzień. Nie było w Nowym Orleanie kornecisty, który by grał tak jak on. Ile w tej grze było uczucia, ile serca! Żaden trębacz w mieście nie dorównywał mu pod tym względem.

Wielkim przeżyciem było dla mnie wspólne granie z Sidneyem Bechetem, kiedy reklamowaliśmy walkę bokserską o jakąś wielką stawkę. Zapomniałem już, kto miał walczyć, ale pamiętam, że grałem z wielkim Bechetem. Nasz zespół składał się wtedy zaledwie z trzech muzyków: klawirzysty, kornecisty i perkusisty. Potem dowiedziałem się, że Bechet powędrował na Północ, a jeszcze później, że wyjechał do Paryża, gdzie cieszył się - i cieszy do dzisiaj - wielką popularnością.

Rozdział IX

Mniej więcej w połowie lata 1918 Joe Oliver dostał od Mrs. Major z Chicago ofertę stałego grania w jej lokalu „Lincoln Gardens”. Wyjeżdżając zabrał ze sobą klarnece Jimmie Noone’a.

W tym czasie znowu rozwoziłem węgiel, ale zrobiłem sobie wolne, żeby móc ich odprowadzić na stację. Na stacji był już Kid Ory z resztą ich wspólnego zespołu. Pożegnanie było raczej smutne. Wyjeżdżający naprawdę nie mieli ochoty opuszczać Nowego Orleanu i ja czułem, że rozlatuje się stara dobrana paczka. Ale w naszym fachu zawsze się myśli, że czeka nas jeszcze coś lepszego.

Kiedy pociąg ruszył, poszedłem peronem w stronę wyjścia z dworca, chcąc wrócić do swojego furgonu - czekało mnie jeszcze rozwiezenie dużego ładunku węgla, gdy wtem usłyszałem wołanie Kida Ory:

- Grasz jeszcze na tym kornecie?

Podbiegłem do niego. Ory powiedział, że dużo słyszał o Małym Louisie. (Tak właśnie mnie nazywali, gdy byłem kilkunastolatkiem: byłem mały i powszechnie lubiany.)

- Hm... - nastawiłem uszu.

Kiedy chłopcy z zespołu - mówił Kid dalej upewnili się, że Joe Oliver wyjeżdża, poradzili mu, żeby wziął na jego miejsce Małego Louisa. Kid na początku miał pewne wątpliwości, ale rozglądając się po mieście, zdecydował, że właśnie mnie weźmie na próbę, abym zastąpił wielkiego kornecistę. Kazał mi się umyć i przyjść na granie jeszcze tego samego wieczora.

Cóż to był dla mnie za wstrząs! Pomyśleć tylko - uznano, że jestem godny zastąpić Joe Olivera w najlepszej orkiestrze w mieście! Nie mogłem doczekać się chwili, kiedy zobaczę Mayann i będę mógł podzielić się z nią tą wspaniałą wiadomością.

Przysporzyłem jej już tyle zmartwień, że teraz chciałem lecieć do niej jak na skrzydłach.

To przecież właśnie ona zachęcała mnie zawsze do grania na kornecie, wiedząc, czym dla mnie jest muzyka.

Nie mogłem do niej zadzwonić, bo w naszych domach nie mieliśmy wtedy telefonów - tylko cholerni bogacze mogli sobie na to pozwolić, a gdzież nam było do nich.

Wcale natomiast nie paliłem się, żeby opowiedzieć o swoim sukcesie Mamie Lucy, która często bywała w stosunku do mnie złośliwa. Jak choćby tej nocy, kiedy pierwszy raz w życiu grałem za pieniądze.

Właściwie była to raczej zebranka niż granie i zarobiłem wtedy tylko piętnaście centów. Mimo to dumny byłem, przynosząc matce do domu te pieniądze. Lucy słyszała, jak mówiłem do matki:

- Mamo, to mój zarobek za wczorajszą i dzisiejszą noc. Graliśmy za same napiwki i na każdego z nas przypadło tylko po piętnaście centów.

Siostra obudziła się z głębokiego snu i powiedziała:

- Hi! Hi! Wydmuchiwać z siebie płuca za piętnaście centów?

Myślałem, że ją zabiję. Mama musiała nas wtedy rozdzielać, żeby zapobiec poważnej bójkę.

Kiedy więc dostałem tę pierwszą wspaniałą propozycję od Kida Ory, pobiegłem z tym najpierw do matki, a nie do siostry. Pozwoliłem, żeby Lucy dowiedziała się o tym sama. A gdy później zaczęła mnie entuzjastycznie wychwalać, powiedziałem niedbale:

- Dziękuję, mała.

Dobre, co? Ale w zasadzie byłem zadowolony, że tak się obie ucieszyły. Pierwszej nocy, gdy grałem z zespołem Kida Ory; chłopcy - słysząc, jak grmię na kornecie - byli tak zdziwieni, że sami ledwo mogli grać. Nie miałem wcale tremy. Robiłem wszystko dokładnie tak samo, jak to słyszałem u Joe Olivera. W każdym razie starałem się wszystko naśladować jak najlepiej. Owinąłem sobie nawet szyję dużym ręcznikiem, kiedy zespół grał na balu w „Economy Hall”. Była to pierwsza rzecz, jaką zawsze robił Joe - owijał sobie ręcznik kąpielowy wokół szyi i odpinał pod spodem kołnierzyk, aby móc swobodnie grać.

Ponieważ często słuchałem Joego w okresie, kiedy grał z Kidem Ory, znałem prawie cały repertuar zespołu, przynajmniej ze słuchu. Opanowałem już swój instrument bardzo dobrze i miałem świetne ucho.

Chwytałem więc wszystko w lot.

Kid Ory był tak miły i życzliwy i miał tyle cierpliwości, że już ta pierwsza noc wspólnego grania była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Nie miałem nic innego do roboty jak tylko dąć ile tchu w piersiach.

Wierzcie mi - to były naprawdę piękne chwile!

Po tym pierwszym graniu z Kidem wszedłem w środowisko muzyczne. Zacząłem być popularny zarówno wśród miłośników tańca, jak i wśród muzyków. Wszyscy muzycy przy-

chodzili nas posłuchać i angażowali mnie do swoich zespołów w dni, kiedy nie grałem z Kidem Ory.

Szło mi świetnie, aż do tego wieczoru, kiedy najadłem się największego strachu w swoim życiu.

Miałem wtedy zastąpić kornecistę w bardzo dobrym Silver Leaf Band. Wszyscy członkowie zespołu grali swoje partie z nut. Na klarncie grał Sam Dutrey, brat puzonisty Honore Dutreya. Sam był jednym z najlepszych klarncistów w mieście. (Zajmował się również strzyżeniem włosów.) Miał dość pretensjonalny sposób bycia, wskutek czego na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że jest zarozumialcem, ale w gruncie rzeczy był to wesoły i dobroduszny facet, który ogromnie lubił kawały. Ja, niestety, nic o tym nie wiedziałem.

Tego wieczoru, gdy miałem zastępować kornecistę, przyszedłem trochę wcześniej, aby się jakoś do tego przygotować, bo mając grać z nieznanym zespołem, chciałem uniknąć ewentualnych niespodzianek. Członkowie zespołu schodzili się pojedynczo i na piętnaście minut przed rozpoczęciem grania większość z nich była już na miejscu. Sam Dutrey przyszedł ostatni. Widziałem go wtedy po raz pierwszy w życiu. Właśnie rozgrzewaliśmy się i stroiliśmy instrumenty, kiedy Sam wszedł na podium.

Przywitał się z chłopcami, a potem skierował wzrok na mnie.

- A cóż to, u diabła, za jeden? Zjeżdżaj stąd, mały! - ryknął. A miał niezły głos.

Byłem naprawdę przerażony.

- Tak, proszę pana - powiedziałem i zacząłem pakować kornet.

Wtedy odezwał się jeden z muzyków:

- Sam, zostaw małego w spokoju. On gra dzisiaj za Willy'ego. I przedstawił mnie Samowi.

Sam roześmiał się:

- Ja tylko żartowałem, synu.

- Tak, proszę pana - odpowiedziałem znowu.

W wirze całonocnej pracy zapomniałem jakoś o tym przykrym wydarzeniu, ale właściwie na długo pozostało mi ono w pamięci. Obecnie nieraz spotykam Sama Dutreya i zaśmiewamy się do łez, wspominając tamtą historię.

Zarówno Sam, jak i Honore byli mistrzami swoich instrumentów. Trudno sobie wyobrazić piękniejszy ton puzonu od tego, jaki miał Honore Dutrey. Na życiu jego zaciążył jednak wypadek, który mu się przydarzył podczas służby w marynarce. Pewnego dnia zasnął w prochowni okrętowej i zatrul się tak silnie, że potem przez wiele lat cierpiał na astmę.

Ta dolegliwość porządnie dawała mu się we znaki i nieraz przeszkadzała w grze.

Kiedy w 1926 roku grałem ze swoim zespołem w Chicago u Joe Glasera, mojego obecnego impresaria, Dutrey grał z nami na puzonie. Radził sobie świetnie we wszystkich utworach z wyjątkiem Irish Medley, w którym blacha miała dłuższe zakończenie w górnym rejestrze. Właśnie wtedy Dutrey chował się za scenę i wtryskiwał sobie rozpylaczem do nosa swój specyfik. Potem wracał i mówił:

- No, jedziemy!

Powiadam wam, nigdy w życiu nie słyszałem już tak wspaniale i mocno brzmiącego puzonu. Do Honore Dutreya wrócę jeszcze później.

Chciałbym także wspomnieć o wielu innych muzykach, zwłaszcza o tych, z którymi grywałem lub z którymi miałem do czynienia od czasu do czasu.

W sumie przeżyłem wspaniale dni, grając z nimi.

Były wśród nich niezłe typy, a kiedy już ja mówię „typy”, to były to naprawdę typy! Grałem z wieloma spośród najlepszych muzyków świata, jazzowych i klasycznych. Niech Pan Bóg ma ich wszystkich w swojej opiece!

Chociaż grywałem z zespołem Kida Ory, to i tak każdy z nas miał jakąś dzienną pracę. Na świecie trwała jeszcze wojna i obowiązywała zasada: „Pracuj albo walcz!” Ponieważ byłem za młody, żeby walczyć, rozwoziłem nadal węgiel swoim furgonem. Poza graniem na kornecie rozwożenie węgla wydawało mi się jedynym przyjemnym zajęciem. Może to ze względu na tych wszystkich fajnych starszych facetów, z którymi się tam stykałem.

Kid Ory należał do tych, którzy mieli najlepsze grania, zwłaszcza u bogatych białych. Grając w takim eleganckim miejscu, jak na przykład „Country Club”, zarabialiśmy więcej, a podczas przerw organizatorzy pilnowali, żeby zespół dostał obfity i smaczny posiłek, taki jak wszyscy goście. Z czasem perkusista i ja weszliśmy w komitywę z czarną służbą i odtąd zawsze miałem dosyć jedzenia, żeby zabrać coś do domu dla Mayann i Mamy Lucy.

Muzycy czytający nuty, tak jak ci z zespołu Rob,chaux, uważali, że my, zespół Kida Ory, jesteśmy dobrzy, ale tylko razem. Pewnego razu ci mądrze mieli jakieś granie na pogrzebie, ale większość z nich była w dzień zajęta. Zaangażowali więc kilku chłopców z zespołu Kida Ory, w tym także i mnie. W dniu pogrzebu muzycy zebrali się w sali, skąd miał wyruszyć pochód do domu zmarłego. Kid Ory i ja zauważyliśmy, że ci zarozumiałcy wyraźnie patrzą na nas z góry. Prawdopodobnie nie wydawali się im wystarczająco dobrzy, aby grać ich marsze.

Trąciłem Kida łokciem, pytając wzrokiem, czy to zauważył. Ory skinął potakująco głową.

Doszliśmy do domu zmarłego, grając marsza w średnim tempie. Graliśmy z nut, które nam dali, i to, o wiele swobodniej od nich. Tamci jednak dalej się do nas nie odzywali.

Wyniesiono trumnę z domu i ruszyliśmy w stronę cmentarza, grając wolne marsze żałobne. Na cmentarzu, gdy ciało złożono już do grobu i przebrzmiało tremolo werbla, orkiestra zaczęła grać marsza ragtime'owego, który wymagał swingowania. Ci starzy ramole zupełnie nie mogli sobie z tym poradzić.

Wtedy my, chłopcy Kida Ory, przejęliśmy prowadzenie utworu i doprowadziliśmy go zwycięsko do końca.

Jak by nie było, mieliśmy to najlepsze ze wszystkich doświadczeń - swingowanie całym zespołem! Trzeba było słyszeć, jak to brzmiało!

Second line” - ci obszarpani faceci chodzący na parady i pogrzeby, aby posłuchać muzyki, byli tak zachwyceni naszym graniem, że zmusili nas do bisowania. Coś takiego nieczęsto się zdarza na ulicznych paradach.

Wkroczyliśmy do sali, swingując ostatni numer Panama. Pamiętałem, jak Joe Oliver grał ostatni chorus w górnym rejestrze, więc wziąłem górę i sięgnąłem tamtych tonów. Wtedy tłum oszalał.

Po takim zakończeniu ci z początku tak nadęci muzycy od razu zmienili swój stosunek do nas. Poklepywali nas po plecach i nie odstępowali ani na krok. Później angażowali nas jeszcze wiele razy.

Nic dziwnego, udowodniliśmy im przecież, że czytania nut może nauczyć się każdy muzyk, ale nie wszyscy potrafią swingować. To była dla nich dobra nauka.

Później wielokrotnie namawiali nas, żebyśmy przeszli do ich orkiestry, ale ja przyrzekłem już Celestinowi (jednemu z najlepszych kornecistów i kierownikowi Tuxedo Brass Band), że przejdę do niego na miejsce Sidneya Desvigne'a, też dobrego i interesującego kornecisty. Osobiście uważam, że Tuxedo Brass Band Celestina to była najlepsza tego typu orkiestra w mieście od czasów Onward Brass Band z Emmanuelem Perezem i Joe Oliverem w sekcji kornetów. Cóż to był za zespół! Po wyjeździe Joe Olivera do Chicago Tuxedo Brass Band obsługiwał wszystkie pogrzeby i parady.

O Papie Celestinie opowiem jeszcze później.

Z Lady, mulicą, którą dotąd powoziłem, pożegnałem się 11 listopada 1918 roku, w dniu, kiedy Stany Zjednoczone wraz z aliantami podpisały zawieszenie broni z pobitą armią niemieckiego kajzera.

Tego dnia o 11-tej rano wyładowywałem węgiel przed restauracją Fabachera na St. Charles Street, jednej z najelegantszych restauracji w mieście. Wnosiłem właśnie węgiel i pot

łał się ze mnie ciurkiem, gdy usłyszałem warkot jadących po St. Charles Street samochodów z poprzywiązywanyymi wielkimi blaszanymi puszkami, które podskakiwały po bruku, czyniąc straszliwy hałas. Kiedy przejechało już kilka takich samochodów, ogarnęła mnie ciekawość.

- Czemuż oni wszyscy robią taki rwetes? - zapytałem stojącego obok mężczyzny.

- Cieszą się z zakończenia wojny - odpowiedział.

Gdy to usłyszałem, stanąłem jak rażony piorunem. Chyba wrzuciłem jeszcze ze trzy szufle węgla na taczki, gdy nagle pomyślałem: „Koniec wojny!

A ja się tu wygłupiam z tym mułem. Ech!”.

Rzuciłem szufłę, powoli włożyłem marynarkę, popatrzyłem na Lady, mówiąc: „Trzymaj się, stara!

Bo chyba się już więcej nie zobaczymy” - i dałem drapaka, zostawiając muła, wóz z węglem i wszystko, co się z tym łączyło. Nigdy już do tego nie wróciłem.

Pobiegłem prosto do domu. Mayann, zobaczywszy, że przyszedłem wcześniej niż zwykle, zapytała, czy coś się stało. Czy mam jakieś kłopoty?

- Nie, mam! - odpowiedziałem. - Ale skończyła się wojna, a ja raz na zawsze skończyłem z rozwożeniem węgla. Teraz mogę grać swoją muzykę, jak chcę i kiedy chcę!

Już następnego dnia zapłonęły wszystkie światła.

Otwarto również wszystkie lokale. Miasto znowu odzyskało swój dawny urok; Canal Street i inne ulice jarzyły się światłami. Matranga namawiał mnie, żebym znowu grał w jego knajpie, ale trafił nie w porę. Ja liczyłem na coś lepszego, zwłaszcza odkąd Kid Ory dał mi szansę grania muzyki, którą naprawdę chciałem grać. A była to muzyka różnorodna - od jazzu do walców.

Wtedy Kid Ory miał naprawdę dużo grania. Zaczął nawet urządzać własne potańcówki w każdy poniedziałek w eleganckim „Economy Hall”. Poniedziałkowe wieczorki nie były jeszcze w Nowym Orleanie zbyt popularne, więc nieczęsto dostawaliśmy na ten dzień pracę w innych miejscach. Ale zabawy Kida Ory cieszyły się takim powodzeniem, że kontynuował je przez szereg miesięcy, zarobił na nich kupę forsy, a i nam nieźle płacił.

Sobotnie noce także mieliśmy często wolne, więc grałem wtedy w Gretna, po drugiej stronie rzeki, w knajpie „Brick House”. Było to małe miasteczko koło Algiers, gdzie mieszkał Red Allen. Zarabialiśmy tam nieźle, dostając sute napiwki od pijanych gości, prostytutek, alfonsów i szulerów.

Wokół tej knajpy kręciły się jednak różne bardzo podejrzane typy i trzeba się było strzec, żeby nie dostać nożem między żebra albo zza węgla kulkę w plecy.

Mieliśmy trzyosobowy zespół i musieliśmy grać dużo bluesów, aby zadowolić tamtejsze córki nocy, które zarabiały sporo grosza, sprzedając się szybko i tanio.

„Brick House” był położony przy samym wale ochronnym koło przystani promu do Jackson Avenue. Kiedy po graniu w „Brick House” wracałem do domu tramwajem z Jackson Avenue, miałem zawsze porządnego pietra, bo o tak wczesnej porze spotykało się niewielu ludzi. Przeważnie tylko kilku pijaków, białych i kolorowych. Bardzo często przedstawiciele tych dwu ras wyglądali tak, jakby gotowi byli rzucić się na siebie o byle głupstwo. Coś takiego w tamtej okolicy w obecności tylko kilku „pików” (ciemnoskórych) mogło się smutno skończyć.

Nawet gdybyśmy my, kolorowi, mieli rację, przybyłe na miejsce gliny porozmawiałyby z nami na pewno najpierw za pomocą pałek, a dopiero potem zaczęłyby zadawać pytania.

Pewnego razu, gdy wracałem nad ranem z Gretna w niewielkim gronie ciemnoskórych pasażerów, na ławce przy burcie promu siedziała w pestkę zalana Murzynka w średnim wieku. Chłopcy okrętowi szorowali pokład, więc było ślisko. Gdy prom miał już odbić, w ostatniej chwili po trapie wbiegła starsza biała kobieta. Nie wiedząc, że pokład jest mokry, pośliznęła się i o mało nie upadła. W tym momencie kolorowa kobieta podniosła się, popatrzyła na białą i powiedziała:

- Palec Boży!

To był jeden z tych groźnych momentów.

Ale Opatrzność musiała tej nocy czuwać nad nami, kolorowymi, bo nic się nie stało. Do dziś się temu dziwię. Widziałem tam zajścia wynikające z błahszych powodów.

Louis Armstrong poznał swoją pierwszą żonę w „Brick House”. Ale zanim wam opowiem, jak poznałem Daisy Parker, chcę jeszcze ostatni raz wrócić wspomnieniem do tamtych starych dobrych czasów Storyville.

Na przykład dotychczas nie powiedziałem jeszcze nic o Lulu White! Biedna Lulu White! Co to była za kobieta!

Podziwiałem ją jeszcze jako mały chłopiec - nie dlatego, że obracała się w kręgach wielkiego interesu, ale dlatego, że potrafiła zrobić tak wielki interes ze swojego „Mahogany Hall”. Tak nazywał się dom, który prowadziła w Storyville. Był to dom publiczny, do którego zjeżdżali się bogaci biali biznesmeni i plantatorzy z całego Południa i gdzie tracili kupę forsy.

Lulu miała najwspanialsze diamenty, jakie tylko można sobie wyobrazić, najpiękniejsze futra... a także najpiękniejsze Kreolki, które na nią pracowały...

U Lulu szampan płynął jak woda. Jeśli ktoś zamówiłby tam sobie butelkę piwa, popatrzone by na niego jak na raroga, a potem może nawet by je i podano, ale gość na pewno żałowałby, że nie zamówił szampana.

Jerry Roll Morton zarobił grube pieniądze, grając w jednym z salonów Lulu White.

Lecz oczywiście, gdy marynarka i władze dobrały się do Storyville, Lulu także musiała zwinąć swój interes. Miała już wtedy dosyć oszczędności, żeby zarzucić tę profesję do końca życia. Ale ona była jedną z tych wielu znanych mi właścicielek domów schadzek, którym zawsze było mało, nigdy nie dawały za wygraną i zawsze chciały robić szybko duże pieniądze, bez względu na zwiększającą się presję władz.

Burmistrz Martin Behrman pozbył się ich ze Storyville w przeciągu kilku dni. Lulu White przeniosła się z North Basin Street 325 na Bienville Street

1200 i zaczęła próbować szczęścia w nowym domu.

To był właśnie jej błąd, że usiłowała prowadzić dalej swój interes, przeciwstawiając się prawu - utraciła w ten sposób całe swoje oszczędności, diamenty, biżuterię i w ogóle wszystko.

Pamiętam detektywa Harry Gregsona, który jej się porządnie dobrał do skóry. Był to twardy facet - jeszcze żyje. Znałem wszystkich tajniaków w Storyville - Hessela, Fasta, Maila, Gregsona i innych - poznałem ich, kiedy jako chłopak woziłem węgiel do tych wszystkich domów, gdzie dziewczyny stały przy wejściach i swoimi sztuczkami wabiły przechodzących mężczyzn.

Storyville dostarczyło mi tyle różnych przeżyć!

Na każdym rogu słyszało się tam muzykę. I to jaką muzykę! Taką, jakiej zawsze pragnąłem słuchać. To właśnie rekompensowało mi moje niskie zarobki, możliwość przebywania w Storyville. Miało się wrażenie, że wszystkie te zespoły strzelają w siebie nawzajem gorącymi riffami. A Joe Oliver! Wsłuchiwałem się w dźwięk jego trąbki jak urzeczony...

Storyville! I ci wszyscy wspaniali trębacze - Joe Oliver, Bunk Johnson - wtedy u szczytu sławy, Emmanuel Perez, Buddy Petit, Joe Johnson, który był naprawdę świetnym muzykiem i wielka szkoda, że nie pozostawił żadnych nagrań.

Zauważyłem, że Joe Johnson i Buddy Petit mieli identyczny styl. Zresztą fantastyczny! Właściwie wszyscy trębacze i korneciści grający za moich młodych lat w Nowym Orleanie to były po prostu diabły wcielone! Cóż więcej mógłbym o nich powiedzieć.

Mogli dąć w trąbkę godzinami bez przerwy.

Ale gruby Joe Oliver był najsilniejszy i najbardziej twórczy. A Bunk Johnson miał najpiękniejszy ton. Nikt nie mógł się z nim równać, chociaż wszyscy mieli przecież dobry

ton. To była pierwsza rzecz, której uczył mnie Mr. Peter Davis w Zakładzie Poprawczym dla Kolorowych Chłopców. „Ton mówił. - Muzyk, który ma ton, może grać każdą muzykę, i klasyczną, i ragtime!”

Wydawało się, że wszyscy jakby się zmówili, aby zmusić Lulu White do porzucenia jej procederu i wejścia na uczciwą drogę. Ale ona była uparta.

Jeździła swoim powozem z murzyńskim stangretem, dopóki tylko mogła. Jednak prawo, z którym walczyła, szarpało ją jak pies, aż w końcu powaliło.

Przykro było patrzeć, jak połknęli jej fortunę, dom, meble, mnóstwo biżuterii, słowem - wszystko.

Tak, Lulu się skończyła, ale nazwa „Mahogany Hall” na Basin Street będzie żyła wiecznie. Tak samo jak Basin Street.

Rozdział X

„Brick House” w Gretna w stanie Luizjana...

To była najbardziej podejrzana spelunka, w jakiej kiedykolwiek grałem. W każdy sobotni wieczór zbierali się tu robotnicy pracujący przy regulacji rzeki i targowali się z dziewczynami, które snuły się po parkiecie i wokół baru. Ci faceci lubili popić, a kiedy już byli pijani, tłukli się, aż drzazgi leciały.

Butelki raz po raz przelatywały z impetem nad naszym podium, a pistolety i noże też nierzadko były w robocie. Ale ja tak się cieszyłem, że mam nareszcie swoje miejsce, gdzie mogę grać na kornecie, że się tym całym bałaganem w ogóle nie przejmowałem.

Kiedyś zauważyłem, że jedna z dziewczyn spogląda na mnie w szczególny sposób. Powtarzało się to chyba przez trzy kolejne sobotnie noce. Grałem sobie dalej, ale zacząłem odwzajemniać jej spojrzenia. Ta cizia to była Daisy Parker.

Oczywiście, co do niej - sprawa była prosta.

A dla mnie była to po prostu kolejna wpadka, tak właśnie nazywaliśmy wtedy wszelkie flirty. Mówiło się w takim wypadku: „Ta dama ma na ciebie oko” - i zainteresowany z dumą wypinał pierś.

Tak to w każdym razie wyglądało przy moim pierwszym zetknięciu z Daisy, dopóki nie znalazłem się z nią w jednym z pokojów na piętrze w „Brick House”. Kiedy wymieniła cenę, która nie była zbyt wysoka jak na tamte czasy, zaproponowałem spotkanie po zakończeniu pracy. Zgodziła się, a ja odszedłem, myśląc: „Hm... Całkiem fajna kreolska babka”. Nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka!

Naturalnie, po skończonym graniu pobiegłem jak strzała na górę, a Daisy przeprosiła swoje towarzystwo i przysłała do mnie. Ponieważ oboje byliśmy już po pracy, pozostaliśmy w pokoju od piątej rano aż do późnego popołudnia.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem tej nocy, kiedy znalazłem się z Daisy sam na sam - chociaż nic nie mówiłem, bo nie chciałem wprost wierzyć własnym oczom - była para „sztucznych bioder”, czyli specjalnych poduszek, które nosiła dla „poprawienia” figury i zdejmowała przed pójściem do łóżka..

Pomyślałem sobie: „Hm, tak mi wpadła w oko ta cizia z tą swoją figurą, a tu taki pas ratunkowy”.

Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pośpieszyła z wyjaśnieniami. Powiedziała mi, że jest zbyt szczupła, nie waży nawet sto funtów, i tylko ta chudość skłoniła ją do takiego „poprawiania” figury.

Przy jej urodzie, mimo tej poprawki, i tak była dla mnie nader ponętna. Przyzwyczyłem się więc do „tego”, a z czasem zaczęło mi nawet sprawiać przyjemność przyglądanie się jej, kiedy wkładała „to” na siebie.

Po tym pierwszym spotkaniu przyszły następne, a po pewnym czasie oboje z Daisy pokochaliśmy się gorąco.

Miała dwadzieścia jeden lat, a ja osiemnaście.

Byłem w niej tak zabujany, że nie zapytałem jej o to, o co zazwyczaj pytałem każdą cizię na początku, czy ma „starego” - tak nazywaliśmy nieślubnego, stałego partnera. Dopiero grubo później dowiedziałem się, dlaczego Daisy nie powiedziała mi o perkusicie, który grywał w innej knajpie w Gretna, podczas gdy ona pracowała w „Brick House”; bo tu, w „Brick House”, klienci lepiej płacili.

Mieszkała z tym perkusistą w Freetown, osadzie położonej między Gretna a Algiers. Ponieważ ciągle prosiła, abym odwiedził ją w domu któregoś popołudnia, przypuszczałem, że mieszka sama, tak jak wiele innych dziewczyn jej zawodu, z którymi miałem do czynienia. Ich alfonsi wstępowali do nich tylko po pieniądze oraz po dowody przywiązania i wracali do swoich kawalerskich mieszkań lub do domu, do swoich żon i dzieci.

Kiedy Kid Ory podpisał kontrakt na sobotnie grania w „New Orleans Country Club”, gdzie bawiło się bogate towarzystwo, porzuciłem „Brick House”, i to jeszcze szybciej, niż zostawiłem mulicę Lady w dzień zawieszenia broni. W rezultacie nie widziałem Daisy przez cały miesiąc, rozmawiałem z nią tylko od czasu do czasu przez telefon. Ona nie wiedziała nawet, jak trafić na nowoorleańską stronę rzeki, bo całe swoje życie spędziła w Gretna i innych małych miasteczkach Luizjany.

Pragnąłem się z nią spotkać tak bardzo - zresztą ona ze mną też - że zdecydowałem się pewnego popołudnia włożyć swoje najlepsze ubranie. Był to mój jedyny garnitur, toteż bardzo o niego dbałem, czyszcząc ciągle i prasując. Było koło drugiej po południu, kiedy zacząłem się szykować do wyjścia.

Mayann, z którą jeszcze wtedy mieszkałem, spytała:

- Gdzież to idziesz, synu? Taki wyświeżony i elegancki...?

- Ee tam, nic specjalnego, mamó - odpowiedziałem. - Po prostu zachciało mi się włożyć odświętny garnitur.

Zachichotała i poszła do kuchni, zamieszać w garnku czerwoną fasolę z ryżem, która wspaniale pachniała. Kiedy poczułem ten aromat, o mało co się nie rozmyśliłem.

Było chyba w pół do czwartej, kiedy znalazłem się w Freetown. Autobus, którym jechałem z Gretna, stawał niecałą milę od domu Daisy. Trafienie na miejsce nie sprawiło mi trudności, bo była to podmiejska osada, gdzie przeważnie wszyscy się znają.

Mieszkała w czteropokojowym domku z pokojami w amfiladzie. Stojąc we frontowych drzwiach, można było sięgnąć wzrokiem aż do kuchni, która znajdowała się na samym końcu. Domek był stary, pokoje słabo oświetlone, a ganek zmurszały.

Zapukałem i po chwili w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta Daisy. Wprowadziła mnie do pokoju, a kiedy tylko drzwi zamknęły się za nami, wymieniliśmy długi pocałunek. Wzięła ode mnie kapelusz i położyła go na swojej staromodnej maszynie do szycia. Potem usiadła mi na kolanach. Byliśmy już naprawdę rozgrzani pocałunkami, gdy nagle ktoś zastukał do drzwi.

- Kto tam? - zapytała podniecona Daisy.

Okazało się, że był to jej „stary”, który - ku mojemu zdziwieniu - wiedział o naszym romansie od chwili mojego pierwszego spotkania z Daisy.

Otworzył mocnym uderzeniem drzwi i wszedł do pokoju. Daisy zeskoczyła mi z kolan i uciekła do drugiego pokoju, a on pobiegł za nią.

Przez głowę przelatywało mi tysiące myśli. A przede wszystkim przypominałem sobie zajście z Irene i Cheeky Blackiem.

Po chwili usłyszałem, jak coś upadło na podłogę.

Tak, to była Daisy. Wymierzył jej tak silny cios, że padła nieprzytomna bez jednego słowa czy jęku.

Wtedy zaczęło mi się naprawdę śpieszyć. Znalezienie kapelusza, który Daisy położyła po prostu na maszynie, trwało - jak mi się zdawało - strasznie długo, nawet nie zdążyłem włożyć go na głowę.

Przez cały czas wyobrażałem sobie, co mnie za chwilę spotka.

Wreszcie udało mi się wybiec z domu, zanim tamten wrócił, ale przez cały czas, kiedy gnałem do autobusu, trzymałem kapelusz w ręku. Właściwie włożyłem go na głowę dopiero wtedy, gdy bezpieczny znalazłem się na promie do Nowego Orleanu. Tak więc, już jako młody chłopak odkryłem, że szybciej biegnie się z kapeluszem w ręku niż na głowie.

Kiedy znalazłem się na promie, westchnąłem głęboko i pomyślałem: „No! Znowu ta sama historia, ale już nigdy więcej”.

Wtedy przypomniało mi się, że tak samo przyrzekałem sobie, kiedy Cheeky Black złapał mnie z Irene. Tym razem jednak moje postanowienie było niewzruszone.

Znalazłszy się w domu z Mayann, byłem jeszcze mocno podniecony. Dołożyłem jednak wszelkich starań, aby tego nie okazać. Matka i tak niemało miała zmartwień z Mamą Lucy i ze mną, bo łatwo wpadaliśmy w tarapaty. Kiedy usiadłem do kolacji i wziąłem do ust pierwszą łyżkę fasoli z ryżem, od razu zapomniałem o całej aferze.

Po tym zajściu nie widziałem się z Daisy prawie miesiąc. Postanowiłem zrezygnować z tej niebezpiecznej znajomości. Mayann nic o niej nie wiedziała; z różnych powodów nie powiedziałbym jej o niej.

I właściwie po co miałem mówić, skoro zdecydowałem się z nią zerwać.

Upłynęło trochę czasu, aż tu pewnego dnia ktoś to idzie ulicą Liberty i Perdido, rozpytujac o mnie?

Daisy! Byłem naprawdę zdziwiony, dowiedziawszy się, że mnie szuka. Ponieważ ukrywała przede mną, że ma faceta, nie przypuszczałem, że może jej na mnie zależeć. Myślałem sobie, że byłem dla niej po prostu pewnego rodzaju rozrywką.

Zaniemówiłem, kiedy zobaczywszy mnie stojącego na rogu ze starszymi facetami, którzy właśnie wrócili z pracy w składach węgla, podbiegła i zaczęła całować mnie ze łzami w oczach:

- Kochany, byłam tak samotna, smutna i nieszczęśliwa, że nie mogłam już dłużej tego znieść.

Musiałam się z tobą zobaczyć.

Faceci, z którymi stałem, obserwowali tę scenę ze zdziwieniem:

- No, no, Dipper! Takiej fajnej dziewczynie złamać serce. Musiałeś się, chłopie, nieźle spisać.

Wtedy zaświtało mi w głowie, że to pewna przyjemność móc tak na odmianę poudawać ważnego przy nich, z ładną babką, która się do mnie klei.

Opanowałem się i zapytałem ją:

- Hmm, skąd... Jak trafiłaś na tę stronę rzeki, kochanie?

Opowiedziała mi o swoim kuzynie, który pokazał jej drogę, jadąc do pracy na Canal Street.

Poszliśmy do hotelu Kida Greena na rogu Rampart i Lafayette i wynajęliśmy tam pokój na jedną dobę, żeby móc z sobą swobodnie pomówić.

Kid Green był kiedyś słynnym bokserem, znanym w całych Stanach Zjednoczonych. Walczył wtedy bardzo dobrze, ale potem wycofał się z zaoszczędzoną sumą pieniędzy. Jego

hotel był całkiem przyzwoity, nie żadne tam luksusy, ale wygodny. Byliśmy dobrymi kumplami i kiedy tylko przyszedłem tam z dziewczyną, zawsze znalazł się dla mnie pokój bez względu na ilość gości. Kid Green był znany z noszenia bardzo modnych w tamtych czasach krawatów typu „stock”, szytych z materiałów koszulowych lub jedwabiu i wiązanych na wielki węzeł.

Był w tej dziedzinie niezrównany. Wszystkie zęby miał złote, a w jednym z nich, na przodzie, wprawiony miał wielki diament, tak samo jak Jelly Roll Morton. Miał w ustach tyle złota, że nazywano go „Klondike”; kiedy się uśmiechnął, złoty blask bił od niego na kilka mil.

Podczas pobytu z Daisy w hotelu Kida Greena miałem okazję bliżej ją poznać. Nie powiedziałbym o niej „piękna, ale głupia”; była całkiem roztropna i wiedziała, jak zarobić pieniądze. Była jednak bardzo zazdrosna. Doszedłem do wniosku, że w dzieciństwie, które spędziła na wsi, musiała być strasznie rozpieszczana przez rodziców, którzy pewnie pozwalali jej zawsze robić to, na co miała ochotę.

Kiedy tylko chciała, chodziła na wagary, i w rezultacie nie zdobyła żadnego zawodu ani żadnego wykształcenia, nie skończyła nawet tych paru klas, które miały na ogół proste dzieci. Później przekonałem się, że nie umiała nawet czytać ani pisać. Miała za to niezwykle dar do kłótni i bijatyk.

Ale jak to bywa z dwojgiem zakochanych - wszelkie objawy ujemnych cech charakteru, nawet najbardziej nieprzyjemnych, roztapiają się w miłości.

Tak więc, kiedy upewniłem się, że kocham Daisy, przestałem walczyć z sobą i poddałem się temu rozkoszemu uczuciu, jakie dla niej żywiłem. A uczucie to było naprawdę silne. I tak to się stało...

Po opuszczeniu hotelu poszliśmy prosto do City Hall, gdzie mieścił się urząd stanu cywilnego, i wzięliśmy ślub. I wtedy wybuchła bomba.

Zanim zdążyliśmy wyjść z tego gmachu, już po całej naszej okolicy rozniosła się ta wiadomość. Starsze panie: Mrs. Magg, Mrs. Laura, Mrs. Martin, były oczywiście zaskoczone, ale one były mi zawsze życzliwe. Jednak inni znajomi z sąsiedztwa, zwłaszcza stare plotkary, pobiegły prosto do Mayann i dokuczały jej pytaniami:

- I ty pozwolisz mu się żenić z tą kurwą?

Ale Mayann (świeć, Panie, nad jej duszą!) odpowiedziała im spokojnie, wzruszając tylko ramionami:

- No, cóż! Mój syn ma prawo sam ułożyć sobie życie. Jeśli kocha tę kobietę na tyle, żeby się z nią ożenić, to jego sprawa i pobłogosławię ich oboje.

Zrobię też wszystko, co w mojej mocy, żeby ona była szczęśliwa.

Słyszając taką odpowiedź, ludzie, którzy zbiegli się do naszego domu, zaczęli się rozchodzić, bo w duchu uważali, że matka ma rację.

Kiedy wyszliśmy z City Hall, Daisy wsiadła do tramwaju i pojechała do Freetown spakować swoje rzeczy. Ja wróciłem do domu.

Po drodze spotkałem Black Benny'ego, który stał na rogu w wojskowym mundurze. Choć wojna się już skończyła, Benny ciągle jeszcze był w wojsku, oczekując demobilizacji. Był sierżantem i miał prawo komenderować niższymi rangą. Właśnie mijał go inny żołnierz, szeregowiec, który w cywilu należał do tych snobów, co to nieraz wyżywiali się na Bennym.

Benny odczekał, aż żołnierz się z nim zrówna, i wtedy wrzasnął:

- BACZNOŚĆ!!!

Facet stanął na baczność i stał tak z ręką przy daszku, podczas gdy Benny zrobił sobie rundkę wokół całego czworoboku domów. Gdy wrócił, zakomenderował: „Spocznij!”, i gość odszedł z wściekłą miną. Nie ośmielił się jednak zaprotestować, bo Benny był to chłop na schwał, możecie mi wierzyć!

Po powrocie do domu mieliśmy z Mayann szczerą rozmowę. Zaczęła od pytania:

- Synu, czy jesteś pewien, że kochasz tę dziewczynę?

- Nigdy w życiu, mammo, nie byłem niczego bardziej pewny niż tego, że kocham Daisy. Jestem przekonany, że jest to kobieta dla mnie.

- Ale słyszałam - ciągnęła Mayann - że ona nic się nie uczyła.

- A co to ma za znaczenie, mammo - odrzekłem - skoro się kochamy. No, pomyśl, przecież ja sam nie zaszedłem dalej jak do piątej klasy. Ale ponieważ mam trochę wrodzonego zdrowego rozsądku i umiejętność obcowania z ludźmi, to mi to w życiu w zupełności wystarczy. Mammo, przecież nieraz sama tak mówiłaś. I jak dotychczas to nieźle sobie radzę. No, powiedz, nie mam racji?

Mayann wzruszyła ramionami:

- Chyba masz rację, synu. Musisz przyprowadzić tu swoją żonę. Chciałabym ją poznać - dodała po chwili.

Z bijącym sercem, lecz i z ogromną ulgą powiedziałem:

- Och, dziękuję ci, mammo!

Właśnie jej potwierdzenie było mi potrzebne. Niewiele się przejmowałem tym, co mówili inni.

Uściskałem i ucałowałem mocno moją kochaną mamę i pobiegłem prosto do Daisy. Zaniosem jej dobrą wiadomość, a ona strasznie się ucieszyła, że Mayann zaakceptowała nasze małżeństwo pomimo tego, co mówiły wszystkie stare plotkary z okolicy.

Przez miesiąc, a może nawet dłużej spotykaliśmy się z Daisy w hotelach i różnych innych miejscach, bo nie mieliśmy pieniędzy na własny kąt. Wreszcie pewnego dnia znaleźliśmy dwupokojowe mieszkanie nad warsztatem tapicerskim na ulicy Melpomeny, dość daleko od centrum Nowego Orleanu. Nie było to nic nadzwyczajnego. Wchodziło się do nas po zewnętrznych schodach, co było po prostu okropne, kiedy padał deszcz. Piętrzące się obok zwały śmieci, wyrzucane tam od wieków przez tapicera i mieszkańców oficyny, działały na mnie przygnębiająco, kiedy wracałem nocą z pracy. Ale mieliśmy wreszcie swój własny kąt, w którym mogliśmy się czuć swobodnie, dlatego z radością urządzaliśmy się, jak można było najlepiej. Mieszkanie z przodu i z tyłu otoczone było gankami. Nazywaliśmy je „galeryjkami”, bo wtedy nie znaliśmy jeszcze słowa „ganek”. Mieszkaliśmy na drugim piętrze i nasza galeryjka była już trochę pochyła ze starości; podczas deszczu woda lała się z niej strumieniem.

Pewnego dnia, kiedy lało jak diabli, siedzieliśmy z Daisy we frontowym pokoju, słuchając na fonografie Victrola - byliśmy z niego bardzo dumni z nowych płyt zespołu Original Dixieland Jazz Band, które właśnie kupiłem. Były tam nagrane Livery Stable Blues oraz pierwsza płytowa wersja Tiger Rag - między nami mówiąc do dzisiaj najlepsza.

Mieszkał wtedy z nami Clarence, nieślubny syn mojej kuzynki Flory Miles. Miał wtedy około trzech lat i nosił jeszcze sukienki. Wszyscy mali chłopcy w naszych stronach nosili sukienki, dopóki całkiem nie wyrosli. Jak wszystkie dzieci Clarence lubił wędrować po domu. Tego deszczowego dnia - z nieba lały się po prostu strumienie wody - bawił się zabawkami, które mu kupiłem. Był w drugim pokoju, służącym nam za kuchnię, i niepostrzeżenie wyszedł na tylny ganek - prosto na ten straszny deszcz.

Słuchaliśmy z Daisy płyt, gdy nagle rozległ się przeraźliwy krzyk Clarence'a. Pobiegliśmy do tylnych drzwi, aby zobaczyć, co się stało. Byłem prawdziwie przerażony, gdyż słyszałem ciągle jego krzyk, a nie widziałem go na tylnym ganku. Spojrzałem w dół i zobaczyłem Clarence'a wdrapującego się na schody. Trzymał się za główkę i zanosił od płaczu. Okazało się, że mały ześliznął się z mokrego ganku i spadł na podwórko. Przeciętne dziecko na pewno przyplaciłoby taki upadek życiem, ale dla niego skończyło się to tylko zahamowaniem rozwoju.

Ten wypadek zaciążył na całym życiu Clarence'a.

Byłem z nim u najlepszych lekarzy; wszyscy zgodnie twierdzili, że ten upadek spowodował u chłopca cofnięcie się w rozwoju umysłowym o cztery lata w stosunku do przeciętnego dziecka.

Kiedy podrósł, zapisywałem go do różnych szkół.

Był też w katolickiej szkole; trzymali go tam przez kilka miesięcy, a potem odesłali do domu, potwierdzając opinię lekarzy. To ciągle włączanie Clarence'a po różnych instytucjach tak mi obrzydło, że postanowiłem sam zająć się jego nauką.

Ponieważ chłopiec miał od dzieciństwa nerwowe usposobienie i nigdy nie był w stanie pracować i zarabiać na życie, postanowiłem ograniczyć tę edukację do wpojenia mu pewnych zasad potrzebnych w życiu i w obcowaniu z ludźmi. Udało mi się nauczyć go uprzejmości, szacunku dla innych, a także kierowania się zdrowym rozsądkiem. Zawsze też znalazłem kogoś, komu mogłem powierzyć opiekę nad chłopcem, kiedy wyjeżdżałem lub szedłem do pracy. Muzycy, aktorzy, właściwie wszyscy, którym kiedykolwiek przedstawiłem Clarence'a, od razu zaczęli go lubić. Chłopiec nigdy nie był „sassy”, jak mawialiśmy w Nowym Orleanie.

W tym okresie, jeśli nie grałem z Kidem Ory na pogrzebach, paradach albo na platformie reklamującej jakąś imprezę, to kręciłem się na nabrzeżu kanału, gdzie przybijały szkunery z węglem drzewnym. Razem z innymi młodymi chłopakami czekałem, aż wyładowano duże kawały węgla i zapakowano je do wielkich jutowych worków. Wtedy kupowaliśmy odrzucone na bok małe kawałki węgla, wynosiliśmy je również w dużych jutowych workach, a potem przeladowywaliśmy je do wiader i sprzedawaliśmy po domach po pięć centów za wiadro. Tak właśnie zarabiałem na życie, kiedy poślubiłem Daisy.

Taki handel węglem drzewnym był - naturalnie - brudną robotą. Miałem ciągle brudne ręce i umorusaną twarz i przeważnie wyglądałem jak Al Jolson, kiedy padał na kolana i śpiewał Mammy.

Ale ta praca oraz granie zapewniały mi w sumie dobre utrzymanie.

Kiedy między mną a Daisy wybuchała kłótnia - strasznie tego nie lubiłem - wsadzałem ubranie swoje i Clarence'a do worka od węgla i przenosiliśmy się obaj do matki z zamiarem pozostania tam na zawsze. Zwykle po jakichś dwóch tygodniach przychodziła Daisy. Usprawiedliwiała się na różne sposoby, obiecując, że już nigdy więcej nie będzie wprowadzać mnie z równowagi i da mi spokojnie grać na trąbce.

Kiedyś zmarł jeden z członków Klubu Tammany, do którego sam należałem. Pogrzeb miał wyruszyć z domu na rogu Liberty i Perdido. Wszyscy członkowie Klubu musieli mieć na sobie czarne lub bardzo ciemne ubrania. Szczęśliwie zdążyłem wykupić z lombardu swój czarny garnitur. Zastawianie rzeczy było wtedy wśród nas bardzo popularne. Kiedy tylko któ-

remuś facetowi zabrakło pieniędzy, od razu zanosił coś do lombardu. W świeżo wykupionym garniturze wyglądałem tego dnia jak milioner.

W sąsiedztwie mojego rodzinnego domu mieszkała Rella Martin, babka, z którą kiedyś chodziłem. Daisy w jakiś sposób dowiedziała się o niej. Nic mi o tym nie powiedziała, ale domyśliłem się, że coś jej leży na wątrobie, bo za każdym razem, kiedy tylko wracałem do domu choćby o pół godziny później, niż powinienem, robiła mi piekielną awanturę. Wyprowadzało mnie to z równowagi i zazwyczaj wybuchała wtedy między nami wielka kłótnia z różnymi wyzwiskami.

W dniu pogrzebu, kiedy zwłoki znajdowały się jeszcze w kościele, stałem na rogu i rozmawiałem z Rellą i ze swoim starym przyjacielem jeszcze z czasów szkolnych, którego nazywano Little Head.

Przez cały ranek padał deszcz, więc z rynsztoków przelewała się woda, a ulice były pełne błota. Miałem na głowie nowiutki kapelusz typu Stetson (taki jak w pieśni St. James Infirmary) elegancki czarny garnitur i nowe lakierki. Możecie mi wierzyć, że byłem szykownym facetem.

Gadaliśmy sobie we troje o byle czym, czekając na wyprowadzenie zwłok. Ja byłem jednym z tych, którzy mieli nieść trumnę zmarłego towarzysza.

Nagle nieoczekiwanie zobaczyłem Daisy idącą w naszym kierunku. „Ojej, teraz będzie draka” - pomyślałem sobie.

- Ludzie - powiedziałem. - Idzie tu Daisy!

Wszyscy wiedzieli, jak zazdrosna była moja żona.

Rella uważała, że lepiej będzie, gdy zostaniemy sami we dwóch, i odeszła. Kiedy Daisy zbliżyła się, żaden z nas nie odezwał się do niej ani słowem; ona też milczała. Nagle wyciągnęła brzytwę i zaczęła przeklinać. Odskoczyłem od niej i zacząłem uciekać.

Miałem szybki start i wykorzystałem tę umiejętność.

Kiedy przeskakiwałem przez rynsztok, spadł mi z głowy kapelusz, mój ulubiony John B. Stetson.

Taki kapelusz był wtedy szczytem elegancji; kosztował mnie sporo wysiłku i długo musiałem oszczędzać, aby móc go kupić. Little Head próbował go podnieść, ale Daisy podbiegła do niego i zamachnęła się brzytwą na jego tylną część ciała, więc zwał równie szybko jak ja.

Daisy była tak wściekła, że złapała mój kapelusz i zaczęła ciąć go na kawałki. O rany, jak mnie to rozwścieczyło! Już miałem wrócić i rozprawić się z nią, ale koledzy z Klubu przytrzymali mnie, przekonując, że nie mam teraz szans.

- Chłopie, opanuj się! Ona ma brzytwę, a ty nie masz nawet scyzoryka!

Tymczasem Daisy skończyła kroić mój kapelusz i zaczęła oddalać się w stronę domu. Pieniłem się z wściekłości, lecz posłuchałem rady chłopaków i pozwoliłem jej odejść. Ale Bóg mi świadkiem - nie miałem zamiaru puścić jej tego płazem!

Właśnie wtedy rozległy się głucho uderzenia wielkiego bębna i członkowie Klubu zaczęli wychodzić z kościoła. Za chwilę orkiestra zagrała Nearer My God to Thee i ruszyliśmy w stronę cmentarza. Maszerując (w kapeluszu kolegi zamiast mojego pokrajanego), przez cały czas myślałem tylko o tym, co zrobiła mi Daisy, i to w obecności moich kolegów, członków Klubu Tammany. Cmentarz znajdował się niedaleko ulicy, na której oboje z Daisy mieszkaliśmy. Kiedy pochowano zmarłego, nie czekałem na kolegów, aby pomaszerować razem z nimi do Klubu.

Byłem taki zły na Daisy, że poszedłem prosto do domu.

Daisy nie było w mieszkaniu. Siedziała w oknie u swojej przyjaciółki, mając pod ręką z dziesięć cegieł. Ale ja o tym nie wiedziałem. Już miałem włożyć klucz do zamka, gdy jedna z cegieł Daisy uderzyła w nasze drzwi. To mnie przeraziło. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, skąd lecą te cegły, i zdumiony, zobaczyłem Daisy, która klnąc rzucała je szybko w moim kierunku. Nie pozostawało mi do roboty nic innego, jak tylko uchylać się, dopóki nie wyczerpie się jej zapas cegieł. Kiedy to się stało, pobiegła w dół schodami, aby zaatakować mnie z bliska.

Schyliłem się szybko po jedną z cegieł, którymi we mnie rzucała. Zrobiłem zamach z podniesieniem prawej nogi - jak w baseballu - i rzuciłem. Cegła trafiła Daisy prosto w brzuch. Zgięła się we dwoje i zaczęła przeraźliwie krzyczeć:

- Zabiłeś mnie! Zabiłeś mnie!

Nie wiem, co jeszcze krzyczała, bo nie czekałem na dalszy ciąg. Ktoś zadzwonił na policję (jak to zwykle w takich wypadkach), zawiadamiając, że mężczyzna bije się z kobietą. Właściwie to ten ktoś miał rację.

Usłyszawszy dzwonek wozu policyjnego, pobiegłem do tylnego ogrodzenia i przesadziłem je tak szybko, że nawet go nie dotknąłem. Słyszałem tylko gwizdki policjantów i ich wystrzały w powietrze, kiedy próbowali mnie - zatrzymać. To jednak nie zbiło mnie z tropu. Uciekłem jak przepiórka w proso.

Kiedy patrolowi policyjnemu wezwanemu do bijącej się pary udaje się ująć tylko jedno z partnerów, biorą zatrzymaną osobę do aresztu. To właśnie przytrafiło się Daisy. Mimo jej krzyków, wrzasków i przekleństw, gliny zaciągnęły ją do wozu. Awanturowała się z nimi straszliwie. Kiedy usiłowali wciągnąć ją do środka, kopnęła jednego z nich w podbródek. Ten

tak się wściekł na nią, że uderzył ją pałką po jej chytrej kreolskiej główce. Rozcięta głowa zaczęła strasznie krwawić. Na posterunku Daisy nie ośmieliła się jednak poskarżyć komendantowi, bo ten sam glina zacząłby się na nią po wypuszczeniu jej z aresztu i poczęstowałby ją tym samym. Tak to sobie poczynają nowoorleańskie gliny.

Daisy była sprytna. Idąc do aresztu, płakała jak niewinne dziecko, pomimo tego wszystkiego, co narozrabiała. Jak to kobieta.

Tymczasem dogoniłem swój klubowy orszak pogrzebowy, pożyczyłem drugi kapelusz od kolegi, będącego tylko obserwatorem pochodu, zapominając w całkiem o tamtym, który Daisy pocięła na kawałki.

A w tamtych czasach facet noszący Stetsona uchodził za grubą rybę. My, młodzi muzycy, musieliśmy całymi miesiącami oszczędzać, aby móc kupić sobie taki kapelusz za piętnaście dolarów. Jednak pragnienie posiadania go było tak silne, że odkładaliśmy każde dziesięć centów, które udało się nam zaoszczędzić” a i tak nie każdy chłopak osiągał wreszcie ów cel swoich marzeń. Tym, którzy wpłacali część należności, resztę regulując ratami, nieraz przed samym końcem spłaty zabrakło pieniędzy; wtedy kapelusz trafiał do innego nabywcy. Teraz chyba rozumiecie, dlaczego byłem taki wściekły na Daisy za to, co zrobiła. Ale jak już mówiłem, szybko o tym zapomniałem, gdy tylko usłyszałem orkiestrę grającą piękne żałobne marsze. Te dęte orkiestry potrafiły je grać z takim uczuciem, że aż chwytало za serce.

Wracalem z cmentarza wraz z orszakiem żałobnym, gdy podbiegł do mnie jakiś facet i wręczył mi kartkę od Daisy, która była na posterunku i jeszcze nie wpisano jej do rejestru aresztowanych. Ten facet musiał należeć do uprzywilejowanych więźniów, bo nikt inny by się tak szybko tego nie dowiedział.

Jak już wyjaśniłem na przykładzie Black Benny’ego, taki uprzywilejowany więzień mógł wychodzić do miasta, kiedy tylko chciał, mógł też zarabiać pieniądze i załatwiać sprawy innym aresztowanym.

Dałem temu chłopakowi dwa dolary, a on mi powiedział, że Daisy nie jest jeszcze zarejestrowana. Mimo złości, jaką do niej miałem, od razu zmiękłem. Przekazałem Daisy przez posłańca wiadomość, żeby się nie martwiła, że nadal ją kocham i wszystko jej przebaczyłem. Na szczęście pracowałem wtedy przy rozładunku statków i mój boss bardzo mnie lubił.

Wiedziałem, że jeśli go poproszę o wydobycie Daisy z aresztu, zrobi to szybciej, niż bym zdążył policzyć do dziesięciu. Kiedy tylko pogrzeb się skończył, oddałem koledze Stetsona, podziękowałem mu i kopnąłem się do sklepu spożywczego w pobliżu naszego domu. Zawsze korzystaliśmy z tamtejszego telefonu.

Byłem w łaskach u tego sklepikarza. Miało to dla mnie bardzo duże znaczenie głównie dlatego, że stwarzało mi możliwość korzystania z jego telefonu i otrzymywania za jego pośrednictwem wiadomości z miasta, a najważniejsze ze wszystkiego było to, że dawał mi dużo na kredyt. Wszystkie moje zaproszenia do grania otrzymywałem właśnie przez ten telefon; Tony Anderson, Mr. Gaspar, Matranga czy Segretta nigdy o mnie nie zapominali. Widać stąd, że bez względu na to, jak nieprzyjazny może się wydawać biały, zawsze znajdzie się jakiś „czarny sukinsyn”, za którym on przepada i do którego jest przywiązany jak do własnego krewnego.

Kiedy zadzwoniłem na statek do swojego szefa, ten od razu zatelefonował na posterunek i uzyskał zwolnienie Daisy za poręczeniem. Oczywiście po szedłem po nią i czekałem tam, aby ją zabrać do domu. Gdy wyszła, zauważyłem, że trochę kuleje na lewą nogę. W pierwszej chwili ucieszyła się na mój widok i pocałowaliśmy się na zgodę. Wyruszyliśmy w stronę „linii ognia”, gdzie obrzuciła mnie tyłoma cegłami (dzięki Bogu, że była takim kiepskim strzelcem).

Im bliżej byliśmy domu, tym bardziej zaczynała sobie przypominać o naszej bójce. Widziałem po jej minie, że robiła się coraz bardziej zła. Nie mówiłem jednak ani słowa. Ale Daisy nie była w stanie już dłużej udawać. Nagle wybuchnęła i zaczęła obrzucać mnie najgorszymi wyzwiskami. Stwierdziła, że zrobiłem z niej kalekę i że się na mnie zemści, nawet jeśli by to miał być ostatni uczynek w jej życiu.

Bardzo mnie to zaskoczyło, zwłaszcza, że zaczynałem już myśleć, że wszystko jest w porządku i topór wojenny został już na dobre zakopany! Co więcej nasze rachunki były prawie wyrównane. Pokrajała mi przecież kapelusz i rzuciła się z brzytwą na mnie i mojego przyjaciela, a kiedy wróciłem do domu, zaczęła obrzucać mnie cegłami i wszystkim, co tylko wpadło jej w ręce.

Gdy więc w tramwaju Daisy zaczęła napastować mnie znowu, pomyślałem sobie: „No, chłopcze, przy gotuj się na kolejną niemiłą scenę”. Na każde jej wyzwisko odpowiadałem podobnym, a prócz tego dorzuciłem jeszcze kilka mocniejszych jako „lag niappe”. Tak właśnie - będąc dziećmi - nazywaliśmy dowody wdzięczności otrzymywane od sklepikarzy, kiedy przychodziliśmy regulować długi rodziców za wzięte na kredyt towary. Dawano nam wtedy herbatniki w kształcie zwierząt czy różne inne nie drogie smakołyki; sklepikarz, który dawał nam najlepsze „lagniappe”, miewał zazwyczaj od nas, dzieci, najlepsze utargi.

Tramwaj dojechał do skrzyżowania ulic Melpomeny i Driad, niedaleko naszego domu, a my wciąż jeszcze kłóciliśmy się jak diabli. W drodze do domu natknęliśmy się na policjanta patrolującego okolicę.

Na szczęście znalazł mnie z mojego grania w zespole Kida Ory na licznych benefisach w różnych częściach miasta, więc zamiast wsadzić nas z powrotem do ciupy, puścił nas wolno.

- Dippermouth! - zwrócił się do mnie, używając mojego pseudonimu. - Weź ty lepiej żonę do domu, zanim spotka was inny policjant i oboje was zaaresztuje.

Zrobiło mi się bardzo miło. Jeden z najsurowszych policjantów w mieście wyraził mi swoje uznanie.

Zamiast poczęstować mnie pałką po głowie - jak to było w zwyczajach policji - udzielił mi dobrej rady i ochronił nas.

Kiedy tylko znaleźliśmy się z Daisy w naszym dwupokojowym mieszkaniu, postanowiłem szczerze z nią porozmawiać i wyłożyć - jak się to mówi - karty na stół.

- Posłuchaj, kochanie - zacząłem - tak dalej być nie może. Jestem muzykiem, a nie bokserem, a ty za każdym razem, kiedy tylko się na mnie rozzłościś, robisz wszystko, żeby mi rozbić wargi. Dzięki Bogu - dotychczas zawsze udawało mi się tego jakoś uniknąć. Ale mam już tego wszystkiego dosyć.

Najlepiej dla mnie i dla ciebie będzie, jeśli się pożegnamy.

- O nie! Nie zostawiaj mnie! - wybuchnęła płaczem Daisy. - Wiesz przecież, że cię kocham! Właśnie dlatego jestem taka zazdrosna!

Jak już mówiłem, Daisy nie miała żadnego wykształcenia, a ignorant i nieuk zawsze będzie zazdrosny, zły i nienawistny. Każdy medal ma dwie strony, ale ignorant nie potrafi zrozumieć nawet jednej. Daisy doprowadzało często do wściekłości już samo to, że szeptałem komuś coś do ucha.

- Ja wiem, że mówisz o mnie, bo na mnie patrzysz - mówiła.

Straszne, no nie? Tylko dlatego, że tak dobrze ją rozumiałem, potrafiłem wytrzymać z nią cztery lata tortur i szczęścia - na zmianę.

Człowiek musi mieć trochę wiedzy, inaczej ciągle będzie wpadał w tarapaty. Daisy nigdy nie wzięła do ręki gazety, nie mówiąc już o innej lekturze. Na szczęście była kobietą, i to ładną babką. A przecież zawsze najbardziej liczy się właśnie uroda, i już mniej ważne jest to, czy kobieta jest głupia czy nie.

Pogodziliśmy się więc i teraz i ciągnęliśmy jeszcze trochę wspólnie ten ciężki wózek.

Grałem w tym czasie dużo na pogrzebach w zespole Tuxedo Brass Band. Kierował nim cudowny trębacz i wspaniały muzyk - Oscar (Zost) Celestin Był on również jednym z najfajniejszych facetów, jakich kiedykolwiek widział Nowy Orlean. Grałem w tej orkiestrze jako drugi trębacz. W tym samym czasie mój serdeczny przyjaciel, Maurice Durand, grał

w Excelsior Brass Band - również pierwszorzędnym zespole. Liderem i pierwszym kornecistą był tam Old Man Mauret, który prowadził swoich muzyków, jak by to był zastęp aniołów. Wszyscy jego chłopcy dzielnie mu w tym pomagali. Nie byli podobni do muzyków w dzisiejszych zespołach, którzy grają, bo muszą, i wściekają się, że muszą słuchać lidera.

Maurice i pozostali chłopcy z zespołów Celestina i Maureta byli całkiem inni. Maurice i ja - obaj wówczas młodzi muzycy - graliśmy zazwyczaj na paradach i pogrzebach w dwóch różnych orkiestrach. Wiele razy go spotykałem i widziałem, jaka u Maureta była pierwszorzędną dyscyplina i jaki szacunek mieli dla niego członkowie zespołu. Tak samo muzycy Celestina lubili swego szefa.

Mówiąc o pierwszorzędnym orkiestrach marszowych nie mogę pominąć tej, która była najlepsza z najlepszych - Onward Brass Band. To było niezapomniane przeżycie, kiedy w Dniu Święta Pracy albo w czasie jakiejś innej uroczystości wielki King Oliver z Uptown i stary mistrz Emmanuel Perez maszerowali na czele zespołu grając Panamę, Te wspaniałe momenty stoją mi tak żywo w pamięci, że po tylu latach niczego bardziej bym nie pragnął, jak móc znowu to wszystko powspominać razem z Mauricem, który mieszka obecnie w San Francisco.

Rozdział XI

W tym czasie zaczynałem już sobie zyskiwać popularność w moim kochanym rodzinnym mieście. Miałem szereg propozycji, aby opuścić zespół Kida Ory, ale przez jakiś czas opierałem się tym pokusom.

Pewnego dnia przyszedł do mnie kierownik zespołu, rudy Fate Marable, który od przeszło szesnastu lat grał na wycieczkowym parostatku „Sydney”. Był świetnym pianistą; grał także na małych organach parowych, zainstalowanych na górnym pokładzie statku. Kiedy „Sydney” miał wyruszyć w kolejny „księżycowy” rejs w górę Missisipi, Fate zasiadał do tego instrumentu i grał, aż się pokład trząsał. To był naprawdę doskonały muzyk.

Kiedy zaproponował mi przyłączenie się do jego orkiestry, z radością przyjąłem tę ofertę. Oznaczała ona wielki skok w mojej karierze, bo jego muzycy musieli umieć świetnie czytać nuty. Chłopcy Kida Ory tego nie potrafili. Później odkryłem, że w zespole Marable’a było nie mniej jazzowych znakomitości niż u Kida, a byli oni lepsi, bo umieli czytać nuty i improwizować. Ludzie Marable’a mieli też szerszy repertuar, grali wszystko - aż do najnowszych przebojów włącznie, bo potrafili grać a vista.

Zespół Kida Ory umiał szybko chwytać melodię, a kiedy już ją opanował, nikt nie zagrał jej lepiej.

Ale ja chciałem czegoś więcej niż ciągła improwizacja, bo muzyka nie ogranicza się przecież do jednego stylu. Wstąpiłem więc bez namysłu do orkiestry na „Sydney”.

Na melofonie grał tam David Jones. Ten znakomity muzyk o miękkim, łagodnym tonie i wielkich zdolnościach improwizacyjnych przybył do orkiestry z wędrowniej trupy widowiskowej, która przyjechała do Nowego Orleanu. Wymieniam go specjalnie, bo to właśnie on w czasie wolnym pomiędzy rejsami zadawał sobie tak wiele trudu, ucząc mnie czytania nut. Robiłem szybkie postępy. Brat Jones - jak go później nazywałem - nauczył mnie rytmicznego podziału nut, tak że mogłem poradzić sobie z każdą nową aranżacją, którą dawał nam Fate. Nie musiałem już siedzieć z kornetem w ręku i czekać, aż Joe Howard zagra melodię, żeby ją po nim powtórzyć. Oczywiście umiałem szybko przyswoić sobie melodię, bo miałem wyćwiczone ucho, trochę też czytałem nuty, ale nie w takim stopniu, jak to było potrzebne w zespole Fate Marable’a.

Fate wiedział o tym, kiedy brał mnie do siebie, ale podobał mu się dźwięk mojego kornetu, a także i to, że wszystko w lot chwytałem. To mu wystarczyło. Będąc świetnym i doświadczonym muzykiem, wiedział, że przebywając wśród muzyków grających z nut, au-

tomatycznie sam się tego nauczę. I rzeczywiście - po jakimś czasie grałem od razu wszystko, co przede mną położył. Fate był typem lidera, który lubi zaskakiwać swoich muzyków trudnymi utworami. Niejednokrotnie zapoznawał się ze swoją partią, kiedy członkowie zespołu wychodzili na papierosa. Opanowywał ją do perfekcji, a potem stukał nogą w podłogę i mówił:

- No, chłopcy, macie tu swoje partie.

A kiedy już rozdał nuty, stukał znowu:

- Zaczynamy!

Wszyscy wtedy wychodziliśmy ze skóry, żeby tylko należycie zagrać swój aranż, który po raz pierwszy widzieliśmy na oczy. Kiedy opanowaliśmy po pewnym czasie swoje partie, Fate umiał swoją na pamięć. To mnie zawsze zdumiewało. Fate traktował muzykę bardzo poważnie. Nikt nie mógł się z nim równać w graniu trudnej muzyki. Wszyscy nowoorleańscy muzycy żywili dla niego szacunek. Fate miał za sobą stare dobre czasy w Storyville, kiedy to grywał w cotcha z alfonsami i szulerami w domu gry „Twenty-five” i uczestniczył w licznych jam sessions z takimi sławnymi pianistami, jak: Jelly Roll Morton, Tony Jackson, Calvin Jackson, Udell Wilson, Arthur Camel, Frankie Heinze, Boogus, Laurence Williams, Buddy Christian, Wilhelmina Bart Wynn, Edna Frances, a także z wieloma innymi znakomitościami. Zawsze wychodził z tych spotkań obronną ręką.

Fate miał specjalne metody postępowania ze swoimi muzykami. Kiedy któryś z nas się pomylił lub źle zagrał swoją partię w jakimś utworze, kwitował to milczeniem. Dopiero na drugi dzień, gdy wszyscy myśleli już, że tamto zostało zapomniane, i gdy winowajca zjawiał się z potężnym kacem po ostatniej nocy, Fate kładł przed nim kiepsko zagrana partię i kazał wykonać ją solo przed pozostałymi członkami orkiestry. Wiercie mi, że taki występ przed wszystkimi kolegami nie należał do przyjemności, jeśli danego fragmentu nie potrafiło się dobrze zagrać; nazywaliśmy taki przypadek „Waterloo”. W ten sposób Fate zmuszał swoich ludzi do odpowiedniego wypoczynku po pracy, aby następnego wieczora mieli nienaganną kondycję do grania. Sporo się wtedy nauczyłem i do dziś uważam, że jest to dobre podejście psychologiczne.

Kiedy nadszedł czas odjazdu parowca „Sydney” z Nowego Orleanu, Fate podszedł mnie bardzo dyplomatycznie. Wiedział, że nigdy dotąd nie wyjeżdżałem z rodzinnego miasta, nie licząc takich pobliskich miasteczek w stanie Luizjana, jak Houma, West Wego, La Blaste (skąd pochodził Kid Ory), oraz kilku innych podobnych miejscowości. Jednak strasznie chciał, żebym wyjechał z jego zespołem.

Starsi muzycy, dla których „Mały Louis” był bożyszczem, powiedzieli mu, żeby nie marnował czasu, próbując nakłonić mnie do wyjazdu, on jednak miał swoje sposoby. Wiedział, jak świetnie się czuję w jego wspaniałej orkiestrze, grając muzykę, z jaką się nigdy dotąd nie zetknąłem, i przeżywając rzeczy, o których marzyłem jako ambitny młody chłopak. Zrobił mnie więc solistą swego zespołu. Do dziś słyszę te wielkie brawa, jakie dostawałem od pasażerów statku.

Mając pomoc Davida Jonesa w czytaniu nut i wymagającego lidera w osobie Fate’a, nie miałem już wtedy ochoty opuścić orkiestry, choć byłem w niej właściwie dopiero na próbę. Wszystko układało mi się tak dobrze; że gdy Fate zapytał mnie, czy wyjadę, odpowiedziałem „tak”, i to tak szybko, że nie chciałem wprost własnym uszom uwierzyć.

Po powrocie statku z nocnego „księżycowego” rejsu, pobiegłem z nowiną do Daisy, sądząc, że ucieszy ją mój sukces. Ale ona spojrzała na mnie z takim oburzeniem, jakby myślała, że chcę wyjechać z Nowego Orleanu tylko po to, żeby się od niej uwolnić.

Poczułem się tak, jakby ktoś wylał na mnie kubel zimnej wody. Mimo to opowiadałem dalej o tym szczęśliwym dla mnie trafie, ona zaś spojrzała na mnie z wymuszonym uśmiechem i niechętnie pocałowała mnie w policzek.

- Wyjedziesz i zostawisz mnie samą. Tak? - zapytała.

- Daisy, kochanie, posłuchaj! To moja wielka szansa, by osiągnąć to, o czym marzyłem przez całe życie. Jeśli odrzucę teraz tę ofertę, tak jak to robiłem z innymi, to ugrzęznę tu na całe życie bez żadnych widoków.

Potem dorzuciłem jeszcze, że „do każdego los tylko raz się uśmiecha” - jak mówi stare porzekadło.

I wtedy twarz dziewczyny rozjaśniła się.

- Zrozumiałam, kochany.

Pocałowała mnie mocno, tym razem szczerze, i wszystko dobrze się skończyło.

Byłem wtedy jeszcze za młody, żeby dokładnie znać warunki pracy na statku. Kiedy dopłynęliśmy do Saint Louis, dowiedziałem się, że mogłem zabrać Daisy ze sobą.

Przed samym wyjazdem poszedłem z nią na Canal Street na zakupy za zaliczkę, którą dostałem na konto mojej przyszłej pensji. Coś podobnego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Jedyne pieniądze, jakie nam, muzykom, wypłacano kiedykolwiek z góry, to były zadatki na jednorazowe grania.

A osobą, która dostawała te pieniądze, był przedsiębiorca podpisujący w naszym imieniu umowę lub kierownik naszego zespołu. Ja osobiście nigdy nie podpisywałem żadnej z tych umów. Zajmował się tym nasz perkusista Joe Lindsey, on też przechowywał nasze

zaliczki. Pozostali członkowie zespołu nie byli na tyle zorientowani, aby na to zwracać uwagę. Perspektywa grania ulubionej muzyki tak bardzo nas cieszyła, że po prostu nic innego się nie liczyło.

Dowiadaliśmy się o zadatkach tylko wtedy, gdy mieliśmy za dużo zamówień na jeden dzień i nie byliśmy w stanie ich wszystkich wykonać. Wtedy przychodzili ludzie i dopominali się o zwrot pieniędzy. A my jak głupcy spieszyliśmy z pomocą Joemu, zobowiązując się wykonać tę pracę innego dnia. W Nowym Orleanie tak zazwyczaj podchodziło się do tych rzeczy. Począwszy od sławnych liderów, takich jak Buddy Bolden, Joe Oliver, Bunk; Johnson, Freddie Keppard i Emmanuel Perez, a skończywszy na moich rówieśnikach - wszyscy w ten sam sposób załatwiali sprawy finansowe.

To właśnie był jeden z tych powodów, dla których nigdy nie starałem się zostać kierownikiem zespołu; związane to było z ciągłym wyklócaniem się o jakieś drobne sumy pieniędzy. A ja chciałem po prostu móc spokojnie grać na trąbce, tak jak to robię teraz.

Zawsze wiedziałem, że lider musi dbać nie tylko o zadowolenie odbiorców muzyki, ale również o wpływy kasowe.

Kiedy zostałem członkiem orkiestry Marable'a, w jej skład wchodził oprócz Fate'a, Joe Howarda i mnie: Baby Dodds - perkusja, George (Pops)

Foster - kontrabas, David Jones - melofon, Johnny St. Cyr, banjo, Boyd Atkins - skrzypce, i jeszcze jeden muzyk, którego nazwiska zapomniałem. Każdy młody chłopak pragnący uczyć się muzyki byłby zadowolony z gry w takim towarzystwie, a już zwłaszcza wzięwszy pod uwagę, jak trudno byłoby nam płacić za prywatną naukę. Nasi rodzice rzadko mogli zdobyć się na to, by płacić po pięćdziesiąt centów za jedną lekcję. Życie w Nowym Orleanie nie było w tych czasach łatwe; byliśmy szczęśliwi, kiedy mieliśmy co jeść, a cóż dopiero mówić o takim luksusie, jak prywatne lekcje. Tylko miłość do muzyki, którą mieliśmy we krwi, była źródłem naszej wytrwałości.

Właścicielami przedsiębiorstwa żeglugowego Streckfus Steam Boats było czterech braci Streckfusów: Vern, Roy, Johnny i Joe. Najstarszy z nich, kapitan Joe, był najważniejszą osobą w całym interesie. Nikt co do tego nie miał wątpliwości. Wszyscy bracia byli fajnymi facetami i traktowali nas bardzo dobrze. Z początku wydawało mi się, że wszyscy boją się surowego kapitana Joe. Nasłuchałem się tylu opowiadań o tym, jaki to on jest zły, że z trudem opanowywałem strach, grając po raz pierwszy na pokładzie parowca „Sydney”. Wkrótce przekonałem się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Joe wymagał jednak od wszystkich przestrzegania dyscypliny. Gdy słyszeliśmy, że wchodzi na pokład, wszyscy - nie wyłączając muzyków - rzucali się do porządków na statku. Nasza muzyka bardzo mu się podobała;

często stawał obok podium, a widząc, jak swingujemy, uśmiechał się, chichotał i zamawiał u nas swoje ulubione melodie. Grając je, niekiedy bliscy byliśmy przesady, aby tylko mu dogodzić.

Największą przyjemność sprawiało kapitanowi Joemu obserwowanie naszego perkusisty Baby Doddsa, który wybijając głośne uderzenia na krawędzi werbla, poruszał się tak, jakby tańczył shimmy. Niemal wszyscy ludzie znajdujący się na pokładzie przystawali, aby na niego popatrzeć. Nawet kiedy już przestałem grać na statku, kapitan Joe przychodził nieraz wraz z całą rodziną, aby posłuchać mojej gry na trąbce.

Kapitan Vern swoim uśmiechem i wyglądem przypominał mi mojego ulubionego komika filmowego Stana Laurela. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, spojrzał na mnie z tak życzliwym uśmiechem, że wydało mi się nagle, jakbym go znał przez całe życie, i to uczucie zostało mi do końca pracy na statku. Statki linii Streckfusów dawały wielu pracującym na nich ludziom dobre utrzymanie.

W ostatnim tygodniu pobytu w Nowym Orleanie, kiedy przygotowywaliśmy się do wyruszenia w górę rzeki do Saint Louis, poznałem fajnego młodego białego chłopaka o nazwisku Jack Teagarden. Przyjechał do naszego miasta z Houston w Teksasie, gdzie grał w zespole Pecka Kelly'ego. Gdy pierwszy raz usłyszałem Teagardena na puzonie, dostałem z wrażenia gęsiej skórki; nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie pięknego. Jack poznał się ze wszystkimi chłopcami z naszej orkiestry, a także z kapitanem Joe, który jako wielki miłośnik muzyki chętnie zawierał znajomość z każdym dobrym muzykiem, często zapraszając go do grania na którymś ze swoich statków. Na pokładach jego parowców gościły niektóre spośród najlepszych białych zespołów, a także wielu świetnych kolorowych instrumentalistów.

Po tym pierwszym spotkaniu z Jackiem Teagardenem nie widziałem się z nim przez wiele lat, ale zawsze z zainteresowaniem śledziłem jego karierę i jego stały rozwój. Od chwili naszego poznania łączyła nas zawsze przyjaźń i pokrewieństwo muzyczne.

Wreszcie wszystko było już gotowe do podróży, opuściłem więc moje kochane miasto rodzinne, aby podróżować od miasta do miasta w górę i w dół leniwej rzeki Missisipi, grając na kornecie. Orkiestra Fate Marable'a położyła spore zasługi w przełamywaniu pewnych barier rasowych wzdłuż biegu Missisipi. W większości miast, do których przybijał nasz statek, a zwłaszcza w tych mniejszych, byliśmy pierwszym kolorowym zespołem, jaki widziano. Biali mieszkańcy nie byli przyzwyczajeni do widoku czarnych chłopców grających dla nich świetną muzykę do tańca. Z początku w trakcie grania często spotykały nas różne przykrości i nieraz musieliśmy wysłuchiwać złośliwych uwag. Ponieważ większość z nas pochodziła

z Południa, byliśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju gadaniny, swingowaliśmy więc dalej, jak gdyby nic się nie stało. I zazwyczaj jeszcze przed końcem wieczoru stawaliśmy się ich ulubieńcami.

Nie było końca pochwałam i prośbom o ponowne odwiedziny.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy pojechałem z Nowego Orleanu do Saint Louis pociągiem, aby przyłączyć się tam do zespołu na statku „Saint Paul”.

Pierwszy raz w życiu odbywałem taką długą podróż koleją. Ani ja, ani moja żona i matka nie mieliśmy pojęcia, ile czasu taka podróż może potrwać. Mayann dała mi na drogę lunch, który składał się z ogromnego sandwicza z rybą i dużego słoika zielonych oliwek. Tym samym pociągiem co ja jechał nasz melofonista David Jones. Był on jednym z tych zarozumiałych facetów, którzy myślą, że pozjadali wszystkie rozumy. Widział, jaki byłem niedoświadczony, ale nie kiwnął nawet palcem, aby ułatwić mi tę podróż. Był znacznie starszy ode mnie, z wędrownymi trupami widowiskowymi i cyrkami podróżował już wtedy, kiedy ja nosiłem krótkie spodenki.

Po przybyciu do Galesburga w stanie Illinois musieliśmy się przesiąść do innego pociągu, a ja miałem ręce pełne gratów, które z sobą wiozłem. Prócz kornetu miałem starą zniszczoną walizkę, która wyglądała tak, jak gdyby pamiętała czasy prezydenta Waszyngtona. Do tej torby (jak wówczas nazywaliśmy walizkę) Mayann zapakowała wszystkie moje rzeczy, które trzymałem u niej z powodu częstych kłótni z Daisy. Walizka była tak bardzo wypchana, że nie starczyło w niej już miejsca nawet na słoik oliwek. Musiałem go więc nieść razem z sandwiczem w jednej ręce, a kornet i walizkę w drugiej.

To była podróż!

Konduktor przechodził wzdłuż pociągu i wołał:

- Galesburg! Wysiadać!

Dodawał do tego soczyste „wiązanki”, które jednak nie robiły na mnie najmniejszego wrażenia; dopiero kiedy krzyknął: „Przesiadka do Saint Louis!”, postawiłem uszy jak zajac.

Złapałem wszystkie swoje rzeczy z takim przejęciem, że nie zauważyłem, jak rozluźniła się zakrętka od słoika z oliwkami, mimo to jednak udało mi się jakoś wysiąść wraz z całym ładunkiem. Peron zatłoczony był ludźmi śpieszącymi w różnych kierunkach. Davidowi Jonesowi polecono, aby się mną opiekował w czasie podróży, ale on wcale tego nie robił; był po prostu znudzony. Zachowywał się w stosunku do mnie tak, jakbym był jednym z owych nieznanomych kolorowych chłopaków. W każdym razie chciał, aby takie wrażenie odnieśli ludzie na stacji. Nagle zza zakrętu wyłonił się pociąg, który pędził - jak mi się wydawało - z ogromną prędkością. Jeden z pasażerów, biegnąc, aby zająć wygodne miejsce,

wpadł na mnie i wytrącił mi z ręki oliwki. Słoik rozbił się w drobny mak, a oliwki potoczyły się po całym peronie. David Jones momentalnie odszedł ode mnie, nawet nie oglądając się za siebie. Szkoda mi było tych smacznych oliwek, ale gdy koniec końców znalazłem się w pociągu, w ręce wciąż jeszcze trzymałem sandwicza z rybą. Przynajmniej to udało mi się ocalić.

Zaczynałem mieć już dosyć „pana” Jonesa, więc podszedłem do niego i powiedziałem mu, co o nim myślę, że za bardzo zadziera nosa i tak dalej. I nie odezwał się do niego więcej aż do samego Saint Louis. A tam właśnie on stał się obiektem wesołości. Było naprawdę zimno, a on miał na sobie jedynie letni płaszcz oraz słomkowy kapelusz! Kiedy usłyszałem ten wybuch śmiechu, jaki rozległ się na widok Davida Jonesa wysiadającego w tym stroju z pociągu, sam o mało co nie pękłem ze śmiechu.

Ale jego kłopot był poważniejszy od moich oliwek, tak że w końcu zacząłem mu współczuć. Chociaż jako człowiek o dużym doświadczeniu powinien był jednak przewidzieć, że może być zimno. O to, że się z niego śmiałem, nie mógł mieć do mnie pretensji choćby dlatego, że przedtem sam się nieładnie zachował w stosunku do mnie. Później zaprzyjaźniliśmy się i wtedy właśnie zaczął mnie uczyć czytania nut.

Kiedy wieczorem przybyliśmy do Saint Louis, byłem zdumiony widokiem wielu wysokich budynków, jakich nie było w moim rodzinnym mieście. Nie mogłem sobie wyobrazić, do czego one wszystkie mogą służyć. Strasznie mi się chciało kogoś o to zapytać, ale bałem się wyjść na durnia z powodu własnej naiwności. W końcu zdobyłem się na odwagę i spytałem o to Fate Marable’a, gdy byliśmy w drodze do hotelu.

- Oj, chłopcze - powiedział Fate - nie róbże z siebie takiego frajera.

Pomyślałem wtedy, że chyba jednak lepiej bym zrobił, trzymając język za zębami, tak jak mi to od początku mówiło przecucie.

Rozdział XII

W miarę upływu czasu zaczynałem być we wszystkim coraz bardziej oblatany. Niejednego na temat życia i ludzi dowiedziałem się grając w kości z kelnerami, majtkami pokładowymi, muzykami oraz innymi amatorami hazardu. Bywało, że od razu po zejściu z podium zaczynaliśmy grę i graliśmy przez całą noc, a czasem nawet przez cały dzień aż do następnego wieczora. Wiele razy zdarzało mi się wygrać, ale przeważnie przegrywałem. Kelnerzy, majtkowie i muzycy byli w grach hazardowych starymi wygami. Chociaż nie lubiłem przegrywać, tak samo jak każdy inny grający na pieniądze, jednak nie przeżywałem tak mocno swoich klęsk jak niektórzy bardziej ode mnie doświadczeni gracze, bo nie byłem przyzwyczajony do stałego posiadania większej czy nawet i mniejszej gotówki.

Kiedy wypłacano nam forszę, nie wiedziałem, co za nią kupić, nabywałem więc mnóstwo tanich drobiazgów po pięć i dziesięć centów, ażeby po przyjeździe do Nowego Orleanu rozdać je dzieciakom z naszej dzielnicy. Nie musiałem już martwić się o Daisy i matkę - obie miały dobrą pracę. Moja siostra Beatrice była na Florydzie z mężem, który pracował w tartaku, więc jej także nie musiałem nic posyłać. Żyłem więc od wypłaty do wypłaty, szastając pieniędzmi na prawo i lewo, i uważałem się za najszczęśliwszego młodego muzyka na świecie.

Kiedy wstąpiłem do orkiestry Fate'a, ważyłem tylko sto czterdzieści funtów. Kiedyś jednak po dłuższym okresie swawolnego życia zaatakowało mnie przeziębienie. Zapytałem wtedy Davida Jonesa, jakie lekarstwo by mi radził.

- Kup butelkę Emulsji Scotta i zażywaj regularnie, dopóki wszystkiego nie wypijesz.

Posłuchałem jego rady i w przeciągu tygodnia utylłem tak bardzo, że po powrocie do Nowego Orleanu musiałem sobie kupić spodnie jak na grubasa.

Od tego czasu nigdy już nie powróciłem do tamtej „koguciej” wagi. Przeziębienie, oczywiście, też mi przeszło.

W trakcie jednej z całodziennych wycieczek na parowcu „Saint Paul” zdarzył się zabawny przypadek. Statek zatłoczony był po brzegi pasażerami, a zespół swingował jak diabli. Byliśmy właśnie w połowie drogi między Alton i Quincy, kiedy jakiś biały chłopiec założył się z kolegą, że skoczy ze statku do rzeki, i naprawdę skoczył. Widząc to, majtkowie zaczęli wołać:

- Człowiek za burtą! Człowiek za burtą!

Wszyscy rzucili się do burty, a to spowodowało, że statek przechylił się niebezpiecznie na jedną stronę. Ludzie nie bardzo wiedzieli co się naprawdę stało, zaczęli więc biegać po statku i krzyżeć. Wybuchła prawdziwa panika. My, muzycy, pozostaliśmy na podium, grając w najlepsze, kiedy podbiegł kapitan i zawołał:

- Grajcie dalej! Grajcie dalej!

Graliśmy więc Tiger Rag, dmąc co sił w płucach, dopóki większość ludzi się nie uspokoiła.

Chłopak był dobrym pływakiem i miał już niedaleko do brzegu, kiedy kapitan wysłał po niego szalupę. Tamten nie chciał jednak wracać i załoga łodzi dobrze musiała przyłożyć się do wiosł, aby go dogonić. Pasażerowie znowu rzucili się do burty, chcąc zobaczyć wyścig, a statek znów się przechylił.

- Grajcie dalej! Grajcie dalej! - nie przestawał krzyżeć kapitan.

W końcu chłopak znalazł się z powrotem na pokładzie i został wzięty pod klucz. Kapitan i załoga chcieli spuścić mu lanie, ale doszli do wniosku, że to jeszcze dziecko, i oddali go policji, kiedy tylko statek przybył do Saint Louis.

Podczas tych rejsów na pokładzie często wybuchały bójki. Wtedy załoga starała się zaprowadzić porządek. Członkowie orkiestry nigdy się do tego nie wtrącali. Byliśmy kolorowi i wiedzieliśmy, co to dla nas oznacza. Nie wolno nam było w żadnym wypadku mieszać się z białymi gośćmi. Byliśmy po to, żeby grać dla nich dobrą muzykę, i to wszystko.

Jednak wszyscy lubili nas i naszą muzykę i traktowali nas po królewsku. Ja oraz kilku innych muzyków z zespołu Marable'a pochodzących z Południa rozumieliśmy to wszystko i nigdy nie mieliśmy o to pretensji. Zawsze lubiłem swoich białych znajomych, a oni nigdy nie skąpili mi dowodów sympatii dla mnie i dla mojej muzyki. Nigdy nie spotykały mnie pod tym względem żadne przykrości, a tylko szacunek i uznanie: Wielokrotnie biali znajomi zapraszali mnie i moich kolegów do swoich domów na poczęstunek, nierzadko składający się z najlepszych dań i najwykwintniejszych trunków, o jakich można sobie było tylko zamarzyć, ale jakich nie byłbym w stanie sam sobie kupić.

Miałem szczęście pracować z muzykami, którzy nie pili za dużo podczas pracy; takie picie może stać się przyczyną wielu kłopotów. Po raz pierwszy przekonałem się o tym jeszcze jako bardzo młody chłopak, gdy zacząłem grać w knajpach. Nie miałem wtedy pojęcia, jak paskudnie może się człowiek czuć po całonocnej popijawie. Miałem siedemnaście lat, gdy któregoś dnia kumple przynieśli mnie do domu do Mayann pijanego jak bela. Nie robiła mi żadnych wymówek, choć byłem całkiem wykończony. Owiązała mi głowę ręcznikiem

z lodem i położyła mnie do łóżka. Potem dała mi na przeczyszczenie, a chłopakom kazała iść do domu.

- To lekarstwo dobrze mu zrobi. Kiedy rano zje porządne śniadanie, będzie jak nowo narodzony - powiedziała.

I rzeczywiście tak było.

Moja matka zawsze potrafiła każdemu szybko pomóc w najpoważniejszych dolegliwościach. Pochodziła z miasteczka Butte w stanie Luizjana. Jej rodzice byli niewolnikami, a ona sama klepała biedę przez całe życie. Musiała więc nauczyć się radzić sobie sama w najtrudniejszych sytuacjach. Mój ojciec był prostym robotnikiem, który przez całe swoje życie niczego się nie dorobił. Rodziców Mayann nie stać było na lekarza, więc gdy któreś z dzieci zachorowało, zbierali zioła na torach kolejowych, gotowali je i dawali choremu dziecku do picia lub nacierali je wywarem. Możecie mi wierzyć - taka kuracja działała wprost magicznie. Chory dzieciak migiem przychodził do siebie i był zdrow jak ryba.

Fakt, że Mayann zobaczyła mnie pijanego, wprowadził mnie w takie zakłopotanie, że usprawiedliwiałem się po sto razy.

- Mój synu - powiedziała na to - musisz sam decydować o własnym życiu. Będziesz musiał iść przez świat zupełnie sam. Powinieneś więc doświadczyć wszystkiego, żebyś mógł ocenić, co dobre, a co złe. Nie mogę cię tego nauczyć, sam musisz to zdobyć. Bo nikt inny na świecie nie jest w stanie osądzić lepiej niż ty, co jest dla ciebie dobre. Nie miałabym odwagi krzyczeć na ciebie za tych parę kieliszków. Ja, twoja matka, piję zawsze, kiedy tylko mam na to ochotę. I nieraz też niezgorzej sobie pociągnę. Ale umiem zachować umiar, tak że nie kończy się to chorobą.

Potem pouczyła mnie, jak powinienem postępować, kiedy znowu będę miał ochotę się napić. Nie kazała mi obiecywać, że już nigdy nie będę pił; na takie postanowienia byłem jeszcze za młody.

- Sam siebie jeszcze nie znasz, synu - dodała. Nie wiesz jeszcze, czego będziesz w życiu chciał.

Ej. Powiem ci coś. Może byśmy się wybrali któregoś wieczoru na wędrowną po okolicznych knajpach? Pokazałabym ci wtedy, jak można napić się i naprawdę dobrze się zabawić.

- To by było bardzo fajne, mam - ucieszyłem się. - To by było po prostu cudowne móc wybrać się z tobą na taką wesołą wyprawę.

Poczułem się jak prawdziwy mężczyzna, który wybiera się z damą do najelegantszych lokali w naszej dzielnicy, do honky-tonków. Przez cały tydzień oczekiwałem

z niecierpliwością na swój wolny wieczór, kiedy to będę mógł wybrać się z Mayann na planowany wypad.

Wreszcie nadszedł ten dzień, a ja miałem kieszeń pełną forsy. Dostawaliśmy mnóstwo napiwków od dobrze prosperujących prostytutek, które przychodziły do naszej knajpy i zamawiały różne melodie dla siebie i swoich stałych klientów. Czasem te dziewczyny dawały nam pieniądze bez specjalnych powodów. Cizie lubiły, jak ich faceci wydawali pieniądze, bo i tak nie mogły wyciągnąć od nich naraz całej tej forsy dla siebie, a do nas czuły sympatię.

Rozpoczęliśmy swoją wyprawę z Mayann od knajpy Savocasa na rogu Saratoga i Poydras. Było to miejsce spotkań, a także wypłat dla robotników pracujących w porcie rzeczonym przy rozładunku bananów. Wiele razy stałem tam w kolejce po swoją wypłatę i wiele razy szedłem prosto stamtąd do stołu gry, gdzie przegrywałem wszystkie pieniądze.

Ale nie przejmowałem się tym; chciałem przebywać w towarzystwie starszych facetów - sympatycznych kanciarzy, alfonsów i muzyków. Lubilem też ich język.

Knajpka Savocasa była znana jako jedna z najbardziej podejrzanych spelunek na świecie, ale mnie, który wychowałem się w tej dzielnicy, wcale ta reputacja nie przerażała. Wszyscy bywalcy tego lokalu znali dobrze moją matkę i mnie. Mayann prała i prasowała bieliznę przesiadujących tam dziewczyn oraz ich kompanów, otrzymując za to dobrą zapłatę.

W sobotnie wieczory ci faceci lubili wkładać specjalne niebieskie bluzy i spodnie z szelkami, co bardzo przypominało kombinezon. Uważali, że ten strój przynosił szczęście im, a także ich dziwkom. Wybierając się w kurs dziewczyny wkładały na siebie bardzo krótkie sukienki i najlepsze jedwabne pończochy. Demonstrowały w ten sposób swoje zgrabne, długie nogi. Wszystkie przeważnie lubiły mnie, bo byłem młody, rezolutny i umiałem grać bluesa w ich guście. Kiedy udawało im się zarobić więcej forsy, przychodziły nad ranem do knajpy i kierowały się prosto w stronę podium. Zauważywszy je kątem oka, mrugałem do pianisty Boogusa i perkusisty Garbee'ego, żeby się ustawili na dobre napiwki. Boog'us zaczynał wtedy jakiegoś starego fajnego bluesa, a dziewczyny aż piszczały z zachwytem.

Gdy tylko schodziliśmy z podium na krótką przerwę, zawsze któraś z obecnych dziewczyn mówiła do mnie:

- Chodź no tu, ty śliczny sukinsynku, i usiądź mi na kolanach!

Uh! Możecie sobie wyobrazić, jakie to robiło wrażenie na takim smarkaczu, jakim ja wtedy byłem.

Z wielkiego podniecenia pot występował mi na czoło. „Jestem za młody, żeby zadowolnić taką wyrafinowaną kobietę” - myślałem sobie. „Ona zawsze może mieć kogoś lepszego niż ja. Dlaczego czepia się właśnie mnie? Może przecież mieć najlepszych alfonsów”

(zawsze miałem kompleks niższości w stosunku do alfonsów).

Zawsze też bałem się dziwek, mając w pamięci tę, która wyciągnęła niespodziewanie nóż i zraniła mnie w ramię. One jednak dalej na mnie nastawały. Muszę się przyznać, że od czasu do czasu - mimo obaw nie mogłem oprzeć się pokusie i ulegałem co powabniejszym.

Powróćmy jednak do tego wieczora, kiedy z Mayann wybraliśmy się, by trochę się zabawić. Od Savocasa poszliśmy na róg do knajpy Spanola. Ledwie weszliśmy, a już wszyscy zaczęli się z nami witać.

- Gdzież ty się podziewasz? - pytali Mayann. To miło znów cię zobaczyć.

A potem zakrzyknęli:

- Matka z synem robią dziś rundę po knajpach!

Powinno to nam wszystkim przynieść szczęście!

- Daj mi kartę za dwadzieścia dolarów! - wołał znany karciarz do trzymającego bank. - Czuję, że mi się dziś cholernie powiedzie!

Tego wieczora nie mieliśmy oboje okazji wydać zbyt dużo pieniędzy. Kto tylko mógł, stawiał nam whisky. Pierwszy raz mieli okazję widzieć nas razem.

Przez cały czas Mayann pouczała mnie, jak należy pić. Słuchałem uważnie, bo chciałem jak najwięcej wynieść z tej lekcji. W lokalu mojego szefa, Henry Matrangi, on sam postawił nam kolejkę.

- Ma pani fajnego syna - powiedział do Mayann. - Wszyscy, którzy tu przychodzą, bardzo go lubią. I jesteśmy pewni, że kiedyś będzie świetnym muzykiem. Ma do tego serce.

Mayann wypięła z dumą pierś.

- Bogu dzięki - rzekła. - Nigdy nie byłam w stanie dać synowi przyzwoitego wykształcenia, na jakie zasługiwał. Zawsze wiedziałam, że ma talent.

Nie mogłam jednak zrobić nic więcej, jak tylko modlić się do Wszechmogącego, żeby nim kierował i pomagał mu. I moje modlitwy zostały wysłuchane.

Bóg w niebie widzi, jaka jestem dumna z mojego chłopaka. Dziękuję też panu, Mr. Matranga, że przyjął go pan do pracy w swoim lokalu, wiedząc, że nie ma on odpowiedniego doświadczenia. Był pan dla niego wyrozumiały i Bóg to panu wynagrodzi. Będę o panu pamiętała przy każdym wieczornym pacierzu. Przy takiej pomocy i życzliwości was wszystkich Louis na pewno do czegoś dojdzie.

W tym momencie wszedł do baru wykidajło Slippers i wrzasnął:

- Hello, Mayann! Jak pragnę zdrowia! Co ty tu dzisiaj robisz?

Kiedy Mayann powiedziała mu, że robimy razem rundę po knajpach, stwierdził, że czegoś tak fajnego dawno już nie widział, i uparł się, żebyśmy razem z nim wypili kolejkę.

Oboje z matką mieliśmy już wtedy nieźle w głowach, a nie odwiedziliśmy jeszcze nawet połowy zaplanowanych knajp. Byliśmy jednak zdecydowani obejść je wszystkie; taka była umowa i nie mieliśmy zamiaru z niej się wycofywać. Czuliśmy się świetnie wśród ludzi, którzy nas lubili i mówili naszym językiem. Wiedzieliśmy, że jesteśmy wśród swoich, i tylko to się liczyło. Przestało nas obchodzić życie toczące się na zewnątrz knajpy.

Slippers, który powinien być już w sali gier, żeby mieć oko na podejrzanym gości, został z nami w barze. Musiał przecież opowiedzieć Mayann, jaki dobry byłem „na tej przepiórcie”.

- Mayann, ten twój chłopak naprawdę powinien pojechać na Północ i grać tam z fajnymi dęciakami.

- Dziękuję, Slippers! - powiedziała Mayann, wychylając kolejnego drinka i lekko się zacinając. Dziękuję, Slippers. Wiesz... jestem dumna z tego chłopca. On jest dla mnie wszystkim. On i jego siostra, Mama Lucy. Oczywiście ich niegodziwy ojciec nigdy nie zrobił nic dobrego dla swych dzieci tylko ich ojczymowie. Dobrze, że miały przynajmniej dobrych ojczymów; inaczej - nie wiem, co by te dwa dzieciaki zrobiły.

Mayann wychyliła następnego drinka, a w tym samym momencie ktoś krzyknął z sali gier:

- Slippers! Slippers! Chodź no tu szybko! Jest tu taki jeden obcy, co nie chce oddać przegranych pieniędzy!

Slippers jednym susem znalazł się w tylnej sali.

W mgnieniu oka złapał faceta za portki i zataszczył go do drzwi wyjściowych. Potem kopnął go w tyłek i powiedział:

- Wypieprzaj stąd, ty czarny sukinsynu! I niech cię tu więcej moje oczy nie widzą!

I po krzyku. Nikt nie miał odwagi zacząć ze Slippersem. Umiał się dobrze posługiwać pistoletem i pięściami. Potrafił walczyć w sposób uczciwy albo też nie przebijając w środkach - zależnie od tego, jaki rodzaj walki wybrał delikwent. Ale był najlepszym facetem, jakiego kiedykolwiek Pan Bóg stworzył. Kochałem go, jakby był moim rodzonym ojcem. Kiedy byłem w pobliżu takich facetów jak Slippers czy Black Benny, czułem się bezpiecznie.

Już samo przebywanie w ich towarzystwie sprawiało mi wielką frajdę.

Kiedy tamten gość znalazł się już za drzwiami, dokończyliśmy swoich drinków. A właściwie to próbowaliśmy ich dokończyć, ale one ustawiły się do nas po prostu w kolejce. Pożegnaliśmy się wreszcie z Matrangą i znajomymi i powędrowaliśmy sobie weso-

ło do knajpy Joe Segretty na rogu Liberty i Perdido - ulicy, która stała się tak sławna, że aż Duke Ellington poświęcił jej jeden ze swoich utworów.

U Segretty można było dostać ekstrakt rumu „Jamajka” po piętnaście centów za butelkę. Wszyscy to zamawiali, dodając około pół szklanki wody, więc my z Mayann też tak zrobiliśmy. Po wypiciu takiego drinka stało się coś, czego zresztą od razu można się było spodziewać - po prostu ścięło nas z nóg.

Zauważyłem, że oczy Mayann robią się szklane, mimo to pytała mnie co chwila:

- Dobrze się czujesz, synu?

- No chyba! Świetnie się bawię, mammo!

- Jak będziesz chciał iść do domu, to powiedz tylko, a zaraz się urywamy.

Ja jednak wciąż czułem się świeży jak nowo narodzone dziecko. Trzymałem się tego dnia, jak gdyby alkohol w ogóle na mnie nie działał. Byliśmy z matką już po dwóch butelkach „Jamajki”, kiedy naprawdę zaczęło robić się późno. Widziałem, że matka jest już nieźle zalana, ale nie chciałem iść do domu, nie wstąpiwszy przedtem do lokalu Henry Ponce’a po drugiej stronie ulicy. Był to - jak już wiecie - ten przystojny Francuz z dawnych dobrych czasów Storyville i rywal Joe Segretty. Joe wolałby pewnie spotkać na ulicy tygrysa niż Henry Ponce’a.

Henry Ponce darzył mnie sympatią, a ja także bardzo go lubiłem. Z wielką przyjemnością oglądałem te wszystkie piękne kobiety o wszelkich możliwych odcieniach skóry, które przychodziły do Trzeciej Dzielnicy specjalnie po to, żeby się z nim zobaczyć. Oczywiście nie podobała im się okolica, w której Henry osiadł po wysiedleniu ze Storyville, ale kochały się w nim. Te kobiety dawały nam duże napiwki, kiedy graliśmy ich ulubione melodie. Nie ma co - z Ponce’a był kawał chłopca! Należał do tych, co to mało mówią, a dużo robią.

Kiedy tylko przekroczyliśmy próg jego knajpy, od razu mnie zobaczył i wybiegł z baru, aby się ze mną przywitać. Przedstawiłem mu Mayann, której nie znał.

- Ogromnie mi miło panią poznać - powiedział. - Jest pani matką naprawdę dobrego chłopca.

Jest dobrze wychowany, pracuje z wielkim zapałem i nigdy nie miałem z nim najmniejszego kłopotu. Naprawdę bardzo się cieszę, że panią poznałem. Pani syn jest ambitny i zależy mu na tym, żeby do czegoś dojść. Przyglądałem mu się uważnie, kiedy pracował u mnie i grał od ósmej wieczorem do czwartej rano. Wiedziałem, że całymi dniami pracował wtedy w składzie węgla, i zupełnie nie mogłem zrozumieć, jak on potrafi to wszystko wytrzymać. Chcę, żeby pani wiedziała, że on myśli poważnie o swojej przyszłości.

Barman przyniósł nam kolejkę i oczywiście nie wylaliśmy tego za kołnierz. Potem trzyosobowy zespół, który zaczął pracować tam po nas, zagrał jakiś skoczny kawałek, a ja zatańczyłem z Mayann. Zauważyłem wtedy, że ziewa, ale nie powiedziałem ani słowa.

Po skończonym tańcu wróciliśmy do stolika dopić swoje drinki, a potem wstaliśmy, chcąc już iść do domu. Mayann ruszyła w kierunku Henry Ponce'a, aby się z nim pożegnać. Nogi jednak zupełnie odmówiły jej posłuszeństwa, tak że po kilku zaledwie krokach padła plackiem na podłogę. Nie zdając sobie sprawy z tego, że jestem równie dobry jak ona, pośpieszyłem ją podnieść, ale gdy tylko się schyliłem, wyciągnąłem się jak długi obok niej. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Matka miała poczucie humoru, które nie opuszczało jej niezależnie od tego, czy była trzeźwa czy pijana, więc przyłączyła się do ogólnej wesołości. I wszyscy zaczęliśmy zrywać boki ze śmiechu.

Ojczym Gabe stał na rogu po drugiej stronie ulicy, koło knajpy Joe Segretty. Nie zastał nikogo w domu, więc zaczął nas szukać po okolicy, dopóki ktoś nie skierował go do Ponce'a. Kiedy zobaczył, co się z nami stało, przybiegł ze śmiechem i pomógł się nam podnieść. Starał się, jak umiał, doprowadzić do porządku kapelusz i włosy Mayann, po czym skierował się z nami do drzwi, uśmiechając się do wszystkich obecnych. Po drodze przystanął, aby uściśnąć rękę Henry Ponce'owi i powiedzieć mu, że uważa go za szlachetnego człowieka. Podziękował mu za to, że dał mi szansę grania w jego lokalu, choć korzystniejsze byłoby dla niego zatrudnienie starszego muzyka. Ponce odpowiedział, że starszy muzyk nie miałby tego, co miałem ja, młody chłopak, to znaczy szczerości i twórczego talentu, który na pewno zostanie kiedyś szeroko doceniony. Gabe nie rozumiał tych wielkich słów, ale podziękował jeszcze raz Ponce'owi i wyszedł podtrzymując nas oboje mocnymi ramionami.

Kiedy wyruszyliśmy w stronę domu znajdującego się tylko o jedną przecznicę dalej, zaczynało już świtać i ulica była prawie pusta. Zataczaliśmy się potężnie, pociągając za sobą Gabe'a z jednej strony chodnika na drugą. Nieliczni przechodnie, na nasz widok, musieli sobie pewnie pomyśleć, że Gabe jest nie mniej pijany niż Mayann i ja. On jednak potraktował całą sprawę zupełnie zwyczajnie.

- Synu - powiedziała nazajutrz Mayann - teraz jestem pewna, że wiesz już, jak pić. Sądząc po wczorajszej nocy, potrafisz już radzić sobie sam.

A ja już teraz wiem to, co chciałam wiedzieć. Gdyby coś się ze mną stało, sam dałbyś sobie radę.

Poczułem się bardzo dumny z siebie.

Opowiedziałem o tej swojej wyprawie z matką w związku z tym, co mówiłem o muzykach, którzy nie upijają się podczas pracy. Teraz opowiem o przykrym wypadku, jaki

zdarzył się pewnej letniej nocy na statku „Saint Paul” w niewielkim mieście w stanie Iowa. Pływaliśmy od szeregu dni w górę i w dół rzeki, grając co noc gdzie indziej. Do tej miejscowości przybiliśmy dość wcześnie, jeszcze za dnia, dzięki czemu mogliśmy zejść na brzeg i rozejrzeć się trochę po mieście. Coś takiego rzadko się nam zdarzało; zazwyczaj po zakończeniu każdego „księżycowego” rejsu odpływaliśmy i przez cały dzień byliśmy w drodze.

Tego właśnie dnia Baby Dodds spotkał swoich starych kumpli, którzy zaprowadzili go do pewnego domu, gdzie alkohol lał się strumieniami. Baby zapomniał, że ma tej nocy grać, i wypił o wiele za dużo. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że kiedy Baby zaczął pić, to nie było na niego sposobu, nie licząc oczywiście takich, których się nie stosuje wobec tych, których się lubi.

Baby przybył na statek z opóźnieniem, ale to był dopiero początek. Kiedy wszedł na podium, zaczął kiwać się nad bębnami na oczach tłumu białych gości przybyłych na zabawę. Aby zatrzeć przykre wrażenie, Fate Marable natychmiast rozpoczął utwór.

Dęliśmy co sił w płucach, chcąc zagłuszyć potknięcia Doddsa, który strasznie „obciągał” tempo. Wszyscy chłopcy byli wściekli, ale próbowali ratować sytuację. W końcu Baby poczuł się obrażony i zaczął głośno wyzywać nas od czarnych bękartów. Dla nas to nie miało większego znaczenia, ale słyszeli to wszyscy goście, a to już była inna sprawa.

Fate zarządził przerwę, którą zazwyczaj spędzaliśmy na rufie, przyglądając się spienionej wodzie zostającej za statkiem. Teraz zawołał Doddsa i próbował z nim porozmawiać. Uważał, że lepiej będzie, jak on sam spróbuje go uspokoić, zamiast żeby się w to wtrącał jakiś biały. Jednak nic z tego nie wyszło. Baby coraz głośniej krzyczał i coraz więcej przeklinał. Wtedy ja wkroczyłem do akcji. Byłem bliskim przyjacielem Baby’ego i nie raz udało mi się go już uspokoić podczas innych awantur. Byłem pewny, że jeśli spróbuję odciągnąć go na bok i pogadać z nim, to posłucha mnie. Uchroniłoby go to od nieprzyjemności przynajmniej do końca imprezy.

Baby właśnie odgrażał się, że rąbnie kogoś w nos, kiedy podszedłem do niego.

- Baby, przestań mówić takie rzeczy - zacząłem go uspokajać. - Przecież nie uderzyłyś nikogo, no nie?

- A żebyś wiedział, że tak, do cholery! - odpowiedział.

- Mnie byś przecież nie uderzył, prawda? - zapytałem, oczekując zaprzeczenia.

- Rąbnę i ciebie, i bossa - usłyszałem jednak w odpowiedzi.

No, cóż, tego już było za wiele. Wycofałem się i usiadłem w kącie, a Baby dalej wściekał się i klął jak diabli. Naraz podszedł do niego wysoki i krzepki kapitan Johnny Streckfus i poprosił go grzecznie, aby przestał kląć, bo słuchają tego wszystkie kobiety

i dzieci na pokładzie. Ku mojemu zdziwieniu Baby powiedział mu, dokąd ma pójść i co ma zrobić. „Boże, miej Baby’ego w swojej opiece!” - pomyślałem.

Kapitan Johnny chwycił go za szyję swoimi silnymi rękami i zaczął dusić, aż Baby poczerwieniał na twarzy.

Dodds, który tak się na nas rzucał, teraz stał się potulny jak baranek. To był okropny widok. Zimny pot wystąpił na nas, kiedy obserwowaliśmy tę scenę, ale żaden z nas nie powiedział: „Niech pan go przestanie dusić!”, nikt nie poprosił o litość dla niego. Byliśmy zbyt napięci i za bardzo wściekli na Baby’ego, aby się za nim wstawiać. Kapitan Johnny puścił go dopiero wtedy, gdy ten padł na kolana i zemdłał.

Musieliśmy wrócić na podium i grać bez Doddsa.

Później Fate podszedł do kapitana i poprosił go o wybaczenie nam tego incydentu. Wreszcie, dzięki Bogu, jakoś się ta noc skończyła, a wraz z nią także ta najgorsza i najprzykrzejsza pijacka scena, jaką kiedykolwiek widziałem. Ale teraz, kiedy spotykamy się z Doddsem, obaj się z tego wydarzenia śmiejemy.

Praca na statku, z tymi znakomitymi muzykami była dla mnie cennym doświadczeniem. Od jednych nauczyłem się nowych sposobów grania, dzięki innym ustrzegłem się przed złymi nawykami. Na przykład David Jones głodował przez całe lato, gdy graliśmy na „Saint Paul”. Oszczędzał aż do przesady, a wszystkie pieniądze wysyłał na farmę na Południe, gdzie jego krewni i najemni robotnicy uprawiali dla niego bawełnę, gospodarując, jak im na to pozwalały jego oszczędności. Potrafił jeść codziennie jabłko zamiast dobrego gorącego posiłku. A jaki był tego rezultat? Zanim bawełna dojrzała, zniszczyły ją szkodniki. Nie zdążył nawet obejrzeć swojej farmy, kiedy dostał telegram z zawiadomieniem, że wszystko szlag trafił. Po tym wypadku David Jones spędzał każdą przerwę, stojąc oparty o burtę, patrząc w wodę i rozmyślając o straconej forsie. Często mówiłem do Fate Marable’a:

- Fate, miej oko na Davida Jonesa. On w każdej chwili może skoczyć do wody.

Ten przypadek przekonał mnie, że nie warto oszczędzać na żołądku. Nigdy, od dziecka, nie miałem ochoty robić samemu sobie na złość, czyli jak to się mówi - „na złość twarzy obcinać sobie nos”. I uważam, że to jest słuszne. Prawdopodobnie nigdy nie będę bogaty, ale za to będę gruby.

Nigdy nie odmawiałem sobie rzeczy, które uważałem za naprawdę konieczne, ale też wiele jest rzeczy, o które nigdy nie zabiegałem, na przykład nigdy nie pragnąłem mieć szafy pełnej garniturów. Widziałem facetów, którzy mieli po dwadzieścia pięć czy trzydzieści ubrań naraz, i jaki był z tego pożytek?

Zanim zdążyli je wszystkie choć trochę ponosić, przeważnie były już zjedzone przez mole. Ja mam tyle ubrań, ile potrzebuję, włączając w to stroje do występów. Ale zawsze podawałem rękę potrzebującym pomocy, kiedy tylko mogłem, a przeważnie mogłem. I tak będę robił zawsze do końca życia, a żyć będę chyba bardzo długo, powyżej setki.

Po tym pierwszym rejsie do Saint Louis popłynęliśmy w górę rzeki do Davenport w stanie Iowa, gdzie wszystkie statki Streckfusów zawijały na zimę. Tam właśnie poznałem wielkiego Bixa Beiderbecke'a, geniusza kornetu. Zнали go i podziwiali muzycy całego świata. Bix zdobył wielką sławę, a my wszyscy traktowaliśmy go jak boga. Na jego widok rozjaśniały się nam twarze, a widywaliśmy go, niestety, nieczęsto.

Pod koniec pierwszego sezonu na „Saint Paul” ostatni raz graliśmy w Saint Louis na „księżycowym” rejsie dla kolorowych. Statek był wypełniony po brzegi. Podczas rejsu nagle wybuchła na pokładzie sprzeczka i jakieś podejrzane typy z przedmieścia wyciągnęły rewolwery. O Boże! Nigdy nie widziałem naraz tylu kolorowych ludzi ogarniętych paniką. „Wygląda na to, że będzie jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy tamten chłopak wyskoczył za burtę - pomyślałem sobie. Tak samo jak wtedy kapitan kazał nam nie przerywać grania, a ja znowu zacząłem się rozglądać, którędy by tu uciec. To była naprawdę gorąca noc, ale w końcu statek bezpiecznie przybił do brzegu i tylko paru pasażerów odniosło obrażenia.

Gdy skończyliśmy grać, poszliśmy do swojego hotelu na przedmieściu. Po drodze słyszeliśmy, jak stojący na rogach ulic faceci przechwalali się tym, że wywołali awanturę na statku. „Mój Boże” - pomyślałem - „może to i dla nich wielka uciecha, ale co do mnie, to całkiem inaczej wyobrażam sobie dobrą zabawę”.

W hotelu „Grand Central” w St. Louis byłem bardzo popularny. Jako najmłodszy członek orkiestry Fate Marable'a, w dodatku samotny, wzbudzałem wielkie zainteresowanie wśród żeńskiej części obsługi hotelowej. Czuję się jak amant, kiedy dziewczyny kłóciły się między sobą, wykrzykując: „Ja go pierwsza zobaczyłam!” lub „To mój facet!”, i tym podobne bujdy. Za bardzo interesowałem się muzyką, żeby zwracać uwagę na takie błahe sprawy; przynajmniej w większości wypadków.

Rozdział XIII

Kiedy zakończyliśmy sezon w Davenport w stanie Iowa, kapitan Joe Streckfus wypłacił każdemu z nas sumę, która uzbierała się z pięciu dolarów odkładanych co tydzień przy wypłacie. Był to niezły grosz, zwłaszcza dla takiego jak ja młokosa, nie przyzwyczajonego do większych wpływów gotówki. Wracalem więc do Nowego Orleanu z kupą forsy. Bracia Streckfus wypłacili nam też pieniądze na podróż powrotną oraz na jedzenie w drodze. To byli naprawdę fajni ludzie. Pracując u nich, z każdym rokiem coraz bardziej czułem się jakby członkiem ich rodziny.

Gdy znalazłem się już w Nowym Orleanie, pierwsze kroki skierowałem na róg Liberty i Perdido, gdzie spędziłem tyle czasu, zanim trafiła mi się praca w zespole Fate Marable'a. A pierwszą napotkaną osobą był Black Benny stojący w saloonie Joe Segretty przy barze wraz z kilkoma starymi wygami z okolicy.

- Niech mnie szlag trafi - powiedział, kiedy wszedłem - jeśli to nie jest nasz Dipper!

Nie spuszczał ze mnie wzroku, kiedy podchodziłem do baru.

- Chodź no tu, ty sukinsynku! Byłeś na Północy i dmuchałeś tam w tę swoją trąbę, co? Musisz być teraz nieźle nadziany!

Chciał przez to powiedzieć, że mam pewnie dużo pieniędzy. Poprosił mnie, żebym mu postawił drinka, a kimże ja byłem, aby móc odmówić postawienia drinka wspianiałemu Black Benny'emu? Zresztą nikt mu nigdy tego nie odmówił. Kiedy barman nalał drinki, zauważyłem, że wszyscy inni też pozamawiali. Rzuciłem dwudziestodolarowy banknot, żeby zapłacić za całą kolejkę, co razem wyniosło około sześciu-siedmiu dolarów. Black Benny szybko sięgnął po wydaną przez barmana resztę i powiedział:

- Ja to biorę!

Uśmiechnąłem się szeroko. Cóż innego mogłem zrobić? Benny potrzebował tych pieniędzy i koniec.

A ja lubiłem go tak, że nie miałem nic przeciwko temu. Jednak jestem pewien, że gdyby tak obcesowo nie zagarnął tych pieniędzy, dałbym mu dużo więcej. Myślałem o tym już w pociągu, jadąc z Saint Louis. Ale ponieważ Benny zrobił to w ten sposób, rozmyśliłem się. Uważałem, że powinien potraktować mnie jak mężczyznę, i nie spodobał mi się sposób, w jaki mnie naciągnął. Nie miałem zamiaru rzucać się na niego o tych parę dolarów. To by było tak, jakbym chciał włożyć głowę do paszczy lwa. Skorzystałem jednak z nadarzającej się okazji i jak mogłem najszybciej z niesmakiem opuściłem lokal.

Kiedy dotarłem do domu, Daisy czekała już na mnie z wielkim garnkiem czerwonej fasoli z ryżem i z pocałunkami, które mi bardzo zasmakowały. Potem musiałem usiąść i opowiedzieć jej wszystko o swojej podróży - jaka była przyjemna, jak wszyscy mnie lubili i jak bardzo podobała im się moja muzyka. Daisy słuchała tego z przyjemnością i z zaciekawieniem i wciąż było jej mało. Przez cały czas myślałem sobie: „Ach, żeby Daisy zawsze była dla mnie taka miła jak dziś. Jakież życie byłoby piękne, gdybyśmy się już nigdy nie kłócili, nie tłukli i nie burzyli naszego ogniska domowego założonego z takim trudem”.

Tak bardzo cieszyliśmy się tym swoim spotkaniem po tak długiej przerwie, że pocałunkom nie było końca. Nie widziałem jej przez sześć miesięcy i w ogóle po raz pierwszy byłem tak długo poza domem. Nawet kiedy mieszkałem u matki, nie wyjeżdżałem nigdy tak daleko, choć nieraz przyjmowałem propozycje grania na trąbce w różnych miejscowościach. Oczywiście, w tamtych czasach niewiele wiedzieliśmy o trąbkach. Właściwie wszyscy graliśmy na kornetach. Tylko duże orkiestry grające w teatrach miały trębaczy w sekcji blachy.

To śmieszne, ale wszyscy wtedy myśleliśmy, że aby grać na trąbce, trzeba skończyć konserwatorium albo być wielką figurą. Długie lata nawet nie próbowałem grać na tym instrumencie.

Po kilku dniach spędzonych razem z Daisy w domu Mayann oczywiście zaprosiła nas do siebie na wspólny obiad. Miała być też moja siostra i Clarence. Dla Mayann był to nie lada problem. Ponieważ wychowywała całą naszą trójkę, wiedziała, jakie mamy wilcze apetyty. Żeby nakarmić tę swoją „szarańczę” - jak nas nazywała - musiała nastawić oprócz dużego garnka jeszcze mały. Ale wcześniej trzeba było iść na ulicę Rampart i pokombinować, jak by tu kupić najwięcej za niewielkie pieniądze, którymi dysponowała.

W sklepie spożywczym Zattermanna Mayann kupiła funt czerwonej fasoli, funt ryżu, duży plaster tłustego boczku i wielką czerwoną cebulę. W piekarni Stahle’a za pięć centów dostała dwa bochenki czerstwego chleba. Upitrasila to wszystko razem, i mówię wam, kiedy szedłem na obiad, czułem te zapachy już od samego rogu ulicy. Mayann naprawdę umiała gotować.

Gdy usiedliśmy do stołu razem - ja, Mama Lucy i Clarence, potrzebowaliśmy dużo miejsca dla łokci, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać. Po dwóch repetach musiałem wstać od stołu, aby się nie rozchorować. Clarence miał apetyt, jaki rzadko się u dzieci zdarza. Ja sam, kiedy byłem mały, kontentowałem się chlebem z masłem albo po prostu pajdą suchego chleba - nie przywiązywałem dużej wagi do tego, co jem. Ale Clarence był inny; miałem z nim wiele uciechy, kiedy siadaliśmy razem do stołu.

- No, synu - powiedziałem wtedy u Mayann dziś na pewno zjem więcej od ciebie.

- O.K., tato.

I tak rozpoczęliśmy nasz stały wyścig. Clarence wysforował się daleko do przodu. Mama Lucy nieźle się sprawiała, ale z Clarence'em oboje nie mieliśmy się co mierzyć. A matka stała z boku i patrzyła na nas z dumą. Strasznie lubiła patrzeć na nas, jak się opychamy. Dlatego tak ciężko pracowała u białych sprząając, piorąc, prasując i opiekując się ich dziećmi.

Kiedy nie grałem na statku, zwykle chwyciłem się różnych dorywczych prac. W roku 1921, ostatnim roku mojego grania na statku, zacząłem grywać w kabarecie Toma Andersona na Rampart, między ulicami Canal i Iberville. To była naprawdę świetna praca. Do Andersona przychodzili sami najbogatsi faceci grający na wyścigach. Przepuszczali u niego mnóstwo pieniędzy i dawali nam dużo napiwków, zamawiając kawalki dla siebie i swoich kociaków. Często zamawiali obfite dania i ledwo co je napoczynali. Byłem w dobrych stosunkach z kolorowymi kelnerami, więc często, kiedy tylko mijali podium, odnosząc do kuchni nie zjedzone dania czy jakieś atrakcyjne resztki, spoglądali znacząco na mnie, a ja mrugałem, że rozumiem, o co chodzi.

W czasie przerwy szedłem prosto do kuchni, gdzie czekało już na mnie doskonale jedzenie. Ach, cóż to były za dania! Najlepsze steki, kotlety, kurczaki, przepiórki i wiele innych bardzo drogich potraw.

Czułem się ogromnie ważny, zjadając te wszystkie wspaniałości, na które normalnie na pewno nie byłoby mnie stać w tamtych czasach, a może nawet i teraz.

Kierownikiem naszego czteroosobowego zespołu grającego u Andersona był Paul Dominguez, wspaniały kreolski muzyk i z pewnością jeden z najlepszych skrzypków w tamtych czasach. Powiedziałbym nawet; że był trochę nowocześniejszy od innych. A mieliśmy wtedy w Nowym Orleanie wielu bardzo dobrych muzyków. Należeli do nich: A. J. Piron, Peter Boeage, John Robeclaux i Emile Bigard - wuj naszego klarncisty Barneya Bigarda. Był jeszcze Jimmy Paalow, który w roku 1915, kiedy my jeszcze nosiliśmy krótkie portki, opuścił Nowy Orlean wraz z zespołem Creole Jazz Band Freddie Kepparda. Był to pierwszy nowoorleański zespół, który zrobił karierę poza swoim miastem. Oczywiście było jeszcze wielu innych dobrych skrzypków, ale według mnie Paul Dominguez był najlepszy i świetnie mi się z nim pracowało. Był sympatycznym i wyrozumiałym liderem w przeciwieństwie do innych kierowników zespołów, złośliwych i zawistnych, z którymi pracowałem w różnych okresach.

W kabarecie Toma Andersona mieliśmy ustawioną z przodu na podium dużą skarbonkę, do której zamawiający utwory goście wrzucali „coś nieceos” za każdym razem, gdy za-

mawiali sobie jakiś kawałek Przynosiło nam to więcej forsy niż nasza regularna pensja. Anderson nieczęsto bywał w swoim lokalu, na co dzień urzędował tam prowadzący jego interesy George Delsa. Przypominał on Costello z duetu Abbott i Costello.

W kwartecie Paula Domingueza na perkusji grał Albert Frances, na fortepianie jego żona - Edna, i ja na kornecie. Kiedy Edna zaszła w ciążę, zastąpiła ją Wilhelmina Bert Wynn. Obie były lepsze od wielu mężczyzn grających na tym instrumencie, których spotykałem w ciągu minionych lat.

Może zyskałem, a może straciłem dużo forsy, nie wykazując zainteresowania wyścigami. Wielu rekinów z tej branży nieraz proponowało mi obstawienie w moim imieniu dżokeja czy konia jako rewanż za zagranie im jakiegoś kawałka. Ale ja byłem zbyt pochłonięty muzyką, żeby próbować szczęścia na torze wyścigowym. Dziękowałem im więc uprzejmie, a w czasie gry szybko zapomniałem o całej sprawie.

W tym samym okresie, kiedy grałem u Toma Andersona, działały w Nowym Orleanie również inne podobne lokale rozrywkowe: „The Cadillac”, „The Pup” czy lokal Butsy Fernandez. We wszystkich rozbrzmiewała dobra muzyka. A kiedy Tom Anderson zamknął swój interes na czas remontu, wziął mnie do siebie Zutty Singleton, który grał w lokalu Fernandez a wraz ze świetnym pianistą Udellem Wilson, m. Powstało w ten sposób prawdziwie ogniste trio, a nasza gra zaczęła przyciągać innych muzyków, którzy przychodzili do nas co noc po zakończeniu swojej pracy. Większość z nich przyłączała się do nas w trakcie grania, jak na dzisiejszych jam sessions.

Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy wpadł do nas Baby Dodds, który właśnie dopiero co wrócił z dłuższego objazdu. Przedstawiliśmy go naszemu bossowi Butsy’emu, który był największym elegantem w Nowym Orleanie i zawołanym tancerzem. Kiedyś nawet zdobył nagrodę Rudolfa Valentino za jakiś taniec, gdy w czasie tourne po Stanach Zjednoczonych aktor ten zjechał do naszego miasta. Tamtego wieczora Butsy zrobił na kobietach takie wrażenie, że wszystkie na niego leciały. Uważam zresztą, że był to jeden z najmiłszych ludzi pod słońcem. Nie ujmując nic Joe Glaserowi, który był - i nadal jest - najsympatyczniejszym kierownikiem, z jakim kiedykolwiek współpracowałem.

A wracając do Baby Doddsa, to postanowił on tamtej nocy zagrać z nami na bębnach Zutty’ego.

Kupno tych bębnów kosztowało ich właściciela sporo wysiłku. Kiedy Baby zasiadł z nami i zaczął grać, walił tak mocno i wyprawiał takie różne sztuczki, że zanim zdążyliśmy się zorientować, przedziurawił jeden z bębnów na wylot. Nigdy nie widziałem, żeby Zutty był tak wściekły, a Baby powiedział tylko:

- Przepraszam.

Kiedy kończyliśmy granie, Baby i Zutty byli bliscy bójkii. Choć nienawidzę wtrącać się w takie sprawy, tutaj musiałem stanąć między nimi. Lubiłem ich obu, a zwłaszcza Zutty'ego, i nie chciałem, żeby mu się coś stało. Nie dlatego, żeby sam nie mógł sobie dać rady; po prostu nie chciałem, żeby ci dwaj się bili.

Od tej pory Zutty i Baby odnosili się już do siebie inaczej. Zutty i cała reszta naszego zespołu uważaliśmy, że Baby źle postąpił. Tak sławny muzyk powinien grać na bębnach trochę subtelniej.

Graliśmy z Zuttyem u Butsy'ego aż do chwili, kiedy jego lokal zaczął podupadać. Powtórzyła się jeszcze raz znana historia: im słabszy ruch w interesie, tym niższe płace. Wyturczyliśmy obniżki, jak długo się dało, aż w końcu odeszliśmy.

Rok 1921 nie był dla mnie najlepszy. Podczas ostatniego sezonu na statku odłożyłem jednak trochę pieniędzy i dzięki temu, grając dorywczo na defiladach, pogrzebach i piknikach dla białych, finansowo dawałem sobie nieźle radę, dopóki nie nadarzyła się okazja podjęcia jakiejś godziwej stałej pracy..

Pod sam koniec roku 1921 zostałem stałym, pełnoprawnym członkiem orkiestry Tuxedo Brass Band kierowanej przez trębacza Celestina. Wtedy poczułem się naprawdę kimś. Wkrótce spełniło się też jedno z moich największych pragnień - grać drugi kornet obok wielkiego Joe Olivera, który zyskał sobie przydomek „King” po swoich triumfalnych występach w Chicago w 1918 roku.

Tuxedo Brass Band to była prawdziwa radość i dla oka, i dla ucha. Szkoda, że nie było jeszcze wtedy magnetofonów ani kamer filmowych i nie można było uwiecznić tych chłopców w akcji. Zresztą gdyby nawet były, nie stać nas było na to, żeby je kupić. Cała forsa, jaką zarabialiśmy, szła na utrzymanie.

Zostawszy członkiem Tuxedo Brass Band, czułem się tak dumny, jakbym trafił do Johna Philipa Sousy, czy do Artura Pryora. To było prawdziwe przeżycie, kiedy rozdawano nam nuty na sztywnych kartonach, żeby można było z nich grać w czasie marszu. Dokładałem wszelkich starań, ażeby swoją partię zagrać dokładnie co do nuty. Każda pomyłka odbierała mi humor na cały dzień. Celestin szybko zauważył mój żywy stosunek do muzyki i potrafił to docenić. Kiedy uważał, że jakiś fragment utworu może sprawić mi trudność, podchodził do mnie i pytał:

- No, jak tam, synu? W porządku? Dasz sobie radę?

Była to poważna zachęta dla mnie, młodego chłopaka bez większego doświadczenia w tego rodzaju muzyce. Do dziś czuję wdzięczność dla Papy Celestina i wszystkich członków orkiestry, którzy byli dla mnie zawsze bardzo mili.

W Tuxedo Brass Band mieliśmy takie same uniformy jak członkowie Onward Brass Band: białe czapki z czarnym otokiem, niebieskie koszule, białe spodnie i brązowe buty. Kiedy Onward Brass Band się rozleciała, nasze akcje poszły w górę. Tamci byli przecież naszymi najgroźniejszymi konkurentami, inne orkiestry nie były w stanie nam zagrozić.

Będąc członkiem najlepszej dętej orkiestry w mieście, miałem okazję zetknąć się ze wszystkimi najwybitniejszymi muzykami. Jednym z nich był Alphons Picou, najlepszy klarncista Nowego Orleanu.

Zaadaptował on partię fletu piccolo w High Society na klarnet i od tej pory każdy klarncista gra w tym utworze jego solo. Do mistrzów klarnetu należeli też: Lorenzo Tio, Sidney Bechet, Sidney Desvigne, Sam Dutrey, Wade Whaley i młodziutki Jim Williams. Jim, niestety, umarł bardzo młodo i świat stracił w ten sposób wielkiego muzyka. To samo można powiedzieć o przedwcześnie zmarłym Rappolo. Inni wielcy klarnciści tamtych czasów to:

Bill Humphrey, Johnny Dodds, Jimmy Noone i Albert Nicholas. Barney Bigard pojawił się nieco później, ale uważam go również za jednego z najlepszych.

Mówiąc o dobrych muzykach tamtych czasów, nie mogę nie wspomnieć o Lawrence Deweyu. Obecnie wycofał się on już właściwie z czynnego życia muzycznego i osiadł w Lafayette w stanie Luizjana, ale od czasu do czasu jeszcze grywa. Kiedyś wiele grał z niezrównanym Bunkiem Johnsonem. Świetnymi klarncistami byli również Louis Warner i Charlie McCurtis.

Bez względu na to, jak długo będę żył i z iloma muzykami będę jeszcze grał, nie spotkam nigdy lepszych od tych, których wymieniłem. Miałem okazję dobrze ich poznać. Zarówno ci starsi, jak i ci młodszy - wszyscy wkładali serce w swoją muzykę.

Młodszy muzycy tamtych czasów, tacy jak na przykład ja, traktowali muzykę daleko poważniej niż obecna młodzież. Przewaga tamtych nad początkującymi muzykami dnia dzisiejszego jest tak wielka, że uniemożliwia jakiegokolwiek porównania. Weźmy na przykład takiego George Backeta, który grał na małym kornecie Es w Excelsior Brass Band. Górujący nad całą orkiestrą dźwięk tego instrumentu słychać było o parę ulic dalej. Kiedy tak z uczuciem grał głos prowadzący wraz z innymi kornetami, ale o oktawę wyżej, słuchającym łzy cisnęły się do oczu.

Było jeszcze wielu innych dobrych klarncistów, których należałoby wymienić, ale po tylu latach nie pamiętam już ich nazwisk. Byłem bardzo młody, kiedy grywałem z nimi, i nie

przywiązywałem wtedy dużej wagi do tego, jak się kto naprawdę nazywa. Witając i żegnając się używaliśmy pseudonimów:

Gate, Face, Gizzard. Spotykaliśmy się na przypadkowych imprezach i grało się nam z sobą tak dobrze, jak byśmy pracowali w takim składzie od miesięcy.

W tym samym 1921 roku Daisy zaadoptowała małą dziewczynkę o nazwisku Wila Mae Wilson. Mieszkaliśmy wtedy od niedawna w części miasta zamieszkałej przez białych, na rogu Saint Charles i Clio, w oficynie domu białej rodziny, u której Daisy pracowała. Droga do naszego domku wiodła alejką na tyłach posesji, więc często, wracając z pracy nad ranem, bałem się, że mogę zostać wzięty za złodzieja.

I tak też się kiedyś stało. Wracałem z grania o czwartej rano. Kiedy wysiadłem z tramwaju i skierowałem się w stronę naszej alejki, zobaczyłem idącego w moim kierunku starszego białego faceta. Szedł wzdłuż ogrodzenia. Już miałem wejść na naszą alejkę, gdy zauważyłem, że stary przygląda mi się podejrzliwie, coś mnie więc tknęło, żeby nie iść dalej, tylko poczekać na niego. Kiedy zbliżył się na tyle, że już miał mnie minąć, odezwałem się:

- Proszę pana, pan pewnie myśli, że ja mam jakieś podejrzone zamiary. Chcę, żeby pan wiedział, że ja tutaj mieszkam. Moja żona pracuje tu u białej rodziny i mieszkamy na ich posesji. Pomyślałem sobie, że lepiej będzie to panu powiedzieć, żeby pan niepotrzebnie nie zaczynał jakichś historii.

- Dobrze, że mi to powiedziałeś - odparł ramol - bo jestem tu stróżem nocnym i nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek widział w tej okolicy.

Ale teraz wszystko w porządku. Możesz iść dalej.

Będę w przyszłości na ciebie uważał.

Mógł sobie tego zaoszczędzić. Pobiegłem do domu i natychmiast zbudziłem Daisy i Wilę Mae z głębokiego snu, oznajmiając im, że musimy się rano wyprowadzić. Potem opowiedziałem Daisy o całym zajściu. Zaraz rano wypowiedziała pracę i znaleźliśmy sobie trzy-pokojowe mieszkanie na rogu ulic Saratoga i Erato.

Trzynastoletniej rezolutnej Wili Mae było wszystko jedno, dokąd się przenosimy. Ważne było tylko to, że bierzemy ją ze sobą. Jej matka przywiozła ją oraz jej siostrę Violet z małego miasteczka w stanie Luizjana. Violet, która miała wtedy czternaście lat, umarła bardzo młodo. Wila Mae pozostała z Daisy, kiedy w 1922 wyjechałem na Północ, aby przyłączyć się do orkiestry Kinga Olivera grającej w chicagowskim „Lincoln Gardens”. Wyrosła na piękną dziewczynę i zanim zorientowaliśmy się, co się święci, wyszła za mąż za chłopaka imieniem Sibley i urodziła syna, którego nazwała Archie.

Ludzie w Nowym Orleanie pamiętali mnie jako ojca chrzestnego Wili Mae, a kiedy jej syn podrośł na tyle, że wszystko rozumiał, pokochał mnie tak jak swoją matkę. Wtedy zostałem również jego chrzestnym. Zaczął nawet ze względu na mnie grać na trąbce i zmienił sobie nazwisko na Archie Armstrong.

Daisy tak polubiła Wilę Mae, że aż się dziwiłem, bo nigdy nie przywiązywała się zbyt do nikogo.

Często nawet odczuwałem to na sobie. Ale kochała mnie, a ja ją, i to wystarczało. Jestem też prawie pewny, że była mi wierna przez cały okres naszego pożycia. Kiedy wyjechałem do Chicago, byliśmy skłóceni i wtedy nie obchodziło mnie już, z kim się spotyka. Później dowiedziałem się, że paraduje po Nowym Orleanie z moim kolegą z czasów dzieciństwa, Shotsem Madisonem. On również dobrze grał na kornecie, więc wszyscy mówili, że Daisy zakochuje się wyłącznie w kornecistach. No, cóż. Wybrała sobie nie najgorszy instrument.

Moja siostra Mama Lucy wyjechała do małej osady tartacznej na Florydzie, gdzie pracowała przez długie lata ze swoim towarzyszem życia. Prowadzili tam niewielki lokal z grami hazardowymi i zarabiali kupę forsy. Wiele razy miałem ochotę poprosić ich o mały zastrzyk finansowy, ale nigdy tego nie zrobiłem. Zawsze wiedziałem, że krewni - ile by nie zarabiali pieniędzy - nigdy nie mają ich za dużo. Jak mówi Pismo święte - lepiej jest dawać niż brać. Zawsze odczuwałem prawdziwą radość, dając mojej rodzinie tyle pieniędzy, ile tylko mogłem, ale strasznie nie lubiłem prosić ich o jakąkolwiek pomoc. W porównaniu z innymi miałem trochę szczęścia, jeśli chodzi o zarabianie pieniędzy.

W początkach swojej działalności muzycznej nie zarabiałem oczywiście zbyt wiele, ale i tak trochę więcej niż inni chłopcy, którzy nie mieli żadnego zawodu.

Wszyscy w naszej dzielnicy byli trochę przestraszeni, gdy dowiedzieli się, że Lucy prowadzi gry hazardowe, w których zazwyczaj uczestniczą podejrzane typy. Mówiłem im jednak, że nie ma co się o nią martwić. Mama Lucy nie bała się takich gości. Miała zawsze przy sobie długi nóż i potrafiłaby sobie dać radę z każdym, kto tylko spróbowałby jakichś niecných sztuczek.

Tylko z dwiema kobietami, które prawie nigdy nie rozstawały się z nożem, czułem się zawsze całkowicie bezpieczny: ze swoją siostrą Mamą Lucy i ze swoją żoną Daisy. To dziwne, ale przy całej swojej porywczności i zapalczywości, Daisy nigdy nie rzuciła się na mnie z nożem. Oczywiście, wielokrotnie miewaliśmy pojedynki na cegły, ale to stanowiło po prostu część nowoorleańskiej tradycji, z którą byłem oswojony od dziecka. Dostatecznie dobrze umiałem robić uniki, aby nie dać się trafić. A Daisy potrafiłaby zadać bobu „fałszowanymi”

rzutami cegłą nawet takiemu zawodnikowi, jak Don Newcomb. Ale pomimo wszystko kochałem ją nadal, tak jak swój kornet.

W ostatniej wielkiej paradzie, jaką widziałem w Nowym Orleanie, wzięły udział wszystkie najliczniejsze i najbardziej znane Kluby Pomocy Społecznej i Rozrywki. Każdy klub starał się przewyższyć pozostałe, więc było naprawdę na co popatrzeć.

W defiladzie uczestniczyły kluby: The Bulls, The Hobgoblins, The Zulus, The Tammanys, The Young Men Twenties (klub Zutty Singletona), The Merry-Go-Rounds, The Deweys, The Tulane Club, The Young Men Vidalias, The Money Wasters, The Jolly Boys, The Turtles, The Original Swells, The San Jacintos, The Autocrats, The Frans Sa Mee Club, The Cooperatives, The Economys, The Odd Fellows, The Masons, The Knights of Pythias (moja „loža”) i The Diamond Svells z dzielnicy Irish Channel.

Towarzyszący pochodowi „drugoliniowcy” bali się zapuszczać w to niebezpieczne przedmieście nad samym brzegiem rzeki. Mieszkający tam Irlandczycy byli strasznymi awanturnikami, a i tamtejsi kolorowi byli niewiele lepsi. Kto wybierał się tam z pochodem, mógł wrócić z własną głową pod pachą.

Widok tych wszystkich defilujących klubów był cudownym i niepowtarzalnym przeżyciem. Wszyscy ich członkowie mieli na sobie galowe stroje, a z ramion spływały im piękne jedwabne wstążki, co w sumie dawało wspaniały widok. Defiladę otwierali adiutanci w galowych strojach jadący na pięknych koniach, których łby poprzybierane były wstążkami.

Za nimi podążała orkiestra dęta grająca marsze tak ognście i z takim swingiem, że aż wszyscy skakali z radości. Za orkiestrą maszerowali członkowie klubu, byli w białych miękkich kapeluszach, białych koszulach z najlepszego jedwabiu i mohairowych spodniach. Choć mieszkałem w Nowym Orleanie od urodzenia, za każdym razem, kiedy defilował któryś z tych klubów, potrafiłem im towarzyszyć nawet przez cały dzień. Nosząc kornet Joe Oliverowi czy Bunkowi Johnsonowi, dostawałem dostatecznie dużo jedzenia, aby nie czuć głodu przez całą defiladę.

Podczas takiej całodziennej parady robiono liczne przystanki, tak zwane „punches”, w domach członków danego klubu znajdujących się na trasie, gdzie na maszerujących czekały już sandwicze, zimne piwo i oczywiście - mnóstwo whisky. To ostatnie jeszcze mnie wtedy nie interesowało. Pragnąłem tylko, aby mi pozwolono iść cały czas z pochodem.

Kiedy paradowały wszystkie kluby, na obejrzenie ich trzeba było prawie całego dnia, ale patrzenie nigdy nikomu by się nie znudziło. A największą atrakcją był Black Benny - jedyny muzyk i w ogóle jedyny mężczyzna, który nie bał się odwiedzać wszystkich najniebezpieczniejszych zakątków miasta, czy to był Irish Channel, Back o'Town czy kreolska część

Siódmej Dzielnicy. Nie ustępował największym zabijakom i nikt nie miałby odwagi go zaczepić; kiedy szedł do innej dzielnicy grać na bębnach czy tańczyć, zawsze i wszędzie traktowano go z największym szacunkiem.

W 1922 roku ja sam stałem się tak popularny - dzięki graniu w zespole Kida Ory i w Tuxedo Brass Band - że mogłem iść do dowolnej części Nowego Orleanu bez obawy, że mnie ktoś zaczepi. Wszyscy mnie lubili i chcieli słuchać mojej gry, nawet najgorsze dranie. A im większymi byli draniami, tym bardziej działał na nich dźwięk mojej trąbki, podobnie jak na tamtych fajnych cwaniaków w czasach honky-tonków.

Joe Oliver opuścił Nowy Orlean w 1918 roku i teraz już mu się w Chicago świetnie powodziło. Wciąż przysyłał mi listy i telegramy z propozycją, abym przyjechał do niego i został drugim kornecistą w jego orkiestrze. Czułem, że byłby to dla mnie istny raj.

Postanowiłem już sobie, że nie opuszczę Nowego Orleanu, chyba że na wezwanie Kinga. Dla nikogo innego nie podjąłbym tego ryzyka. Zbyt wiele razy widziałem moich młodych kolegów wyjeżdżających z rodzinnego miasta i wracających w pożałowania godnym stanie. Często rodzice musieli im posyłać pieniądze na powrót do domu. Po spędzeniu wspa- niałych trzech lat na statkach wycieczkowych kursujących po Missisipi nie odważyłbym się wyjechać z jakimś nieznajomym, który mógłby zostawić mnie na lodzie albo wpędzić w jakieś tarapaty. Fate Marable i bracia Streckfus sprawili, że nie musiałem i nie miałem ochoty ryzykować jakiejś wyprawy na oślep.

Po załatwieniu wszystkich swoich spraw przyjąłem definitywnie propozycję Joego. W dniu wyjazdu do Chicago, 8 sierpnia 1922 roku, grałem na pogrzebie w Algiers. Był to pogrzeb ojca Eddie Vincenta, bardzo dobrego puzonisty. Kiedy wyniesiono zwłoki z domu, zagraliśmy hymn Free as a Bird, a graliśmy z takim uczuciem, że wszyscy mieli łzy w oczach.

Chłopcy z Tuxedo Brass Band i z zespołu Celestina robili, co mogli, żeby wyperswadować mi wyjazd do Chicago. Mówili, że Joe Oliver jest łamistrajkim i znajduje się na czarnej liście związku zawodowego muzyków. Powiedziałem im na to, że cenię Joego i mam do niego zaufanie. Nie obchodziło mnie, co robi on i jego muzycy. Ważne było to, że mnie wezwał. Niewiele jeszcze wtedy wiedziałem o działalności związku muzyków, bo w Nowym Orleanie go nie było, więc nie miałem zielonego pojęcia, co może znaczyć ta czarna lista.

Kiedy pogrzeb się skończył, pobiegłem do domu, spakowałem swoje nieliczne manatki i pośpieszyłem na Illinois Central Station, aby złapać pociąg odchodzący o siódmej wieczorem do „Miasta Wiatrów”.

Cała orkiestra przyszła na dworzec, aby mnie pożegnać i życzyć mi powodzenia. Właściwie cieszyli się z mojej szansy wypłynięcia na szersze wody, ale nie byli zachwyceni tym,

że będę drugim kornecistą po Joe Oliverze. Uważali, że jestem dostatecznie dobry, aby grać samodzielnie. Ja jednak traktowałem jako wielki awans to, że będę grał obok muzyka o takim prestiżu, jak Joe Oliver.

Miałem wrażenie, że cały Nowy Orlean zebrał się na peronie, aby mi życzyć szczęścia. Przyszły nawet starsze panie z naszej dzielnicy, które właściwie wychowywały mnie, gdy byłem dzieckiem. Ucałowały mnie na pożegnanie i poprzykładały chusteczki do oczu, aby ukryć łzy.

Kiedy pociąg wjechał na peron, chłopcy z obsługi wagonów pulmanowskich i restauracyjnego od razu mnie rozpoznali, pamiętając mnie z grania na platformach jeżdżących po mieście, kiedy reklamowaliśmy bale. Zaczęli do mnie pokrzykiwać:

- Gdzie jedziesz, Dipper?

- Masz szczęście, ty czarny nygusie - powiedział jeden z facetów - że jedziesz na Północ grać z naszym Kogutem.

Była to aluzja do katarakty, którą Joe miał na jednym oku. Łobuzy dokuczały mu czasem na ten temat, a on się wściekał i rwał się do bójki. Ale co by mu z tego przyszło? Gdyby wdawał się często w jakieś bijatyki, mogłoby się to dla niego skończyć utratą zdrowego oka.

Kiedy konduktor zawołał: „Proszę wsiadać!” - krzyknąłem do tych facetów:

- Cześć, chłopaki! Jadę do Chicago! Będę grał z Papą Joe, który zawsze był dla mnie wzorem!

Rozdział XIV

W pociągu znalazłem wolne miejsce obok pewnej pani, która jechała z trojgiem dzieci i była nieźle zaprowiantowana, to znaczy wzięła ze sobą na drogę wielki koszyk apetycznych pieczonych kurczaków, takich jakie robią zwykle na Południu. Ta ilość starczyłaby jej i jej dzieciom nie tylko do Chicago, ale i do Kalifornii, gdyby zechciała aż tam pojechać.

Szybko pochłonąłem sandwicza z rybą, przygotowanego przez Mayann, a jednocześnie łamałem sobie głowę, jak by się tu przymówić do sąsiadki o kawałek smacznego pieczonego kurczaka. W tamtych czasach w wagonach restauracyjnych nie wolno było przebywać kolorowym, zwłaszcza w „Galilei” (to jest na Południu). Kolorowi wybierający się na Północ zabierali więc z sobą w podróż niemal wszystko - oprócz pieca kuchennego.

Na szczęście ta pani mnie poznała. Powiedziała, że zna Mayann i że też jedzie do Chicago. Zaczęliśmy rozmawiać o czekającym nas spotkaniu z wielkim miastem i wkrótce zaprzyjaźniliśmy się. Przez całą podróż świetnie mi się powodziło i jadłem jak król.

Dopiero gdy konduktor, idąc wzdłuż pociągu, zaczął głośno wołać: „Następna stacja Chicago!” - poczułem nagle, że jakieś dziwne dreszcze raz po raz przebiegają mi po krzyżu. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to: „Ciekawe, czy Papa Joe czeka na mnie na stacji?”. Spodziewał się, że przyjadę rannym pociągiem, ale nie zdążyłem, bo zagrałem jeszcze na pogrzebie, żeby przywieźć ze sobą do Chicago trochę forsy.

Kiedy pociąg wjeżdżał na peron, stanąłem przy oknie i ze wszystkich sił wyteżyłem wzrok. Każdy, kto by wtedy na mnie popatrzył, poznałby z łatwością, że ma przed sobą chłopaka z prowincji. Miałem wielką nadzieję, że Joe Oliver będzie na dworcu.

Nic mnie nie obchodzili wszyscy inni ludzie. Do szczęścia potrzebna mi była tylko jedna rzecz: zobaczyć Joego.

Gdy konduktor zawołał: „Proszę wysiadać; pociąg dalej nie jedzie!” - wszyscy wstali z miejsc jak na komendę. Na peronie nie było śladu Joego, nie zobaczyłem go również w poczekalni, do której wszedłem po długich schodach.

Na widok tłumu ludzi czekających na taksówkę przez głowę zaczęło mi przebiegać tysiące myśli.

Było wpół do dwunastej w nocy. Wszyscy kolorowi pasażerowie z Nowego Orleanu wraz z tą panią od kurczaków wsiadali do taksówek lub do samochodów swoich krewnych. Odjeżdżając, żegnali się ze mną i życzyli powodzenia w Chicago. Machając im na pożegnanie, myślałem sobie: „Hm, nie przypuszczam, żeby mi się to miasto spodobało...”

Po jakimś czasie stwierdziłem, że zostałem przed dworcem sam jeden. A im dłużej stałem, tym bardziej zaczynałem się niepokoić. Stałem tak już chyba z pół godziny, kiedy podszedł do mnie policjant.

Musiał obserwować mnie od dłuższego czasu i zauważył pewnie, że czuję się obco w tym mieście i że, z niepokojem kogoś oczekuję.

- Szukasz kogoś? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Przyjechałem z Nowego Orleanu w stanie Luizjana - powiedziałem. - Jestem kornecistą i mam się przyłączyć do zespołu Joe Oliver's Jazz Band.

Policjant uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Aha, to ty jesteś tym młodym człowiekiem, który ma grać z Kingiem Oliverem w „Lincoln Gardens” - ucieszył się.

- Tak, proszę pana.

Naraz zdałem sobie sprawę, że powiedział King Oliver. W Nowym Orleanie był on po prostu Joe Oliverem.;

Byłem tak spragniony widoku Joego, że ten nowy jego przydomek nie poruszył mnie specjalnie. Kiedy opowiedziałem policjantowi, że King Oliver miał na mnie czekać na dworcu, ten poinformował mnie:

- King Oliver przyszedł tu po ciebie na wcześniejszy pociąg, ale ty nim nie przyjechałeś. Potem musiał iść do pracy, ale prosił nas, żeby zwrócić na, ciebie uwagę, gdybyś przyjechał tym pociągiem.

Potem przywołał taksówkę i powiedział kierowcy:

- Niech pan zawiezie tego chłopca do tego lokalu, gdzie gra King Oliver.

Taksówkarz włożył moje bagaże do wozu i pojechaliśmy w stronę dzielnicy South Side.

Kiedy tylko otworzyłem drzwi wejściowe do „Lincoln Garden”; usłyszałem zespół Joego grający ze swingiem jedną z tych starych dobrych dixielandowych melodii. Wierząc mi, byłem prawdziwie poruszony ich grą. Warto było przyjeżdżać, aby to usłyszeć. Trochę się jednak bałem wejść do środka. Przez moment zawahałem się nawet, czy powinienem to zrobić. Zacząłem się też zastanawiać, czy w ogóle potrafię grać z tak świetną orkiestrą. Wszedłem jednak, a w miarę, jak zbliżałem się do nich, zespół zdawał się coraz bardziej rozgrzewać.

Lokal „Lincoln Gardens” mieścił się na rogu Trzydziestej Pierwszej Alei i Cottage Grove Avenue. Miał piękną fasadę; a nad drzwiami wejściowymi znajdował się okazały daszek. Sala była tak duża, że już myślałem, że nigdy nie dojdę do orkiestry. Lokal był zatłoczony, więc Joe i jego muzycy zobaczyli mnie dopiero wtedy, gdy znalazłem się tuż przy samym podium.

Wtedy zrobił się szum. Chłopcy skoczyli na równe nogi i zaczęli wołać:

- Przyjechał! Przyjechał!

Joe Oliver zdjął lewą nogę ze spluwaczki, na której ją zazwyczaj trzymał w czasie grania. Miał własną spluwaczkę, ponieważ ciągle żuł tytoń.

- Chwileczkę, niech no mu się przyjrzę - powiedział do muzyków. - Nie widziałem tego małego włóczykija od lat.

W Nowym Orleanie zawsze nazywał mnie „włóczykijem”, gdy przychodził do honky-tonku, w którym grałem, aby mnie odwiedzić.

Joe zaczął mnie wypytywać, co porabiałem od chwili, gdy w roku 1918 opuścił Nowy Orlean wraz z Jimmy Noonem. Z wielkim zadowoleniem przyjął wiadomość, że uznano mnie za dostatecznie dobrego muzyka, aby przyjąć mnie na stałego członka Tuxedo Brass Band, i że - grałem na statku.

- No, synku! Jestem z ciebie naprawdę dumny - oświadczył Joe. - Widzę, że obracałeś się w niezłym towarzystwie, od czasu kiedy się ostatni raz widzieliśmy.

Po jego minie można było jednak poznać, że nie jest jeszcze całkiem pewny, czy jestem wystarczająco dobry, aby grać z nim i jego muzykami. Nie mówił jednak o swoich wątpliwościach, powiedział tylko:

- Usiądź sobie, synu. My musimy grać. Dobrze będzie, jak sobie tu posiedzisz i posłuchasz, bo jutro wieczorem zaczynasz pracę.

- Tak jest - odpowiedziałem.

Po zakończeniu grania Joe zabrał mnie do siebie do domu, który znajdował się bardzo blisko, o jedną przecznicę od „Lincoln Gardens”. Mrs. Stella Oliver która zawsze mnie lubiła, ucieszyła się na mój widok, a mnie też było bardzo miło znowu ją spotkać.

Mieszkała z nimi również Ruby, córka Mrs. Stelli z poprzedniego małżeństwa. Stanowili szczęśliwą rodzinę, która przyjęła mnie do swego grona.

Mrs. Stella powiedziała, że muszę zjeść z nimi kolację, na co chętnie przystałem. Z Joem jadło mi się przyjemnie - naturalnie i bez żadnych ceremonii.

Dostaliśmy dużą porcję czerwonej fasoli z ryżem, pół bochenka chleba i dzbanek lodowatej lemoniady.

Tymczasem robiło się coraz później, więc Mrs.

Stella powiedziała Joemu, że czas już, aby odwiedzić mnie do zarezerwowanego dla mnie pokoju w hoteli; ku na South Wabash Avenue 3412, prowadzonego przez ich znajomą imieniem Filo. Kiedy jechaliśmy; taksówką, Joe powiedział mi, że będę miał pokój i własną łazienkę.

- Łazienkę? Własną łazienkę? Co to jest własna łazienka? - zapytałem.

- Słuchaj no, ty włóczykiju - odpowiedział Joe, patrząc na mnie z pewnym rozbawieniem - nie bądź takim cholernym głuptasem!

Pewnie zapomniał, że i on też musiał zadawać to samo pytanie, kiedy przyjechał tu pierwszy raz z Nowego Orleanu. W naszej dzielnicy nigdy nie słyszeliśmy o czymś takim jak wanna, a cóż dopiero własna łazienka. Kiedy Joe skończył ochrzaniać mnie za moje pytanie, przypomniałem mu, jak to dawniej kąpaliśmy się na podwórku w baliach lub szaflikach. Ciągle jeszcze pamiętam to mycie w blaszanej balii. Aby być naprawdę czystym, trzeba było siadać na brzegu balii i myć się od szyi do pasa, a dopiero potem wstawalo się i myło resztę ciała.

Papa Joe miał dobrą zabawę, kiedy mu to opowiedziałem.

Filo chyba już na nas czekała, bo od razu, gdy tylko zadzwoniliśmy, podeszła do drzwi. Była przystojną Kreolką w średnim wieku. Z twarzy jej można było wyczytać dobroć, a jej głos działał uspokajająco.

- Czy to mój domownik? - zapytała.

- Tak - odpowiedział Joe - to nasz Dippermouth.

Filo od razu poinformowała mnie, że mój pokój jest na górze. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy tam pójde i zobaczę tę swoją własną łazienkę. Musiałem to jednak odłożyć na później, bo usiedliśmy we trójkę i zaczęliśmy wspominać stare dobre czasy w Nowym Orleanie, jak daleko każde z nas mogło sięgnąć pamięcią. Filo opuściła Nowy Orlean prawie dziesięć lat wcześniej ode mnie i przybyła do Chicago jeszcze wcześniej niż Joe Oliver.

Następnego dnia Filo przygotowała mi śniadanie, a była, jak wszystkie Kreolki, świetną kucharką. Po śniadaniu poszedłem do siebie na górę, wziąłem gorącą kąpiel w swojej własnej wannie, po czym ubrałem się i poszedłem na mały spacer, aby zobaczyć, jak wygląda miasto.

Szedłem tak bez celu, niczym się nie przejmując, i wszystko dookoła bardzo mi się podobało. Przy całym szacunku dla mego rodzinnego miasta musiałem przyznać, że każda z mijanych ulic była bez porównania ładniejsza niż ulice w Nowym Orleanie.

Gdy wróciłem do domu, Filo już czekała na mnie z zastawionym stołem.

- Idź umyć ręce - powiedziała łagodnie - a potem przychodź zjeść te wszystkie dobre rzeczy.

A były tam prawie wszystkie smaczne kreolskie potrawy, jakie znałem.

Po tym posiłku poszedłem na górę, aby się ogolić, wykapać i przespać trochę. Moi mistrzowie powtarzali mi od najmłodszych lat, że sen ma duży wpływ na jakość muzyki. Muzyk nie jest w stanie pokazać swoich wszystkich możliwości, jeśli jest zmęczony i podenerwowany.

Kiedy się obudziłem i zacząłem się ubierać, do pokoju weszła Filo.

- Zjadłeś co prawda porządną obiad - powiedziała - ale teraz musisz się jeszcze trochę posilić, bo masz przed sobą kupę dmuchania w tę swoją trąbę.

Nie miałem nic przeciwko temu. Na dole dostałem sandwicza z ananasem posypanym cukrem. Palce lizać! Zjadłem go i wyruszyłem do „Lincoln Gardens” na moje pierwsze granie.

Miałem na sobie mój „befszyk” - tak nazywałem swój stary sfatygowany smoking. Był on oczywiście starannie pocerowany i wyprasowany, tak że nie było widać, jaki jest stary, chyba że ktoś przyjrzałby mu się z bliska i zauważyłby tu i ówdzie cery. Tak czy owak - uważałem, że wyglądam bardzo sztywnie.

Punktualnie o wpół do dziewiątej zajechała przed dom Filo taksówka. Filo zamówiła ją, bo była przejęta nie mniej ode mnie i chciała, żeby w dzień mojego debiutu z Kingiem wszystko poszło jak najlepiej. Jedną z najzabawniejszych rzeczy w świecie muzyki i show biznesu jest to, że niezależnie, jak długo wykonuje się swój zawód, każdy pierwszy występ w nowym miejscu sprawia, że człowiek czuje się tak, jakby w żołądku fruwały mu małe motylki.

Pierwszymi osobami, na jakie się natknąłem w długim korytarzu prowadzącym do podium, byli Mrs. Major - biała właścicielka „Lincoln Gardens” i Red Bud - ciemnoskóry kierownik lokalu. Potem spotkałem Kinga Jonesa, niskiego osobnika o potężnym głosie, który słyhać było w całej okolicy, kiedy jego właściciel pełnił funkcję mistrza ceremonii. (Jones zachowywał się tak, jak gdyby nie był kolorowy, ale zdradzała go jego kiepska angielszczyzna.)

Kiedy dotarłem do podium, zobaczyłem Kinga Olivera i jego chłopców palących papierosy przed rozpoczęciem pierwszej serii utworów i czekających na mnie. Sala zapelniała się najlepszymi muzykami ze śródmieścia. Byli wśród nich biały as trąbki Louis Panico i głośny Isham Jones z tego samego zespołu.

Byłem prawdziwie poruszony, zajmując miejsce wśród takich wspaniałych muzyków, jak: Johnny i Baby Doddsowie, Honore Dutrey, Bill Johnson, Lil Hardin i sam mistrz Joe. Cieszyłem się, że znowu gram z Baby Doddsem; z przyjemnością dowiedziałem się, że przestał pić na umór i zabrał się poważnie do muzyki. Był nadal niezrównanym perkusistą i z pewnością jego grze zawdzięczałem w dużej mierze swoje ogniste sola grane tej nocy.

Johnny Dodds był wspaniałym klarncem, a jego wariacje brzmiały miękko i precyzyjnie. Jego hobby stanowił baseball; był kibicem drużyny White Sox.

Kupowałem z nim do spółki „Daily News” - on brał do czytania wyniki baseballowe, a ja resztę gazety.

Basista Bill Johnson zainteresował mnie od pierwszego wieczoru w „Gardens”. Był on jednym z członków słynnego Creole Jazz Band i jako jeden z pierwszych przybył na Północ, aby tu robić muzyczną karierę. Miał on rysy, a nawet i głos białego chłopaka z Południa. Odznaczał się też wielkim poczuciem humoru.

Dutrey miał także wspaniałe poczucie humoru, a prócz tego pogodne usposobienie. Dobrze pamiętałem, jak to będąc chłopcem, chodziłem całymi dniami za nim i za Joe Oliverem podczas defilad w Nowym Orleanie. Po zwolnieniu z marynarki Dutrey wyjechał do Chicago, gdzie przyłączył się do zespołu Olivera na kilka tygodni przed moim przyjazdem.

Ciągle jeszcze grał pięknie na puzonie, ale poważnie dawała mu się we znaki astma. Kiedy miał do zagrania trudne solo, zawsze przedtem szedł za kulisy i wtryskiwał sobie do nosa swój specyfik. Wtedy potrafił poruszyć największych znawców, bo dał w puzon z siłą słonia. Zawsze mnie tym zadziwiał.

Lil Hardin była jak na kobietę doskonałą pianistką. Zadziwiła mnie tej nocy wybiciem czterech beatów w taktce. Byłem zaskoczony tym spotkaniem z kobietą, która po wygłoszeniu pożegnalnej mowy w imieniu absolwentów Fisk University, wzięła się, za granie jazzu i robiła to z takim powodzeniem.

Zdobywała umiejętności muzyczne przy takich asach, jak Joe Oliver, Freddie Keppard, Sugar Johnny, Lawrence Dewey, Tany Johnson, oraz innych wielkich pionierach z Nowego Orleanu. Gdyby tych asów nie spotkała, wyszłaby pewnie za jakiegoś ważnego; polityka lub zarabiałaby na życie graniem muzyki klasycznej. Później odkryłem, że Lil grywała po zakończeniu pracy w „Lincoln Gardens” także w „Idlewise Gardens”. Zastanawiałem się, kiedy w takim układzie miała czas na spanie. Wiedziałem, że muzycy w Nowym Orleanie potrafili tak robić, ale jak na kobietę, to nie było to lekkie życie.

Tego pierwszego wieczoru w „Lincoln Gardens” kiedy zagraliśmy pierwszą nutę, od razu wiedziałem, że wszystko układa się dla mnie pomyślnie. Kiedy Papa Joe zaczął dąć

w swój kornet, poczułem się jak za dawnych lat. Pierwszy numer poszedł tak dobrze, że musieliśmy bisować. To właśnie wtedy wypracowaliśmy sobie z Joem system grania breaków w duecie. Nie musieliśmy ich zapisywać. Od lat byłem tak osłuchany z jego muzyką i tak z nią oswojony, że potrafiłem podążyć za jego linią melodyczną w ułamek sekundy po nim. Nikt nie mógł zrozumieć, jak myśmy to robili, ale dla nas było to łatwe i trzymaliśmy się tego przez cały wieczór.

Nie zagrałem żadnego sola prawie do końca wieczoru. Nie próbowałem wybijać się ponad Papę Joego, bo uważałem, że całe uznanie wyrażane nam obu należy się tylko jemu. On potrafiłby zagrać za nas obydwu. Grałem przy nim drugi głos i ani przez chwilę nie miałem zamiaru wysuwać się na pierwszy plan, aby głupio komuś zaimponować.

Tego pierwszego wieczoru każdy numer wychodził nam nadzwyczajnie. Specjalnym powodzeniem cieszył się utwór Eccentric, w którym Joe grał mnóstwo breaków. Rozpoczął solo czterotaktowym wstępem, potem wchodził zespół. Następnie znowu sam grał czterotaktowy break. Pod koniec utworu w ostatnim chorusie Joe i Bill Johnson odgrywali mały show.

Joe naśladował na kornecie płacz małego dziecka, a Bill Johnson na kontrabasie udawał piastunkę uciszającą dziecko wysokim głosem. Kiedy Joe zaczynał płakać na kornecie, Bill wpadał w to wysoką nutą kontrabasu, jak gdyby mówiąc: „Nie płacz, mały!” W końcu ten charakterystyczny dialog przeradzał się w krzykliwy pojedynek między piastunką i dzieckiem, a numer kończył się głośnym śmiechem i brawami.

Po zakończeniu showu zaczęliśmy grać do tańca, a goście zewsząd zaczęli wołać:

- Dajcie pograć małemu!

Mieli na myśli mnie. Cudowny Joe pozwolił mi zagrać bluesa po swojemu. Byłem w siódmym niebie.

Papa Joe był tak uradowany, że grał o pół godziny dłużej, niż powinien. Chłopcy ze śródmieścia zostali do samego końca i przyszli za kulisy pogadać z nami, gdy pakowaliśmy instrumenty. Pogratulowali Joemu jego muzyki i tego, że sprowadził mnie z Nowego Orleanu. Byłem tak szczęśliwy, że nie wiedziałem, co mam z sobą zrobić.

To był mój wielki dzień. Byłem na Północy ze sławnymi muzykami. Grałem ze swoim idolem, Królem Joe Oliverem. Nareszcie spełniły się marzenia mojego dzieciństwa.

Kalendarium życia Armstronga

Mały Louis 1900 urodził się w Nowym Orleanie

1908-13 roznosiciel gazet, śpiewak ulicznych kwartetów

1914-15 pobyt w zakładzie poprawczym. Pierwsze lekcje gry na kornecie

1916-17 śmieciarz, węglarz, chłopiec na posyłki, mleczarz, tragarz, muzykant w nocnych knajpach

1918 występy z zespołem Kida Ory

1919-22 solista na parostatkach kursujących po Missisipi. W Tuxedo Brass Band Oscara Celestina

1922-24 wyjazd do Chicago - King Oliver Creole Jazz Band;; pierwsze nagrania Wielki „Satchmo”

1924 Nowy Jork - w zespole Fletchera Hendersona.

Małżeństwo z Lil Hardin

1925 powrót do Chicago - w orkiestrach Erskine Tate'a i Carrola Dickersona

1926-27 Louis Armstrong's Hot Five i Hot Seven

1929 występy na Broadwayu w rewii „Hot Chocolates”

1932-35 pierwsze podróże do Europy

1936 Hollywood - pierwszy film „Pennies from Heaven”

1944 wielki koncert jazzowy w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku

1948-58 podróże po świecie z zespołem All Stars; nagrania płytowe, filmy

1958 festiwal w Newport - wielki triumf Satchma

1960-71 występy estradowe i rewiove, podróże po świecie, film

1971 zmarł w Nowym Jorku.